

PROF. GIELERAK:

EPIDEMIA
SIĘ KOŃCZY.
TRZEBA ODWAGI,
BY Z NIEJ WYJŚĆ

WIKŁO:
GDAŃSK, CZYLI
„REPUBLIKA DEWELOPERÓW”

PEK:
POLSKA ZAPŁACIŁA
ZACHODOWI POTĘŻNY HARACZ

ROKITA
O PRAWICOWEJ
MIĘDZYNARODOWCE:
„SAMOOBRONA”

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 6 (480) 2022
7–13 lutego 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

KULISY SPRAWY

ORDO IURIS

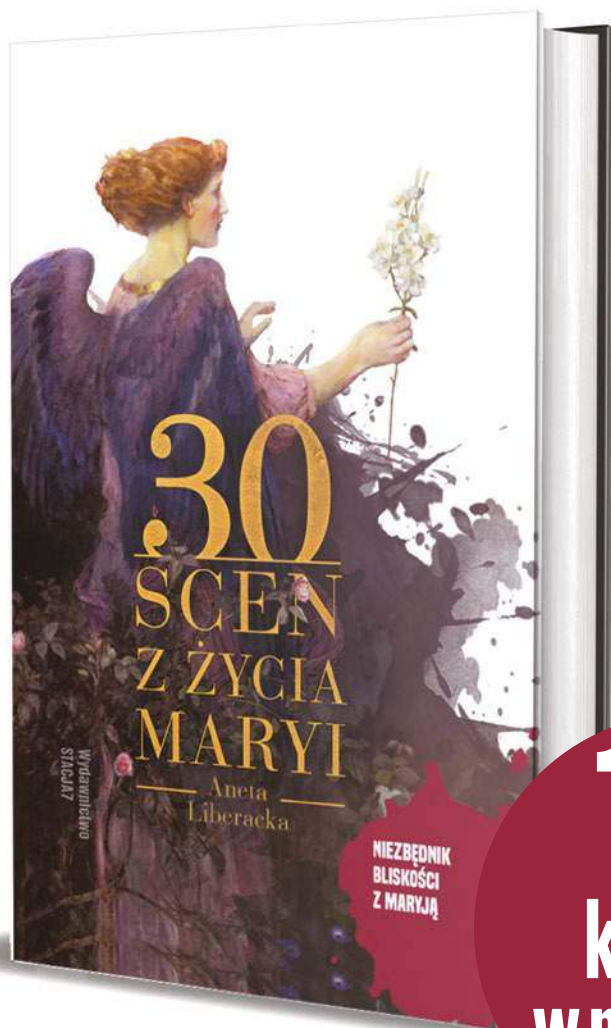
DLACZEGO TAK DRAŻNIĄ?

CZY GŁOŚNY SKANDAL

ICH ZABIJE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





W książce znajdziesz:

- 30 scen z życia Maryi zaczerpniętych z Ewangelii
- 30 prawdziwych historii współczesnych kobiet
- Felietony o Maryi – kobiecie, matce, drogowskaze życia
- Najpiękniejsze modlitwy, litanie i nowenny do Matki Bożej
- Kilkadziesiąt reprodukcji malarskich z Maryją – wśród nich Madonny Papieskie

340 STRON | PIĘKNE REPRODUKCJE | IMPRIMATUR

100
książek
w prezencie

Książkę „30 scen z życia Maryi” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Czy WOŚP opłaca się Polsce?

Pod hasłem „Przejrzyj na oczy” odbył się 30. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W tym roku WOŚP zbiera środki na rozwój leczenia wzroku u dzieci. Zebrano blisko 140 mln zł. Ostateczny wynik zbiórki zostanie ogłoszony pod koniec marca. W sumie w ciągu 30 lat swojej działalności akcja Jerzego Owsiaaka zebrała ok. 1,5 mld zł.

Dużo? Zależy, jak na to spojrzymy. Bo to jest sprawa o szerszym kontekście.

WOŚP i cała aktywność pana Owsiaaka to ważne filary systemu III RP. Wspierany przez media, biznes i polityków Owsiaak odpowiadał tym samym: wsparciem dla bardzo konkretnego kształtu polskiej państwowości, polskiej gospodarki, polskiego życia społecznego. Robił to bardzo sprytnie, miesząc działalność charytatywną z działalnością wprost polityczną. W rezultacie powstawała mieszanina wyjątkowo obrzydliwa, ale zarazem w realiach III RP skuteczna.

Owsiaak chronił taki kształt państwa, który uniemożliwiał np. załatwienie luki VAT-owskiej czy powstrzymanie nielegalnego importu paliw, by wymienić najbardziej palące patologie. Robił to z ogromnym zaangażowaniem. Nigdy nie ukrywał, że walczy z tymi, którzy chcieli zmian. Zresztą, gdyby było inaczej, nie stałby się pieszczochem III RP, czyli reżimu (w sensie politologicznym), który każdego choćby podejrzanego o samodzielność niszczył bez żadnych skrupułów.

Ten niewydolny, chwilami patologiczny system nie był w stanie zabezpieczyć odpowiednich dochodów budżetu, a tym samym wystarczającego poziomu finansowania ochrony zdrowia. Podpieraną się więc prowizorką i takimi – w sumie absurdalnymi – akcjami jak doroczna zbiórka Owsiaaka. Wpuszczano w system ochrony zdrowia po marne kilkadziesiąt (później ponad 100) milionów złotych rocznie, przy okazji organizując coś w rodzaju „pochodu

1-majowego III RP”. Owsiaak latał więc patologię systemu, który z całych sił wspierał. Po 2015 r. wszystko stało się jasne. W czasie rządów PiS dochody państwa polskiego wzrosły o ok. 200 mld zł rocznie, podczas gdy za czasów PO – pięciokrotnie mniej. Te dane mówią same za siebie.

Owsiaak i w tym roku nie powstrzymał się od komentowania polityki. Zaatakował Polski Ład – nie za szczegóły czy sposób wprowadzenia, ale za samą ideę sprawiedliwości społecznej, która za nim stoi. „Moja księgowa policzyła, że będę miał 1,1 tys. zł mniej pensji z mojego wynagrodzenia. Nie wiem dlaczego, bo nikomu nic nie zrobiłem. I pracuję uczciwie” – skarżył się Owsiaak. I dodał: „Mam wrażenie, że swoją ostatnią pensję będę oddawał tym, którym nie chce się pracować i liczą na to, że dostaną znowu jakieś pieniądze od państwa. Nie zgadzam się na to i boli mnie to”.

Jak podsumował te słowa na portalu wPolityce.pl Goran Andrijanić: „Mamy tu do czynienia z nowym paradoksem Jurka Owsiaaka. Człowiek, który przez lata przedstawia się jako osoba odwołująca się do sumienia społeczeństwa, jako ktoś, kto twierdzi, że budzi poczucie solidarności i wzajemnej pomocy, teraz krytykuje beneficjentów działań społecznych. Czyni to w arogancki sposób, charakterystyczny dla elit III RP: nazywając tych ludzi »nierobami«, których interesuje tylko to, jak korzystać z państwowych pieniędzy. Owsiaak brzmi po prostu tak, jakby czytał z notatki, którą podrzucił mu Leszek Balcerowicz i jego kumple”. W sumie – jak podkreśla Andrijanić – Owsiaak mówi nam wszystkim: solidarność społeczna to ja, idee charytatywne to ja.

Patrzmy realnie. Niech szlachetne hasła nie przesłonią nam rzeczywistości. Sumarycznie patrząc, 30-letnia aktywność pana Owsiaaka nie służyła rozwojowi Polski i nie sprzyjała również dofinansowaniu ochrony zdrowia. Ona konserwowała status quo – dziś wiemy już na pewno, że patologiczne. Także w sferze finansów państwa, czyli w sferze kluczowej dla ochrony zdrowia. 

Jacek Karnowski





42

Rebelia na haju
*Konrad
Kołodziejcki*



56

**Europejski
kryzys energetyczny
na własne życzenie**
Marek Budzisz



62

Teflonowy Don
*Aleksandra
Rybińska*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 DIABELSKI POSTĘP**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 POLSKA ODPORNA
NA KŁAMSTWA TUSKA**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 CZY REŻYSER MOŻE WSZYSTKO**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA MARKA DREWNOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 UWAGA NA TOKENY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 NIEPAMIĘĆ OSZUKUJE I CHCE
OKRAŚĆ OBYWATELI**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 „SKANDAL OBYCZAJOWY
W ORDO IURIS!”**
Goran Andrijanić

KRAJ

- 24 MIASTO NIE DLA MIESZKAŃCÓW**
Marcin Wikło
- 28 Z GRZEGORZEM GIELERAKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 34 BUNT W PLATFORMIE**
Stanisław Janecki
- 37 Z BOGDANEM PĘKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 42 REBELIA NA HAJU**
Konrad Kołodziejcki

OPINIE

- 45 Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 48 O DZIWCZNEJ SCENIE
POLITYCZNEJ POLSKI**
Bernard Margueritte
- 50 SKUTKI „DOKTRYNY STRZEMBOSZA”**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

- 54 WISŁA – WEŁTAWA:
WSPÓLNA SPRAWA?**
Grzegorz Górny
- 56 EUROPEJSKI KRYZYS ENERGETYCZNY
NA WŁASNE ŻYCZENIE**
Marek Budzisz
- 59 CIĘŻKI PORÓD MIĘDZYNARODÓWKI**
Jan Rokita
- 62 TEFLONOWY DON**
Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

- 65 OD NILU PO BELFAST**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 67 ZWYCIĘZCA WRACA Z CHOPINEM**
Adam Ciesielski
- 68 SUSHARNIA I FENG SHUI**
Robert Tekieli
- 69 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 70 POLECA**
Łukasz Adamski

SPORT

- 72 CZY ZDOBEDZIE MOSKWĘ?**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 74 MOJE SZLAKI: RADOSŁAW
DUNASZEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 ZABORCZA ŻĄDZA ROSJI**
Wojciech Reszczyński
- 77 NIE BĘDZIESZ MIAŁ...**
Aleksander Nalaskowski
- 78 ŚWIADECTWO, AUTENTYZM, MĘSKOŚĆ**
Jan Pospieszalski
- 79 PEGASUSA ZMIANY W ŚWIECIE**
Jerzy Jachowicz
- 80 STRAŻNICY NORMALNOŚCI**
Ryszard Makowski
- 81 OTÓŻ JESTEM!**
Leszek Długosz
- 82 CZEGO ZACHÓD CHCE!**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFFECTA



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo
RACING



TITLE SPONSOR

Sygnalista nadaje

» Za nami kolejne, jak zawsze mocno irytujące doświadczenie, czyli finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W tym roku szczególnie błysnął internauta Patryk Miś, jak się później okazało, wydawca Onet i Onet Rano, prezentując taką oto opowieść: „Starszy pan w pociągu poprosił, żebym wrzucił jego bardzo ciężką walizkę na górną półkę. Zrobiłem to. Pan wyjął portfel i chciał mi dać aż 10 zł »za fałtykę«. Odmówiłem, mówiąc, że ja nie potrzebuję i żeby dał na WOŚP. Powiedział, że na Owsiaka to on nigdy nie da. Zdjąłem walizkę”. W sumie niezła metafora całej akcji, która jest parodią akcji charytatywnej. W istocie to pochod 1-majowy III RP.

» Aktor Bogusław Linda stwierdził, że katolicyzm jest najgorszą rzeczą, jaka przydarzyła się Polsce. „On tu wszedł i rozpie...! nasz kraj. Kościół rozwalil ten kraj, ogłupiając ludzi” – przekonywał. I dodawał: „Przecież lepiej było odprawiać msze po łacinie, żeby nikt niczego nie rozumiał. Lepiej było nie tłumaczyć Biblii, bo jeszcze ludzie dowiedzieliby się, że piekło zostało wymyślone. A tak można było zarabiać na odpustach”. Bełkot, ale zastanawiający. Bo wynika z tego, że Linda ma pretensje do Mieszka I o chrzest państwa Polan. Głupi, głupszy, lewicowy aktor?

» Włodzimierz Cimoszewicz ubolewa nad budową bariery wzdłuż granicy z Białorusią. „Przeprowadziłem się do Białowieży, szukając spokoju. Przez kilka lat rzeczywiście przychodziły do mnie żubry i jelenie. Teraz mam takie sąsiedztwo. Możecie sobie łatwo wyobrazić, co myślę o barbarzyń-

cach niszczących puszcze” – napisał, publikując zdjęcie ciężkiego sprzętu stojącego za płotem. Tak bywa, że historia puka do naszych drzwi – chcemy tego czy nie. Bezpieczeństwo państwa jest jednak ważniejsze niż komfort pana Cimoszewicza.

» Na pytanie, jak ocenia budowę zapory, Cimoszewicz odpowiedział: „Jak najgorzej. To jest pomysł z piekła rodem!”. Dlaczego? „To prawdziwy dramat dla Puszczy Białowieskiej. Tego nie rozumieją ludzie, którzy nie wiedzą, co to jest wspólny ekosystem. Granica dzieląca puszcze ma charakter polityczny, ale nie powinna to być granica dla natury, przyrody, zwierząt. Stawia się coś, co teoretycznie może mieć charakter trwały i stać przez dziesięciolecia”. Cóż zrobić? Zagrożenie ze Wschodu też może potrwać dziesięciolecia.

» Tuż przed zawarciem kompromisu z Czechami rzecznik generalny TSUE stwierdził: „Przedłużając o sześć lat termin obowiązywania koncesji na wydobywanie węgla brunatnego w kopalni Turów bez przeprowadzania oceny oddziaływania na środowisko, Polska naruszyła prawo Unii”. Zareagował Patryk Jaki: „Jakikolwiek własne decyzje polskiego państwa są niezgodne z prawem UE. Istnienie Polski, która wykonuje polecenia Niemiec, jest zgodne z prawem UE. Natomiast Polska mająca swoje zdanie jest niezgodna z prawem UE”. Celnie. Przed nami naprawdę dramatyczne wybory.

» **Rafał Trzaskowski** pochwalił się zdjęciem z nowym ambasadorem USA w Polsce Markiem Brzezińskim:

Jarosław Kaczyński o Polskim Ładzie: „Nie dziwię się, że pojawiła się krytyka tego, co wydarzyło się z częścią pierwszych wypłat, bo tu mamy do czynienia z czymś, co trzeba naprawić i co jest bolesne. Stało się coś więcej niż niewłaściwego. Przypuszczam, że ci, którzy to przygotowywali na poziomie politycznym, półpolitycznym, niezupełnie zapanowali nad tym, co jest im podległe i tam, być może, zadziałał brak dostatecznych kwalifikacji, być może także i brak dobrej woli”. Szkoła tej szansy.

„Pierwsze, jeszcze nieformalne, spotkanie z Markiem Brzezińskim. Bardzo cieszę się na przyszłą współpracę!”. Rzec skomentował Artur Zawisza: „Stany Zjednoczone nie ustanowiły ambasadora USA w Rzeczypospolitej Polskiej, ale ambasadora administracji Bidena przy opozycji wobec rządu zjednoczonej prawicy. Może więc ów rząd poszedłby po rozum do głowy i zredefiniował relacje z tym krajem z wielce usługowych na partnerskie?”. No właśnie, niedawno próbował coś zmienić. Środowiska narodowe wsparcia nie udzieliły.

Trzaskowski ogłosił także, że PO była przeciwna Nord Stream 2: „Nie jestem zwolennikiem przemykania oka przez niektórych polityków niemieckich na to, co się działo w Rosji. [...] Krytykowaliśmy wielokrotnie zaangażowanie polityków niemieckich choćby w przedsiębiorstwa rosyjskie” – stwierdził. Nie wskazał gdzie ani kiedy. Nie powiedział też, jak to się ma do jego słynnej wypowiedzi, gdy mówił o „porozumieniu prywatnych firm”, zapewniając: „To trzeba jasno powiedzieć, że nie stoją za tym dzięki Bogu rządy”. To jest jednak bezwstydy.

Prezydent Warszawy zaatakował PiS za współpracę z europejskimi konserwatystami. „Nie da się porównać rządów niemieckich, które jakieś swoje małe grzechy mają, do polityka, czyli do Marine Le Pen, która wspiera Putina, jasno o tym mówi. Gdzie są doniesienia, że wręcz jej partia była wspierana finansowo przez Putina”. Rzeczywiście, nie da się. Le Pen co najwyżej mówi, a kanclerz Merkel zbudowała gazociąg, co premier Morawiecki słusznie nazwał „nabijaniem pistoletu Putinowi”. Prorosyjskie dokonania chadeków są imponujące i dziś nie mają prawa nikogo pouczać.

W czasie 33. Pielgrzymki Parlamentarzystów na Jasną Górę marszałek Sejmu Elżbieta Witek odczytała Akt zawierzenia posłów i senatorów Matce Bożej: „Królowo Polski, wyproś nam, posłom i senatorom, mądrość i odpowiedzialność w podejmowanych decyzjach. Czyń wrażliwymi nasze sumienia, byśmy zawsze mieli na względzie dobro wspólne, czyli dobro ogółu i każdego bez wyjątku człowieka, by wszystko, co robimy, stanowiło przejaw poszanowania godności osoby ludzkiej”. Ważny apel w czasie kolejnego najazdu barbarzyńców na naszą cywilizację.

Akt zawierzenia oburzył posłankę PO Iwonę Śledzińską-Katarasińską. „Marszałek Sejmu zwraca się do Matki Boskiej o mądrość i odpowiedzialność posłów i senatorów. Nie jestem



od obrony symboli religijnych – wręcz przeciwnie jest mi to obojętne, ale uprzejmie proszę o odklejenie parlamentu od wyznań wiary”. Zawsze jest jakieś wyznanie wiary: albo w Boga, albo w Marksa, albo w homoseksualną tęczę. Próżni nie ma.

TVN24 zajął się obniżką cen paliw po obniżeniu przez rząd podatków. „Czy my się bogacimy, czy się nie bogacimy i ile tak naprawdę tego paliwa możemy sobie kupić? Helmut może sobie zatankować 2,3 tys. litrów za średnią krajową brutto – 1,73 euro za litr w Niemczech. W Polsce, nawet po tym cięciu, 5 zł za litr, a średnia GUS za grudzień to 6644 zł, 1,3 tys. litrów. Czyli ten Niemiec, pan Helmut, może sobie kupić tysiąc litrów więcej za średnią krajową niż w Polsce. Czyli jeszcze daleka droga” – przekonywał dziennikarz. Gdyby nie aktywność mediów – strażników polskiej podległości – byłoby znacznie bliżej.

PO zwołała Kongres Programowy „Od-porna Polska”. Być może przedstawione propozycje zostałyby potraktowane poważnie, gdyby nie to, że **Donald Tusk** wygłosił przemówienie, ściskając w rękę wymiętą kartkę z odręcznymi notatkami, na którą stałe zerkał podczas wystąpienia. Zwracał uwagę napisany dużymi literami i podkreślony skrót „PiS”. W zasadzie wszystko się zgadza: Tusk to wyłącznie antypis. Poza tym nie ma nic do zaproponowania i niczego istotnego nie reprezentuje.

Red. **Tomasz Lis** przechodzi samego siebie: „Faszystowski lider albo lider w typie faszystowskim, jakim jest Kaczyński, nie musi zdobywać większości głosów w wyborach. Nie potrzebuje jej. Szkoda więc czasu i wysiłku. Zamiast tego lepiej przeznaczyć energię na znalezienie sposobu, by efektywnie rządzić, mając za sobą mniejszość. Prezes PiS doskonale wiedział, że do objęcia władzy nie potrzebuje poparcia większości. Do rządów gotowej na wszystko autorytarnej mniejszości wystarczy słabość większości”. Ciekawe, jak wyjaśni w świetle tej logiki podwójne zwycięstwo prezydenta wywodzącego się z PiS.

„Partia Razem złoży projekt ustawy w tej sprawie. W tej kadencji Sejmu, w ciągu najbliższych miesięcy, pojawi się projekt skrócenia czasu pracy” – zapowiedział poseł Lewicy Maciej Konieczny. Czas pracy miałby wynosić siedem godzin dziennie. Jednak za wcześnie. Musimy gonić Zachód. Musimy być bogaci, bardzo bogaci, bo tylko wtedy będziemy bezpieczni. 

WIEŻA BAB

Zanurzenie się w osiągnięciach świata wolności i postępu potrafi przyprawić o zawrót głowy, a nieraz o torsję.

Weźmy taką np. Szwajcarię. Nowocześni i postępowi Szwajcarzy wprowadzili, w trosce o osoby mające problem z identyfikacją płciową, nowe przepisy ułatwiające formalną zmianę płci. Każdy, kto nie utożsamia się ze swoją dotychczasową płcią, może ją zmienić w rejestrze stanu cywilnego. Aby tego dokonać, wystarczy 10-minutowa rozmowa z urzędnikami oraz opłata w wysokości 75 franków szwajcarskich (ok. 330 zł). Żadna dokumentacja medyczna nie jest wymagana. I właściwie wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że Szwajcarzy okazują się równie kreatywni jak Polacy. 60-letni mieszkaniowiec tego kraju, korzystając z uproszczonej procedury administracyjnej, zmienił płeć, by rok wcześniej otrzymać emeryturę. Co jednak, gdy kobietami zechcą masowo zostać Szwajcarzy w wieku poborowym? Dlaczego nie, skoro według nowych przepisów urzędnicy służby cywilnej „nie mają obowiązku sprawdzania intymnych przekonań zainteresowanych zmianą płci osób”. Urzędnicy zakładają, że zainteresowana osoba powie prawdę.

A gdy już jednak takiemu Szwajcarowi znudzi się bycie i kobietą, i mężczyzną? Wtedy władze kraju spieszą z kolejnym genialnym pomysłem. Zalegalizowano tam urządzenie zwane sacro lub kapsułą do umierania. Wynalazek ma być stosowany w samobójstwach wspomaganych, a dostępny będzie już od przyszłego roku. Kapsuła drukowana w 3D, którą zatwierdziła Szwajcaria, to projekt dr. Philipa Nitschkego – aktywisty walczącego o prawo do eutanazji. Urządzenie jest przenośne, więc osoba decydująca się na samobójstwo wspomagane może wybrać miejsce, gdzie to się stanie. Kapsuła jest sterowana od wewnątrz. Po aktywacji do środka urządzenia gwałtownie pompowany jest azot, co redukuje poziom tlenu. Osoba znajdująca się w środku traci przytomność i umiera. Jak zapewnia projektant, następuje to bez uczucia duszenia się czy paniki. Teoretycznie samobójstwo wspomagane możliwe jest w sytuacji nieuleczalnego lub terminalnego stanu pacjenta, który powoduje u niego cierpienie. Ale co, gdy nadmiar cierpienia przyniesie samo życie?

Diabelski postęp

60-letni Szwajcar, korzystając z uproszczonej procedury administracyjnej, zmienił płeć, by rok wcześniej otrzymać emeryturę

nikt nie musiał się kryć ze swoimi pragnieniami. Pomysł organizacji skierowany jest, przynajmniej na razie, do osób nieuleczalnie chorych. Chodzi o to, by nie musiały one czekać na zgodę i by mogły przeprowadzić eutanazję we własnym zakresie.

Specyfik ten miałby być szeroko i legalnie dostępny. Pewnie nikt nie bierze pod uwagę, że mógłby on posłużyć np. małżonkom, którzy nieco się sobą znudzili, lub pracownikowi, który ma na pieńku z szefem, czy wnuczkowi, który liczy na spadek po babci.

Jeśli jednak powyższe doniesienia nie robią na czytelniku wrażenia, przenieśmy się do Belgii, gdzie praktykuje się eutanazję na nowonarodzonych dzieciach. Według artykułu opublikowanego w połowie 2021 r. w „British Medical Journal”, 61 proc. wszystkich zgonów dzieci do 1. roku życia w belgijskiej Flandrii między wrześniem 2016 r. a grudniem 2017 r. było poprzedzonych „decyzją dotyczącą końca życia”, która mogła przyspieszyć śmierć. W 37 proc. wszystkich zgonów w tej grupie było to wstrzymanie lub zaprzestanie leczenia, w 14 proc. – podanie substancji, które mogły spowodować śmierć, w 10 proc. – podanie substancji z wyraźnym zamiarem uśmiercenia. Ostatnia kategoria dotyczyła śmierci aż 24 dzieci! Były to głównie przypadki, w których „nie było nadziei na znośną przyszłość” dzieci, czyli była to celowa eutanazja, która w Belgii nie jest legalna dla niebędących w stanie wyrazić swojej woli dzieci. Jednak belgijskie organy ścigania nie badają tych spraw.

Jeśli tak się rozumie praworządność, wolność i prawa człowieka, to już wolę nasze ciemnogród i średniowiecze. 

Dorota Łosiewicz



Ochroniamy siedliska ptaków podczas prac termomodernizacyjnych



Jerzyki, wróble, jaskółki – to tylko niektóre gatunki ptaków zakładających gniazda w budynkach. Przyrodnicy są bardzo ważnymi zwierzętami dla miast. Szczególnie pożyteczne są latem – kiedy zjadają tysiące owadów, w tym uciążliwe dla ludzi komary. Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK), który pomaga finansować termomodernizację i remonty, przypomina, że o ochronie ptaków trzeba pamiętać np. w trakcie docieplania bloków mieszkalnych

Nieodpowiednio prowadzone prace termomodernizacyjne mogą uniemożliwić ptakom przeprowadzenie lęgów, a nawet doprowadzić do ich śmierci. Dlatego warto zwrócić uwagę na prace prowadzone w najbliższej okolicy.

Jest kilka zasad, których inwestorzy powinni przestrzegać podczas planowania i realizacji termomodernizacji oraz remontów, aby zadbać o bezpieczeństwo ptaków. Przede wszystkim należy się skonsultować z ornitologiem, który sprawdzi, czy w budynku mieszka ptaki lub nietoperze.

Ornitolog Marta Światała zwraca uwagę, że ptaki występujące w budynkach są chronione. – Każdy remont lub termomodernizacja wymaga stwierdzenia, czy w danym budynku występują siedliska lęgowe tych zwierząt – zaznacza.

Jak mówi, gatunkiem szczególnej troski są jerzyki: – Są to ptaki niesamowite, które zdobywają pokarm wyłącznie w locie – przede wszystkim komary, muchy – owady, które potrafią nam uprzykrzać życie.

Jerzyki przebywają w Polsce od kwietnia do sierpnia. W tym czasie jeden osobnik łapie kilka tysięcy owadów dziennie. – Jeżeli pomnożymy to przez liczbę ptaków na osiedlu, gdzie w jednym budynku potrafi mieszkać kilkanaście par

jerzyków, to robi się całkiem sympatyczna liczba choćby komarów, których jest trochę mniej. Ale nie to jest jedynym powodem, dla którego należy jerzyki chronić. Wszystkie ptaki należy chronić po prostu dlatego, że są – dodaje Marta Światała.

Aby odpowiednio wykonać termomodernizację, czasem trzeba zniszczyć ptasie gniazda. Można to jednak zrobić wyłącznie po uzyskaniu odpowiedniej zgody Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska (RDOŚ). Prace należy prowadzić zgodnie z decyzją RDOŚ i pod nadzorem przyrodniczym.

Prace termomodernizacyjne najlepiej przeprowadzić poza czasem lęgów ptaków i nietoperzy zamieszkujących dany budynek. Najczęściej jednak prace są wykonywane w sezonie lęgowym. W takim przypadku odpowiednio wcześniej należy zabezpieczyć otwory i szczeliny tak, aby uniemożliwić ptakom dostęp do gniazd.

Po zakończeniu prac termomodernizacyjnych trzeba wykonać tzw. kompensację przyrodniczą. W praktyce oznacza to np. montaż specjalnych budek lęgowych. Skutecznym rozwiązaniem jest pozostawienie miejsc, z których ptaki będą mogły korzystać po skończonej termomodernizacji.

Niestety nie wszyscy inwestorzy wiedzą i pamiętają o konieczności ochrony siedlisk ptaków w budynkach. Dlatego

BGK przygotował dla nich poradnik, w którym krok po kroku wyjaśnia, dlaczego i jak należy zaplanować oraz prowadzić prace termomodernizacyjne, aby skrzydlatym lokatorom nie stała się krzywda. Poradnik można pobrać ze strony internetowej banku www.bgk.pl

– Misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wspieranie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. Jako instytucja społecznie odpowiedzialna chcemy również dbać o środowisko naturalne – mówi Przemysław Osuch, dyrektor Departamentu Funduszy Mieszkaniowych w BGK. Zależy nam, aby przedsięwzięcia finansowane ze środków Funduszu Termomodernizacji i Remontów były realizowane z poszanowaniem środowiska. Inwestorzy powinni pamiętać, że ptaki są naszymi sprzymierzeńcami – dodaje.

Fundusz Termomodernizacji i Remontów (FTiR) to fundusz, z którego środków BGK wspiera termomodernizację i remonty. BGK przyznaje inwestorowi premię, która spłaca część kredytu zaciągniętego na remont lub termomodernizację w banku kredytującym, który podpisał z BGK odpowiednią umowę. Wnioski o premie przyjmują banki kredytujące.

Więcej informacji dostępnych jest na stronie internetowej Banku Gospodarstwa Krajowego: www.bgk.pl

Medialna wojna

Niemiecka Komisja Regulacji i Nadzoru (ZAK) zabroniła rosyjskiemu nadawcy RT (dawniej Russia Today) działalności w Niemczech. Według komisji rosyjska telewizja nie dysponuje odpowiednią koncesją.

Redaktor naczelna RT Margarita Simonian nazwała decyzję ZAK „nonsensem” oraz zapewniła, że stacja „oczywiście nie zaprzestanie nadawania”. RT, uważana za propagandową tubę Kremla, rozpoczęła swoją działalność w Niemczech dopiero w grudniu 2021 r., opierając się na serbskiej koncesji o – jak twierdzi Kreml – „europejskim zasięgu”. O niemiecką nigdy nie wystąpiła. Jak twierdzą media za Odrą, zapewne dlatego, że z zasady nie jest ona udzielana podmiotom, których programy są dyktowane przez obce państwa lub partie polityczne.

Kilka godzin po starcie niemieckojęzycznej RT dwa kanały stacji zostały zablokowane przez Google’a na platformie YouTube. Jako uzasadnienie gigant technologiczny podał „szerzenie przez stację fake newsów na temat pandemii”. Kilka dni później na prośbę niemieckiego regulatora operator satelitarny Eutelsat usunął RT DE ze swojej platformy. Dziś stację można oglądać

w Niemczech głównie poprzez stronę internetową.

Na reakcję rosyjskich władz nie trzeba było długo czekać. Rosyjski ambasador w Berlinie Siergiej Nieczajew zapowiedział odwet za zablokowanie stacji. „Jest wiele możliwości. Mamy w Rosji tylu niemieckich dziennikarzy” – zaznaczył dyplomata w rozmowie z agencją DPA. Gdy 18 stycznia szefowa MSZ Niemiec Annalena Baerbock przebywała z wizytą w Moskwie, spór o RT stał się jednym z tematów rozmów. Podczas konferencji prasowej z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem Baerbock musiała się mierzyć z pytaniami o „prześladowanie” rosyjskich mediów nad Odrą. „To będzie miało konsekwencje dla niemieckich mediów w Rosji. Jeśli chcemy temu zapobiec, musimy coś z tym zrobić” – ostrzegł Ławrow. Szef ZAK Wolfgang Kreißig uważa, że „Kreml niepotrzebnie robi z tego kwestię polityczną. Tu chodzi o zwykły brak koncesji”.

Jednak sprawa ma wymiar polityczny. Niemiecki kontrwywiad napisał w raporcie w 2020 r., że „Rosja usiłuje wpłynąć na opinię publiczną w Niemczech za pomocą dezinformacji i propagandy, którą szerzy poprzez swoje kanały telewizyjne”. Ten punkt widzenia potwierdził nie-

miecki rząd w odpowiedzi na zapytanie liberalów z FDP, twierdząc, że „Russia Today jest kluczowym elementem rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej”. Tygodnik „Der Spiegel” zwrócił zaś uwagę, że częstymi gośćmi stacji są politycy Alternatywy dla Niemiec (AfD) i skrajnie lewicowej Die Linke. Stałym autorem jest Rainer Rupp – były agent Stasi, który pod pseudonimem Topas infiltrował NATO.

Ponieważ Berlin jest w kwestii koncesji nieugięty, Moskwa zamierza ukarać niemieckie media działające w Rosji. Mówi się o cofnięciu koncesji na nadawanie kanału publicznego Deutsche Welle.

Aleksandra Rybińska

 **Niemcy**



Cudzoziemska większość

Nie ma chyba drugiego państwa na świecie, które prowadziło ostatnio tak restrykcyjną politykę antyimigracyjną jak Kuwejt. W 2021 r. władze tego kraju deportowały 18 221 gasterbeiterów i zmusiły do wyjazdu ponad 257 tys. imigrantów. Celem tej polityki, zwanej kuwejtyzacją, jest zmiana panującej nierównowagi demograficznej. Okazuje się, że imigranci stanowią dziś ok. 70 proc. całej populacji państwa.

Zarazem rząd chciałby zachęcić rdzennych mieszkańców do podejmowania prac uważanych za mniej atrakcyjne pod względem statusu społecznego i wynagrodzenia. Przy czym nie chodzi tu wcale o proste zajęcia dla niewykwalifikowanych robotników, lecz np. o etaty w ochronie zdrowia czy w systemie oświaty. W obu tych obszarach ok. 65 proc. pracowników stanowią cudzoziemcy.

Problemem Kuwejtu jest to, że przez lata sektor publiczny był tam mocno rozbudowany i preferencyjnie traktowany przez władze zarówno pod względem płac, jak i podatków. Nic więc dziwnego, że aż 74 proc. spośród

wszystkich zatrudnionych obywateli pracuje dziś na państwowych posadach. W dobie globalnego kryzysu takie obciążenie dla budżetu staje się coraz bardziej odczuwalne.

Narazie rządowa polityka nie przynosi spodziewanych efektów. Z jednej strony Kuwejtczyzy nie chcą zamieniać etatów w instytucjach publicznych na mniej pewny biznes prywatny, z drugiej zaś wypychanie cudzoziemców za granicę doprowadziło do nagłego niedoboru siły roboczej i stało się zagrożeniem dla gospodarki.

Ekonomiści uważają, że jakimś wyjściem z impasu mogłoby być uwolnienie niewykorzystanego dotychczas potencjału niemal połowy rodzimego społeczeństwa. Chodzi o kuwejckie kobiety, których większość w patriarchalnym systemie muzułmańskim nie pracuje nigdzie poza domem. Mogłyby one z powodzeniem znaleźć zatrudnienie w niektórych sektorach zdominowanych obecnie przez cudzoziemców, np. jako prawniczki czy nauczycielki. To wymagałoby jednak czegoś więcej niż tylko zmiany przepisów: zmiany mentalnej w całym społeczeństwie.

Grzegorz Górny

 **Kuwejt**





Wielka Brytania 

Wymieranie Anglików

Po raz pierwszy w historii Wielkiej Brytanii większość kobiet, które przekroczyły 30. rok życia, nie ma dzieci. Tak wynika z badań Office for National Statistics (ONS) czyli rządowego organu zajmującego się badaniami statystycznymi. Co dziesięć lat ONS przeprowadza spis ludności w Anglii i Walii.

Najnowsze statystyki wskazują, że 50,1 proc. kobiet urodzonych w 1990 r. nadal nie posiada potomstwa, podczas gdy w 1971 r. tylko 18 proc. 30-letnich kobiet nie miało dziecka. Wzrost bezdzietności w tej grupie wiekowej jest więc dramatycznie wysoki. ONS odnotowuje też, że kobiety decydują się na pierwsze dziecko średnio w 31. roku życia. Amanda Sharfinan z ONS tak komentuje wyniki badań: „Obserwujemy opóźnienie macierzyństwa u kobiet urodzonych w 1990 r. Poziom braku dzietności wśród kobiet 30-letnich systematycznie wzrasta. Coraz niższy poziom płodności u kobiet po 20. roku życia będzie ten trend wzmacniał”.

Jedną z przyczyn zapaści demograficznej na Wyspach jest – jak się uważa – polityka fiskalna brytyjskiego rządu w latach 70. XX w. System został tak skonstruowany, że bardziej się opłacało, gdy w rodzinie dwie osoby zarabiały 25 tys. funtów rocznie, niż gdyby jedna przynosiła 50 tys. To spowodowało, że decyzja o macierzyństwie była ciągle odkładana na później. Do tego doszły kolejne dwa problemy. W kwietniu 2020 r. ONS opublikowało badania, z których wynika, że od 1972 r. liczba zawieranych małżeństw spadła aż o 45 proc. Dziurę demograficzną zaczęli więc zapełniać imigranci. W 2020 r. już 28 proc. urodzeń na Wyspach przypadało na przyjezdnych.

Jo Mountfield, konsultantka położnictwa ze stowarzyszenia Royal College of Obstetricians and Gynaecologists, potwierdza w rozmowie z lewicowym dziennikiem „The Guardian”, że decyzja kobiet o odłożeniu albo rezygnacji z macierzyństwa ma podłoże społeczne i finansowe. Jednak Mountfield nie widzi w tym problemu, na który zwracają uwagę konserwatyści. „Dzięki postępowi nauki, medycyny, technologii, dostępowi do antykoncepcji czy mrożenia komórek jajowych, kobiety mają większą kontrolę nad tym, kiedy chcą mieć dzieci” – twierdzi Mountfield, zastrzegając jednak, że kobiety powinny być świadome, iż po 35. roku życia zwiększa się ryzyko komplikacji ciąży.

Łukasz Adamski

Gorąca granica

Kirgistan 

Na granicy Kirgistanu i Tadżykistanu znów doszło do walk z użyciem moździerzy i granatników, Kirgizi wykorzystali też dwa tureckie drony bojowe Bayraktar, które Biszkek zakupił (po 5 mln dol. za sztukę) w ub.r. Z rejonów objętych walkami ewakuowano po stronie kirgiskiej ponad 24 tys. ludzi. Według różnych informacji kilka osób poniosło śmierć.

To już drugi w ciągu roku konflikt graniczny między oboma państwami. Tym razem starcia zaczęły się od zamknięcia lokalnej drogi biegnącej przez sporne terytorium w obwodzie batkańskim na zachodzie Kirgistanu. Jest ona o tyle ważna, że łączy Tadżykistan z jego położoną wewnątrz Kirgistanu eksklawą Woruch. Obie strony obwiniają się o spowodowanie konfliktu. Według władz w Duszanbe zaostrożenie sytuacji nastąpiło po tym, jak kirgiska ludność obrzuciła kamieniami samochód z materiałami budowlanymi przeznaczonymi do remontu drogi biegnącej przez sporne terytorium, w co mieli włączyć się kirgiscy strażnicy graniczni. Biszkek z kolei kolportuje wersję, że początkiem konfliktu była próba zablokowania drogi przez niezidentyfikowanych mieszkańców Tadżykistanu.

Niezależnie od przyczyn wybuchu pozostaje faktem, że mamy do czynienia z kolejnym poważnym incydentem między państwami wchodzącymi w skład rosyjskiego bloku wojskowego OUBZ, które z formalnego punktu widzenia są sojusznikami. Źródłem zadrążeń są nieuregulowane spory graniczne. Mimo 30 lat niepodległości oba państwa nie przeprowadziły dotychczas wyznaczenia linii granicznej. Tadżycy powołują się na ustalenia komisji rządowych jeszcze z lat 20. i 30. ubiegłego stulecia, które w opinii Kirgizów nie obowiązują. Sytuację komplikuje również walka prezydenta Kirgistanu Sadyra Dżaparowa z niewielką parlamentarną frakcją opozycyjną Bütün Kyrgyzstan, której lider Adachan Madumarow pochodzi ze spornego regionu i jest oskarżany przez obecne władze o to, że w 2009 r. podpisał jako ówczesny sekretarz Rady Bezpieczeństwa niekorzystną umowę w sprawie spornego odcinka granicznego.

Zdaniem obserwatorów żadna ze stron nie wydaje się zdolna do osiągnięcia kompromisu, a konflikt graniczny to przejaw znacznie głębszego kryzysu w państwach postsowieckiej Azji Środkowej, wywołanego trudną sytuacją gospodarczą w związku z pandemią i ograniczeniem migracji zarobkowej do Rosji oraz politycznymi skutkami zwycięstwa talibów w Afganistanie. Im bardziej więc nawarstwiają się napięcia prowadzić będą do destabilizacji w regionie, tym mocniej zagrożone reżimy będą uderzać w nacjonalistyczną nutę, aby rozładować w ten sposób społeczne emocje.

Marek Budzisz



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Polska odporna na kłamstwa Tuska

Podczas niby-konwencji pod hasłem „Odporna Polska” wystąpił Tusk z kartką. Ponieważ każdy jego kontakt z ludźmi kończy się nieprzyjemnym zgrzytem, z publiczności przytomnie zrezygnowano. Tło społeczne reprezentowało kilkadziesiąt monitorów na ścianie. Do nich adresował mówca swoją chaotyczną narrację, w czym pomagały mu rozbiegane oczka i roztrzęsione łapki. Ponieważ kilka dni wcześniej oglądaliśmy kremłowskiego Ławrowa, można było dostrzec podobieństwo obu funkcjonariuszy – żadnych zahamowań wlganiu. Teza Ławrowa, że Rosja nigdy nie atakowała innych państw, lecz się broniła, wprawiła w osłupienie półgłobu. Podobnie głupkowaty atak Tuska na PiS, poza którym świata nie widzi, jak mówiło się kiedyś o natrętnych zalotnikach. Między wieloma bzdurami rzucił zdanie, że on „nie pozwoli ludzi okradać z pieniędzy”. No, szok!

Przez dwie kadencje jego ekipa rządząca Polską zajmowała się głównie okradaniem ludzi! Jeżeli nie pamięta, niech zapyta swojego pupila Sławomira N. z klubu rekinów i znajomków z Amber Gold. Niewykluczone, że cierpi na sklerozę. To często



**Jan
Pietrzak**

w tym środowisku spotykana choroba, występująca w kontekście finansowym.

Pewna pani w moim wieku (serdecznie pozdrawiam!) spytała go na ulicy, czemu sprzyja Niemcom. Odparł, że ona uległa propagandzie, czyli on nie ulega Niemcom. Swojego przemówienia po niemiecku na tle Gdańska, pełnego służalczych pochlebstw i podziwu dla błogosławionego niemieckiego porządku już nie pamięta, biedaczyna. Może z tego powodu doprosił z Brukseli wsparcie. Jego kumpel González, z pochodzenia Hiszpan, z powołania ignorant. Zapowiedział, że przyjeżdża, by „zmienić władze, które wydają się nie być dobre dla Polski”. Mnie się wydaje, że taki gość to persona grata.

My w Polsce mamy zwyczaj zwany demokracją, że władzę wybieramy sobie sami. Natomiast władze narzucone przeganiamy za pomocą powstań, buntów i wojen. Niestety nie zawsze wybieraliśmy dobrze, jak to się zdarzyło z Tuskiem, ale to jest nasz problem i nasza odpowiedzialność. Demokracja działa metodą prób i błędów. Błędy p.n. Tusk już nie popełnimy. Jesteśmy uodpornieni na tego zdradliwego wirusa.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bieg na orientację

Wyobraźmy sobie pewien klub olimpijczyków. To ci, którzy – oprócz tego, że są wybitnymi sportowcami i dzięki temu zakwalifikowali się na igrzyska – mają nietypowe obyczaje seksualne. Ot, choćby są wielbicielemi czegoś, co określa się skrótem BDSM. Dominacja i uległość, sadyzm i masochizm. Są tacy ludzie? Oczywiście. Kiedy obu (wszystkim) stronom stosunku seksualnego to pasuje, to nikt im w sypialni, za zamkniętymi drzwiami, niczego nie zakazuje. W końcu, jak uważają nowocześni seksuolodzy, skończył się czas, gdy coś było normą, a coś zboczeniem. No, może tylko seks ze zwierzętami to przesada, bo narusza prawa osoby animalnej.

Ale wróćmy do BDSM, bo tu nie ma większej dyskusji na temat tego wolno czy nie wolno, jeśli jest obopólna zgoda. Otóż wyobraźmy sobie, że grupa sportowców (i sportowczyń) gustujących w seksie z elementami przemocy, w skórzanych strojach i z biczami, szczyci się swoimi upodobaniami przed wyjazdem na igrzyska w Pekinie. – Wspaniale jest być częścią tego wyrafinowanego środowiska – mówi brytyjski lyżwiarz figurowy. – Wspieram całą naszą społeczność BDSM – dodaje czeska snowboardzistka. – W plecaku noszę różaniec, ale mam tam też pejczy i otwarcie mówię o swoich seksualnych

preferencjach – dorzuca amerykańska lyżwiarzka szybka. A jej kolega z reprezentacji, narciarz dowolny, w wywiadach opowiada o swoich upodobaniach, aby pokazać dzieciom, które też marzą o seksie z przemocą, że nie powinny się tego wstydzić.

P.T. Czytelnicy najpewniej uznaliby istnienie takiego klubu olimpijczyków przynajmniej za dziwactwo. Niektórzy pewnie stwierdzą, że istnienie takiej grupy jest niemożliwe i bezsensowne. Tymczasem, proszę sobie wyobrazić, taki zdeklarowany kolektyw istnieje i, wspierając się nawzajem, jedzie na igrzyska do Pekinu. I nie chodzi o praktykujących w sumie dość niewinną fiksację, za którą można uznać BDSM, ale o poważniejsze odstępstwo od normy, czyli o wielbicieli seksu jedнопłciowego. Wszystkie powyżej zacytowane wypowiedzi sportowców padły (choć nie w kontekście seksu z przemocą). Homoolimpijczycy szczytą się, że jest ich już kilkudziesięciu i z dumą zamierzają reprezentować swoją orientację w Chinach.

Mam nadzieję, że z podobną godnością będą występować na igrzyskach normalni. Choć na pytanie, co sport ma wspólnego z lózkowymi upodobaniami, trudno mi znaleźć odpowiedź.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy reżyser może wszystko



Polski teatr przeżywa kryzys. Zastąpienie Tadeusza Słobodzianka na stanowisku dyrektora warszawskiego Teatru Dramatycznego przez Monikę Strzępkę jest tego wyrazem. Można pocieszać się, że upadek teatru w naszym kraju nie jest wyjątkiem, ale czy jest to pocieszenie?

Sprawie poświęciłem poprzedni felieton, a kontynuując ją, ryzykuję znudzenie czytelników. Europa i świat znalazły się na skraju wojny; drukowane bez umiaru pieniądze oraz bezrozumna polityka „ekologiczna” prowadzą do galopującej inflacji i ryzykują globalny kryzys ekonomiczny, a ja w kółko o teatrze?

Teatr, jak sztuka w ogóle, to zwierciadło, które pozwala nam zobaczyć, a więc i zrozumieć siebie. Fakt, że jest nim coraz mniej, że jest coraz mniej teatrem, to symptom tego, co dzieje się z naszą kulturą, a więc z nami, a jednocześnie czynnik generujący destrukcyjne zjawiska.

Głośna ostatnio Maja Kleczewska, reżyser, która w Teatrze Słowackiego „Dziady” przerobiła na antypisowską agitkę, deklaruje, że arcydzieła opowiada własnymi słowami, bo „wierność autorom bywa niebezpieczna”. Wynika z tego, że ich szyldem sygnuje własne pomysły. Czy reżyser ma prawo zrobić przedstawienie przeciw tekstowi, który formalnie ma wyłącznie ożywić, bo tym przecież, w każdym razie z założenia, jest jego zadanie?

Czy jakość dzieła jest jedynym kryterium? Przyjęliśmy, że spektakl sam siebie usprawiedliwia lub potępia. Przedstawienie kiepskie, choćby najbardziej wiernie odtwarzało klasykę, jest nic nie warte, sztuka dobra, choćby kpila z dzieła, które oficjalnie jest jej pierwowzorem, godna jest aplauzu.

Wartościowanie takie wydaje się oczywiste, zwłaszcza w odniesieniu do wiernej adaptacji oryginału, która przynosi nieciekawe przedstawienie. Jeśli jednak przez pokolenia zgadzaliśmy się, że mamy do czynienia z dziełem wybitnym, to jakim cudem jego staranna inscenizacja może stanowić akt bezwartościowy? Oznacza to, że albo realnie w owej na pozór adekwatnej interpretacji coś szwankuje, albo że nasza współczesna wrażliwość odzwyczaiła się od pewnych form estetycznych, a więc może warto nad nią popracować. Jeśli pewien sposób percepcji był znaczący, a dziś zagubiliśmy go, co tylko w zadufany sposób maskujemy, twierdząc, że „przekroczyliśmy”, oznacza to, że ulegliśmy zubożeniu i nie ma powodu, aby się temu nie przeciwstawiać.

Wyobraźmy sobie (choć to rzecz raczej niespotykana) dzieło wybitne zaprzeczające klasyce, na której formal-

nie było oparte. Dlaczego autor inscenizacji odwołuje się do utworu, który ma znaczenie dla naszej kultury, a więc i tożsamości, aby zasadniczo zmienić jego sens, a nie stworzyć własnego, w którym bez żadnych wątpliwości mógłby polemizować z dowolnymi treściami? Czy wykorzystywanie klasyków przeciw nim nie jest manipulacją, która źle się kończy? To, co zarezerwowane było wyłącznie dla mistrzów, którzy – w każdym razie zdaniem nowoczesnych – uzyskiwali prawo do swobody interpretacyjnej nawet największych dzieł, siłą rzeczy musiało się upowszechnić. Dziś każdy, nawet bez żadnego dorobku, uważa się za uprawnionego do dowolnego traktowania nawet największych z nieżyjących autorów. Katastrofalne tego konsekwencje obserwujemy na co dzień. Aby podjąć wartościową polemikę z klasykiem, trzeba być wybitnym artystą, aby go porządnie wystawić, wystarczy być sprawnym rzemieślnikiem. Ilu wybitnych inscenizatorów mieć możemy? Czy nawet wielki talent może zmateriałizować się bez pracy, którą w pierwszej fazie musi być rozpoznanie i przyswojenie form praktykowanej przez siebie sztuki?

Nieomal każdy, kto rozpoczyna karierę w dziedzinie artystycznej, uważa się za geniusza. Terminowanie, nauka rzemiosła powoduje, że twórcy nabierają pokory i zaczynają właściwie szacować swoje zdolności. Zwykle tworzą wtedy na swoim, solidnym poziomie rzeczy interesujące, budują one tkankę kultury, w której dzieła wybitne stanowią ewenement. Współczesna kultura pruje się, gdyż zarzuciła to wypracowane przez pokolenia podejście.

Liczba kabotynów na współczesnej scenie wielokrotnie przekracza dopuszczalną miarę. Nawet oni jednak działać muszą według jakiegoś porządku. Staje się nim nowoczesna ideologia, która nauczana jest w szkołach artystycznych i wzmacniana wezwaniem do tzw. buntu – tak zwanego, gdyż ów akt destrukcji zaplanowany jest szczegółowo przez współczesnych nauczycieli sztuki oraz cały establishment tej dziedziny. W ten sposób bunt okazuje się nowoczesną ortodoksją i powoduje, że pomimo zewnętrznych różnic jego manifestacje cechują się nieznaną wcześniej uniformizacją. A sztuka zbuntowana staje się przejawem skrajnego, trywialnego konformizmu. Konfrontację z kondycją ludzką, co było zadaniem teatru, zastąpiły ideologiczne akademie albo doraźne manifesty.

Postęp?



Walizka Marka Drewnowskiego

pianisty i dyrygenta

Z muzyką podróżuję przez całe życie. Do mojej podróży zachęcali i wskazywali mi azymut wspierali muzycy: Stefan Kisielewski, Artur Rubinstein, Witold Lutosławski, Aleksander Tansman, Roman Palester, Witold Małcużyński. Do torby podróżnej pakowali mi emocje, poezję, uczucia, do odrębnej przegródki wkładali konstrukcję, logikę, formę swoich dzieł i doświadczeń. Dokładali pasję, cierpliwość i odwagę.

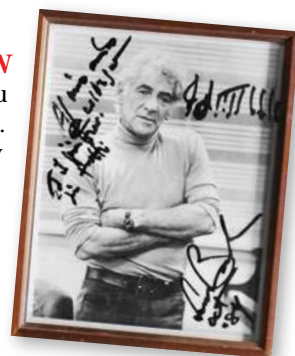
Gdy nagrałem 12 sonat Scarlatti, odkrył mnie Leonard Bernstein. Koncertowałem w stolicach europejskich, w Ameryce Północnej, na Bliskim i Dalekim Wschodzie, w Japonii, Korei, Indiach i na kontynencie afrykańskim. Prowadziłem Masterclasses we Francji, Afryce Południowej, Szwajcarii, na Ukrainie, w Turcji, Italii i oczywiście w Polsce. Założyłem zespół The Chopin Soloists, z którym przywróciłem koncerty fortepianowe Fryderyka Chopina w wersji kameralnej. W celu promocji sztuki muzycznej i stworzenia wzorców dla młodych utalentowanych muzyków założyłem Fundację im. Józefa Hofmanna.

LEONARD BERNSTEIN

Mój mistrz, któremu zawdzięczam przygodę życia. Słuchając nieznanego pianisty w amerykańskiej stacji, Bernstein zainteresował się jego nagraniem i postanowił go odnaleźć. To była wielka niespodzianka, gdy pół roku później zadzwonił do mnie i zaprosił do zagrania „Koncertu nr 1” Brahmsa

z Bostońską Orkiestrą na festiwalu w Tanglewood.

Później spotkaliśmy się w Warszawie na 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej.



JEDWABNA MARYNARKA

To właśnie w niej w 1985 r. grałem dla 12-tysięcznej widowni w Tanglewood. Do kompletu miałem białą koszulę i muszkę, czarne spodnie i lakierki. Tak samo był ubrany dyrygujący Leonard Bernstein. Marynarka nadal pasuje do mojej figury.





METRONOM

Rytm to jeden z najważniejszych elementów muzyki.

NAGRODA

W życiu dostałem kilka odznaczeń. Ale najbardziej sobie cenię nagrodę Warszawskiej Jesieni, kiedy grałem „Koncert fortepianowy” napisany dla mnie osobiście przez Stefana Kisielewskiego. Ten świetny pisarz i publicysta polityczny był wspaniałym kompozytorem. Gdy go odwiedziłem trzy dni przed śmiercią, dawał jeszcze uwagi dotyczące orkiestry.



BATUTA/NUTY

Byłem profesorem na Wydziale Dyrygentury i Kompozycji na uczelni w Ankarze. Moim marzeniem

byłoby zadyrygowanie „Wyspy umarłych” Rachmaninowa.



FRAK

Otrzymałem go w prezencie od mojego ukochanego profesora Drzewieckiego. Z kolei jemu podarował go wielki polski dyrygent Grzegorz Fitelberg. Frak, który ciągle jest w doskonałym stanie, został uszyty w 1933 r. Czasem w nim występuję.

SZACHY

Z dawnego Zairu, obecnie Kongo. Będąc na stypendium w Paryżu, dostałem możliwość koncertowania w Afryce, w której się zakochałem. Byłem tam kilkakrotnie i za każdym razem przywoziłem z podróży pamiątki, m.in. szachy, róg obfitości.



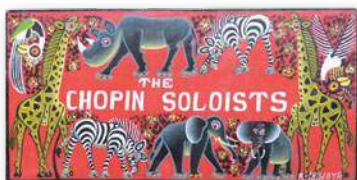
PIENIĄDZE

Do mojej kolekcji trafiły też dawne zairskie monety, które kiedyś miały ogromną wartość. Legenda głosi, że za największą z nich można było kupić krowę albo... żonę.

THE CHOPIN SOLOISTS

To nazwa kwartetu (i kwintetu), z którym grałem koncerty Chopina i kwintety Brahmsa oraz Schumanna.

Ponieważ uwielbiam sztukę Czarnego Lądu, zamówiłem u afrykańskich artystów wykonanie dla moich przyjaciół z zespołu The Chopin Soloists pamiątkowych tabliczek.



PLYTY

Zabieram ze sobą płyty z mazurkami Chopina, nagrałem mazurki do 41 opusu.

Przygotowuję

teraz drugą część. Również płyty z moimi bisami, różne inne płyty i moje stare nagrania winylowe.

SCENARIUSZ O PADEREWSKIM

Z dużym sukcesem powstało z niego słuchowisko radiowe, ale planuję jeszcze jego zekranizowanie. Marzy mi się film o Paderewskim klasy „Amadeusza” Miloša Formana. Uważam, że ojcem niepodległości Polski jest Ignacy Jan

Paderewski, który miał świetne relacje z prezydentem Wilsonem. Film powinien powstać.

MATKA BOSKA

Zawsze mi towarzyszy...

Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**



OGNIEM NA WPROST

Prowokator



Znany z chamskich i wulgarnych występow Wojciech O. znowu dał popis swoich umiejętności.

Tym razem podczas niedawnego zgromadzenia „Stop dyskryminacji sanitarnej”. „To jest kij na poselski ryj” – mówił o tych, którzy poprą ustawę covidową, trzymając w rękę duży biały kij. „Jeśli oni 1 lutego zagłosują, jak chcą, i ustalą tę ustawę, jeśli oni to zrobią, to skazują się na śmierć i my te listy śmierci tworzymy. My ich ostrzegamy. Jeśli oni zagłosują na tak, to ja, Wojciech O., znany w internecie jako Aleksander Jabłonowski, chcę ich zabić! A dlaczego nie? Jestem przepełniony radosną nienawiścią i chcę ich śmierci!”. Wojciech O. właśnie usłyszał zarzuty w bydgoskiej prokuraturze, do której został doprowadzony. 11 listopada 2021 r. z okazji Święta Niepodległości zorganizował marsz w Kaliszu. Podczas tego wydarzenia doszło do spalenia tekstu kopii przywileju kaliskiego oraz były wykrzykiwane hasła antysemickie. Zarzuty zostały już postawione, wyszedł za kaucją i właśnie czeka na proces. Kacapskiego prowokatora, jak go nazywają niektóre media, wziął w obronę nie kto inny jak poseł Grzegorz Braun, twierdząc, że: „Wojciech O. vel Aleksander Jabłonowski [...] znów pozbawiony jest wolności za to, że niewątpliwie w stanie wyższej konieczności upomina się także i o tę sprawę”. Panie pośle, Wojciech O. nie trafił do aresztu za korzystanie „z wolności słowa, wolności debaty publicznej”, tylko za groźby karalne w stosunku do parlamentarzystów wybranych w demokratycznych wyborach. A to różnica. Nawiasem mówiąc, ponieważ obaj panowie reprezentują podobny sposób widzenia świata i wyrażania swoich poglądów, proponuję, aby razem pod rączkę udali się do najbliższego psychiatry i przedstawił mu swoje problemy. Może w ten sposób uda się uniknąć karzącej ręki wymiaru sprawiedliwości.

Amerykański Departament Zdrowia i Opieki Społecznej wpadł znowu na „świetny” pomysł. Chce tak zmienić prawo, by operacje zmiany płci i terapia hormonalna były traktowane jako konieczne procedury. Co za tym idzie, ich koszty byłyby pokrywane z polis ubezpieczeniowych. Na dodatek w nowych regulacjach znajduje się zapis mówiący o tym, że wykluczenie proponowanych procedur z planu ubezpieczeń będzie uważane za „dyskryminacyjne”. Propozycje nowego prawa potępili w czambuł naukowcy z Ethics and Public Policy Center, którzy m.in. stwierdzili, że „proponowana zasada jest arbitralna i kapryśna, nie ma legalnego wsparcia, przeczy długotrwałemu naukowemu rozumieniu osoby ludzkiej, usiłuje obejść nakazy sądowe, promuje szkodę dla pacjentów (w szczególności nieletnich), depcze wolność religijną i stawia ideologię ponad solidną medycynę”. Czyli, że nowym regulacjom brak jest podstaw naukowych i logiki, a także ma miejsce ignorowanie rzeczywistej płci. W związku z tym podkreślili, że zabiegi zmiany płci nie mogą być traktowane jako podstawowe świadczenia zdrowotne. Katolik Joe Biden prawdopodobnie znowu stanie przed dylematem. Jak z niego wybrnie, pokazał już nieraz. Nie wiem tylko, czy przed Panem Bogiem wytłumaczy się postępującą demencją.

Rosyjskie siły morskie przeprowadziły ćwiczenia na Morzu Norweskim. Już na początku tego roku ministerstwo obrony Rosji zapowiedziało na styczeń i luty mane-

wry marynarki wojennej z udziałem 140 okrętów i 10 tys. wojskowych „we wszystkich strefach odpowiedzialności rosyjskiej marynarki wojennej”. W trakcie manewrów na Morzu Norweskim krążownik rakietowy Marszał Ustinow i fregata Admiral Kasatonow z wykorzystaniem śmigłowca Ka-27M „poszukiwały okrętów podwodnych umownego przeciwnika”. Marszał Ustinow to krążownik klasy slava zaprojektowany w czasach Związku Radzieckiego jako Rakietny Kreyser lub „przeciwokrętowy krążownik rakietowy (RKR)”. Choć w latach 2012–2016 został poddany generalnemu remontowi, to i tak niewiele mu pomogło, nadal uważany jest bowiem za antyczny złom. Ale postraszyć nie zaszkodzi.

Najnowsze norweskie dwa F-35 na prośbę NATO poderwały się do lotu. Cel: identyfikacja maszyn nadlatujących z rosyjskiego Półwyspu Kolskiego – poinformował rzecznik norweskiego lotnictwa wojskowego Stine Barclay Gaasland. Operacja zakończyła się sukcesem. F-35 zlokalizowały rosyjski samolot wczesnego ostrzegania A-50 (kod NATO: Mainstay) za wybrzeżem Norwegii. Był to pierwszy przypadek lotu tego typu myśliwców z bazy na lotnisku Evenes nieopodal Narwiku. Baza ta przejęła zadania pełnione dawniej przez myśliwce F-16, które stacjonowały w bazie Bodoe za kołem podbiegunowym. Bazę tę zamknięto w styczniu 2022 r. Ruski wyraźnie szuka guza na całej długości granic z NATO – od Morza Norweskiego po Czarne.

Andrzej Rafał Potocki

Uwaga na tokeny

Kryptowaluty, które w ostatnich latach zyskują popularność, przyjmują coraz nowsze i oryginalniejsze formy. Atrakcyjność wirtualnych narzędzi finansowych wzrasta zwłaszcza wśród młodych ludzi, skorych do ryzyka albo nieświadomych jego istnienia i podatnych na autorytet celebrytów promujących wirtualne inwestycje.

W 2021 r. ogromną popularnością cieszyły się NFT, czyli non-fungible token (niezamienny token), stanowiące rodzaj niezamiennego certyfikatu kryptograficznego opartego na technologii blockchain. W pierwszej połowie ub.r. sprzedaż tokenów NFT pochłonęła 2,5 mld dol. Rok wcześniej – 13,7 mln dol.

Tokeny pełnią funkcję certyfikatu potwierdzającego, że dany plik to oryginał istniejący tylko w jednym egzemplarzu. Wszystkie transakcje z użyciem danego tokenu oraz informacje dotyczące kwoty transakcji, nabywcy, sprzedawcy, numeru bloku i znacznika czasu są publiczne i można je sprawdzić. Zdaniem dziennikarzy opisujących ten specyficzny rodzaj kryptowalut każdy token jest unikatowy, niepodzielny, stanowi certyfikat autentyczności i cyfrową własność jego posiadacza.

NFT to na pierwszy rzut oka obrazek, który może być dziełem sztuki, licencją, wirtualną nieruchomością, których nie da się skopiować. Tokeny NFT podlegają obrotowi. Domy aukcyjne sprzedają NFT jako dzieła sztuki, tokeny funkcjonują jako internetowe projekty lub memy. Entuzjaści NFT piszą, że są one wirtualną wartością kolekcjonerską, która podobnie jak dzieła sztuki może być dobrym sposobem na zyskowną inwestycję. W 2021 r. obraz Mike'a Winkelmana „Beeple'a” został sprzedany w postaci NFT za 69 mln dol. Piłkarskie karty kolekcjonerskie Juventusu Turyn w formie NFT też cieszą się powodzeniem. Za animację gif zespołu Megadeath trwającą 6 s zapłacono 20 tys. dol. Nowy album jednego z zespołów można nabyć jako cyfrowy token, który na koncercie gwarantuje miejsce w pierwszym rzędzie. Sprzedaż biletów w ramach technologii blockchain ma ponoć uniemożliwiać ich odsprzedaż po zawyżonej cenie z uwagi na brak możliwości ich przesłania bez zgody pierwotnego wystawcy.

Pewna polska wokalistka wykonała skan 3D swojego ciała, który został podzielony na 400 części, a następnie każda została opatrzona tokenem NFT. Opisany instrument posłużył również do sprzedania pierwszego tweeta twórcy Twittera. Marki dóbr luksusowych stworzyły platformę, na której będą gromadzone właśnie tokeny NFT przypisane do konkretnych produktów. Dzięki nowej technologii będzie można sprawdzić, czy towar jest oryginalny, nabywając go nawet na rynku wtórnym. W trakcie pierwszej aukcji tokenu NFT w Polsce cena wywoławcza cyfrowego modelu 3D została przebita 62 razy, dając wynik 312 700 zł. Media społecznościowe w Polsce stały się podobno pełne awatarów z rysunkami niedźwiadków – ilustracji profilowych promowanych przez celebrytów. Trudno w to uwierzyć, ale twórca wspomnianych obrazków poinform-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

ował, że na otwarciu sprzedaży zarobił 19 mln zł. Popularne w USA NFT zawierające rysunki małpek osiągają ponoć ceny kilkunastu milionów złotych.

Rynek NFT nie jest uregulowany prawnie, co może powodować niejasności i zaskakiwać nabywców tokenów, którzy pozostając w przeświadczeniu, że nabywają aktywa, mogą być w błędzie co do rzeczywistych skutków prawnych dokonanej transakcji. Kupując wirtualny certyfikat, niekoniecznie staniemy się właścicielami przedmiotu, którego dotyczy. Nabywając token odnoszący się do dzieła objętego prawami autorskimi, możemy kupić wirtualny egzemplarz tego utworu, z którym nie łączy się przeniesienie autorskich praw majątkowych. W polskim porządku prawnym transakcje, których przedmiotem są tokeny NFT, nie stanowią umów sprzedaży, ponieważ w świetle rodzimych przepisów wirtualny certyfikat nie jest rzeczą, która może być przedmiotem wskazanej umowy. Kluczową rolę w kształtowaniu skutków prawnych nabywania tokenów NFT mają zatem umowy, które w sposób precyzyjny powinny określać uprawnienia łączące się z danym certyfikatem, a także prawo właściwe oraz właściwość miejscową sądu w razie ewentualnych sporów.



Markowi Pyzie

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”,

„Gazety Bankowej” i portali wPolityce.pl

oraz wGospodarcze.pl

Niepamięć oszukuje i chce okraść obywateli

Nie ma dobrej demokracji bez informacji, dlatego jedną z bardziej zgubnych rzeczy w ocenie politycznej jest niepełna wiedza lub jej brak. Coraz bardziej narażeni są na to młodzi ludzie, których ogólna świadomość jest niestety na coraz niższym poziomie, a orientacja polityczna sprowadza się do krótkich haseł, prostych narracji i nowych nakładek na awatary w mediach społecznościowych. Jeśli nie nauczymy ich, jak na podstawie faktów i twardych danych porównywać oferty różnych obozów politycznych, to za kilka, może kilkanaście lat kryteria decyzyjne zostaną już całkowicie sprowadzone do emocji.

W 2015 r. doszło w Polsce nie tylko do zmiany politycznej, w której wyniku PiS zastąpiło PO, ale doszło do istotniejszej ewolucji: wygrało myślenie gospodarcze, a konkretnie sprzeciw wobec polityki finansowej III RP, która sprowadzała się do tego, że rządzący byli słabi wobec silnych, a silni wobec słabych. Widać to było bardzo wyraźnie w planowaniu i dystrybucji budżetu, a reakcja największych dotychczasowych beneficjentów była najlepszym dowodem na konieczność przesilenia. I nie chodzi mi o sam sprzeciw, który jest przecież zrozumiały, gdy ktoś w wyniku decyzji władzy traci, ale o przekonanie,

że pewne niepisane podejście do podatków, polityki społecznej i redystrybucji budżetu jest nietykalnym fundamentem państwa i już. Dlaczego słynna fraza „Przez osiem lat Polki i Polacy...” – która odnosiła się do oczywistego porównania teraźniejszości do przeszłości i przypominania o tym, co było przed 2015 r. – została wyśmiana? Bo o tym nie należy mówić i niedobrze porównywać.

Czym, jeśli nie oszukiwaniem młodych ludzi, którzy nawet z racji wieku o pewnych rzeczach wiedzieć nie mogą, jest wciskanie mediom, że o rządach Donalda Tuska nie wolno przypominać? Jak nie, skoro dziś to on przewodzi obozowi politycznemu, który chce z powrotem rządzić? To pamięć o przyszłości jest czymś normalnym i pożądanym, a niepamięć oszustwem. A jeśli spojrzymy na skutki nieliczenia się i nieporównywania poziomu biedy, niezależności finansowej czy stanu gospodarki państwa teraz, a tego, jak to wyglądało wcześniej, to ta niepamięć może nas niedługo również zwyczajnie okraść.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Samuel Pereira

Inspirujące królestwa

Eustachia, królowa, Wenus lubi oglądać Ziemię i jej mieszkańców. Zachwycą ją, że żyje tu tyle istot i dla każdego jest miejsce. Z zacięskawieniem obserwuje też niezwykle podróż dwóch zakonnic...



Marta Stańczyk, autorka wyjątkowego spektaklu, który powstaje w warszawskim Teatrze Lalek Guliwer:

– W czasie pandemii, w ramach „Strategii przetrwania” [projekt Teatru 21

aktywizujący zespół, którego aktorami są głównie osoby z zespołem Downa i autyzmem – przyp. red.] napisałam historyjkę o siostrach zakonnych Klemetynie i Bernardecie. Teraz na ich podstawie powstaje spektakl „Królestwa”. Ja też biorę w nim udział. Cieszę się, bo lubię grać w spektaklach dla dzieci [...]. Lubię przychodzić na próby i pokonywać lęki. Dobrze czuję się wśród ekipy teatru.

Justyna Sobczyk, reżyser przedstawienia, twórczyni Teatru 21:

– Historyjki napisane i narysowane przez Martę w czasie pierwszego lockdownu zafascynowały mnie natych-

miast. Nie mogłam uwierzyć, że Marta na swoje bohaterki wybrała symbolicznie najbardziej zamknięte na świat zewnętrzny figury kobiece. Jest w tych historyjkach prostota, zdecydowanie, działanie i zachwyt różnorodnością świata! To, jak Marta widzi świat, jest mi bliskie, jest dla mnie inspirujące, zabawne i otwierające.

Justyna Sobczyk zaprosiła do współpracy m.in. choreografkę Izę Chlewińską, która od kilku lat rozwija metodologię pracy z rodzinami z dziećmi w spektrum autyzmu.

Premiera spektaklu „Królestwa” 12 lutego. Więcej informacji na: www.teatrguliwer.pl



759

tyle głosów (spośród 1009 deputowanych) otrzymał w 8. turze wyborów prezydenckich we Włoszech zwycięski kandydat Sergio Mattarella

1508 314

tyle haseł przedmiotowych liczy polska Wikipedia

21

tyle osób zginęło tylko jednego dnia, 31 stycznia, w Brazylii, w wyniku ulew i powodzi tegorocznej pory deszczowej

Wizyta jest planowana i odbędzie się wkrótce. Chodzi o skoordynowaną politykę i o wdrażanie dobrze przygotowanych decyzji

kancierz RFN Olaf Scholz o spotkaniu z Władimirem Putinem



Moskwa ma apetyt krokodyla, ale żadnej strawności. Na tem opierają się nadzieje Polaków

słowa Maurycego Mochnackiego sprzed 200 lat powinny dziś wybrzmieć w kontekście Ukrainy



Prezydent Kaboré, lider parlamentu i ministrowie są już w rękach żołnierzy

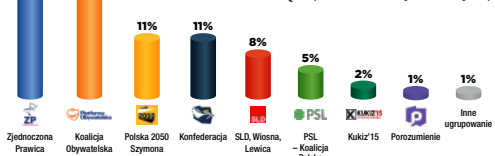
przewódca wojskowi podczas zamachu stanu 24 stycznia w Burkina Faso, w którego wyniku obalono rząd i prezydenta

Zebrał Jakub Maciejewski

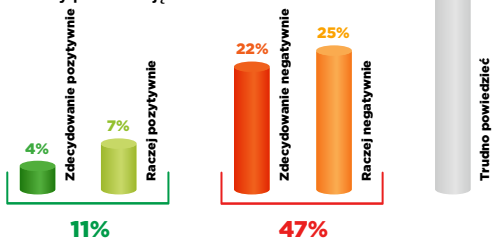


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

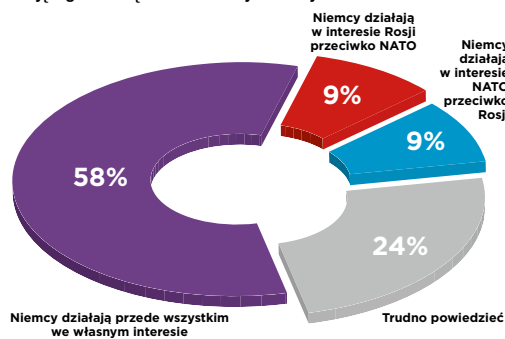
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



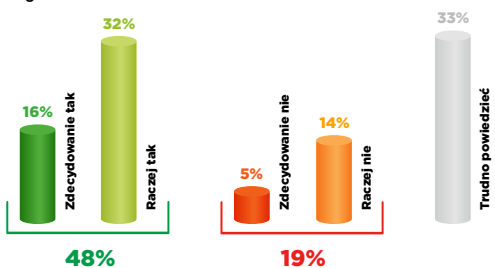
Jak ocenia Pani/Pan zachowanie Niemiec w związku z możliwością zaatakowania Ukrainy przez Rosję?



Z którym stwierdzeniem na temat działań Niemiec w związku z możliwością zaatakowania Ukrainy przez Rosję zgadza się Pani/Pan najbardziej?



Czy według Pani/Pana działania Niemiec w związku z możliwością zaatakowania Ukrainy przez Rosję są zagrożeniem dla Polski?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1066.

Zakres czasowy badania 28-31 stycznia 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLECKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWÓRNA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PREENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, PIOTR MOLEKOWSKI NEWS,
PAWEŁ WODZIŃSKI/NEWS, SHUTTERSTOCK/DROBNA, DEWATOW ALEKSI, CREATIVEMENKO,
PHOTO.JPEG, ROBSO80

COLLEGIUM
INTERMARIUMTymoteusz Zych
i Karolina Pawłowska

„Skandal obyczajowy w Ordo Iuris!”

Oto tytuł, który do niedawna brzmiał jak marzenie senne redaktorów lewicowo-liberalnych mediów w Polsce, którzy od lat toczą wojnę z Instytutem Ordo Iuris i jego ludźmi. Niestety ten tytuł nie jest już złośliwą fantazją i w ciągu ostatnich kilku dni pojawił się na pierwszych stronach wszystkich większych mediów

Instytut Ordo Iuris – organizacja, która przez lata była postrzegana jako jeden z najważniejszych strażników tradycyjnych wartości w Polsce, znalazła się w centrum olbrzymiego skandalu. Nie jest on związany tylko z ostrą kłótnią między byłymi już najbliższymi współpracownikami, prezesem Ordo Iuris Jerzym Kwaśniewskim i jego zastępcą Tymoteuszem Zychem. Chodzi o skandal, który, jak wszystko na to wskazuje, dotyczył pozamałżeńskich romansów na samym szczycie instytucji, znanej m.in. z ochrony tradycyjnego małżeństwa. Powtarzam, brzmi to wszystko jak idealny scenariusz dla wrogów Ordo Iuris, których w Polsce, jak wszyscy wiemy, jest wielu.

JAK SIĘ TO WSZYSTKO ZACZĘŁO

Jeszcze w październiku ub.r. zarząd Instytutu Ordo Iuris poinformował, że Tymoteusz Zych odchodzi z tego gremium, rezygnując ze stanowiska wiceprezesa. Wiadomości tej nie poświęcano wówczas publicznie zbyt wiele uwagi, wydawało się, że rozwiązanie współpracy przejdzie bez większego echa. Wszystko się zmieniło półtora tygodnia temu. Łańcuch wydarzeń zapoczątkował list, który Zych wysłał do niektórych mediów.

Poinformował w nim o uruchomieniu nowego think tanku o nazwie Logos Europa, ale też dał do zrozumienia, że jego odejście z Ordo Iuris nie było tak bezkonfliktowe, jak się mogło wydawać.

„Do niedawna pełniłem funkcję wiceprezesa Instytutu Ordo Iuris. Wraz ze mną z pracy w tej organizacji zrezygnowało kilkanaście innych osób, które miały zupełnie inną od obecnego kierownictwa wizję przyszłości organizacji” – napisał w tym liście Zych.

Następnie wyjaśnił powody swojego odejścia: „Była między nami różnica w modelu komunikowania się. Naszym zdaniem powinien on być w jak naj-



GORAN ANDRIJANIĆ

mniej stopniu odwołujący się do języka antagonizującego, a w jak największym oparty na merytorycznych argumentach”.

Kilka godzin po opublikowaniu listu Zycha na Twitterze pojawił się komunikat Instytutu Ordo Iuris. „Z przykrością przeczytaliśmy o liście dr. Zycha. Szanując prywatność b. wiceprezesa, nie komentujemy przyczyn jego październikowej rezygnacji. Zakończył też swą misję w 7 innych podmiotach. Z nim odeszło 2 pracowników i stażysta. Od listopada Ordo Iuris kieruje 5-osobowy Zarząd. O zmianach z delikatnością wobec b. wiceprezesa informowaliśmy już trzy miesiące temu” – czytamy w komunikacie.

Określenia o „szanowaniu prywatności” i „delikatności wobec byłego wiceprezesa” wyraźnie sugerowały, że rozstanie z Zychem miało nieco inne przyczyny niż te, które on sam przytoczył. Cała historia zrobiła się trochę nieprzyjemna.

„Przyczyną rozłamu Ordo Iuris jest romans w konserwatywnym Instytucie” – to tytuł jednego z artykułów opublikowanych w tamtych dniach. W swoim tekście autor Marcin Dobski pisze o intymnej relacji między dwójkiem członków Instytutu, będących w związkach małżeńskich.

„Powodów odejść z Ordo Iuris było kilka, ale nie mówi się o najważniejszym. W organizacji doszło do skandalu obyczajowego, który uderza w konserwatywne wartości Instytutu” – pisze autor.

Diennikarz poinformował również, że we wrześniu ub.r. doszło do incydentu, kiedy mąż pracownicy Instytutu chciał się fizycznie skonfrontować z jej kochan-

kiem. W tekście nie padają nazwiska pracowników Ordo Iuris, których romans wywołał zamieszanie, ale w internecie pojawiły się memy i plotki, wskazujące, że chodziło o Tymoteusza Zycha i Karolinę Pawłowską.

GROŻENIE POZWAMI

Pawłowska pracowała w Ordo Iuris i opuściła go w ten sam czas co Zych, a teraz jest z nim w zarządzie nowego think tanku Logos Europe.

„Nie chciałabym być postrzegana jako osoba, która w swoich działaniach pielęgnuje tzw. tradycyjny podział ról kobiet i mężczyzn. Mam konserwatywne poglądy, ale absolutnie nie neguję problemów, z którymi rzeczywistość musimy się dziś mierzyć” – mówiła Pawłowska, wyjaśniając, dlaczego opuściła Ordo Iuris. Miała więc, podobnie jak Zych, najwyraźniej problem z retoryką Instytutu, która stała się dla niej „zbyt radykalna”.

Tekst na portalu Salon24 wywołał duże zamieszanie. Zych zagroził pozwem, Pawłowska też.

„Wiele miesięcy temu zakomunikowałam mężowi, że chcę rozwodu – z przyczyn, których nie chcę komentować. Złożyłam również pozew o rozwód. Od tamtej pory padam ofiarą hejtu, który w ostatnich dniach przybrał bezprecedensową skalę. Dalsze kłamstwa będę ścigać prawnie” – napisała na Twitterze.

W rozmowie z Onetem Zych oskarżył Ordo Iuris o ataki na swoją prywatność.

„Pierwszy raz taka teza [że opuścił Instytut z powodu spraw prywatnych – przyp. red.] została postawiona wprost w oświadczeniu OI z ostatniej srody. Do niektórych mediów trafiły potem informacje od »anonimowych informatorów powiązanych ze środowiskiem Ordo Iuris«, które przedstawiały luźno opartą na faktach historię związaną z motywami prywatnymi” – powiedział.

SCHADENFREUDE

W ostatnich dniach byliśmy świadkami zachwyty środowisk lewicowo-liberalnych zaistniałą sytuacją. Internet zalały nie tylko wulgarnie i obraźliwe memy komentujące rozłam w Ordo Iuris, ale także politycy opozycji rywalizowali o to, kto da bardziej złośliwy komentarz w mediach społecznościowych. Ten poziom komentowania rzeczywistości nie jest zaskakujący, ponieważ od dawna wiadomo, w jaki sposób mentalność totalnej opozycji zniszczyła kulturę polityczną w tych kręgach. Jednak aż tak mocna satysfakcja, jaką w tym wszystkim pokazuje opozycja, jest ciekawa. Jest ona dowodem na to, jak bardzo przeszkadza im organizacja taka jak Ordo Iuris i jej obecność w debacie publicznej.

Na swojej stronie internetowej Instytut określa się jako „niezależny, prawniczy think tank, który przez osiem lat swojej działalności zbudował międzynarodową renomę jednego z kluczowych ośrodków obrony kultury prawnej osadzonej w tożsamości cywilizacji europejskiej”.

To nie żaden PR, lecz fakt. Ordo Iuris rzeczywiście stało się ważnym graczem w wojnie kulturowej, która toczy się w zachodniej cywilizacji. Nie tylko jako siła intelektualna, która artykułuje głos oddanych tradycyjnym wartościom, ale także jako instytucja udzielająca konkretnej pomocy prawnej. I to osobom, które cierpią niesprawiedliwości właśnie z powodu tego przywiązania. Co więcej, polskie Ordo Iuris wyróżnia się sprawną organizacją, ambicją i konkretnymi wynikami oraz jest wzorem dla podobnych organizacji w Europie Środkowej. Oczywiście w ciągu ośmiu lat jego działalności zdarzały się również błędne osądy jego czołowych ludzi, ale to nie zmienia faktu, że bez Instytutu obrona klasycznej cywilizacji europejskiej w Polsce i Europie byłaby o wiele trudniejsza.

Gdyby tak nie było, lewicowe media nie poświęcałyby tyle czasu Instytutowi oraz jego działalności, której tak bardzo nie mogły znieść. Czyniąc to, zawsze stosują te same metody: organizacja jest przedstawiana jako „tajna”, z „dziwnymi źródłami finansowania” [zwykle pisze się o rosyjskich finansistach], a zgodnie z tymi lewicowymi teoriami spisko-

wymi jej celem jest rządzeniem społeczeństwem, w którym działa. W Polsce w ten sposób o organizacji piszą m.in. aktywistka feministyczna Klementyna Suchanow oraz dziennikarz Tomasz Piątek [„Newsweek” opublikował w zeszłym tygodniu kolejny taki artykuł]. Chociaż polski sąd w maju 2020 r. zakazał Suchanow mówić o Ordo Iuris jako o „fundamentalistach związanych z Kremlm”, aktywistka regularnie używa tej retoryki, i to nie tylko w polskich mediach. „Organizacje takie jak Ordo Iuris są bardzo dobrze zorganizowane i finansowane. Cała historia o tych organizacjach jest bardzo związana z polityką Kremla” – powiedziała Suchanow chorwackim mediom w marcu 2021 r., rok po tym jak otrzymała sądowy zakaz.

Z naszej strony trudna sprawa, związana z poważnym sprzeniewierzeniem się wartościom, w których obronie stajemy, została potraktowana z najwyższą delikatnością – twierdzi prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski

Nawet poważniejsze media nie wahają się w swoich „analizach” tworzyć absurdalnych teorii spiskowych o Instytucie, przedstawiając go jako wszechpotężną organizację, mającą decydujący wpływ na politykę Zjednoczonej Prawicy. Wszystko to świadczy o tym, jak Ordo Iuris niepokoi zwolenników rewolucji kulturalno-prawnej w Polsce.

DWIE WERSJE WYDARZEŃ

Czy naprawdę konieczne było dawanie dodatkowej amunicji wrogom tej organizacji? Czy nie było mądrzej rozwiązywać wszystkie nieporozumienia w rozmowach wewnętrznych?

Zapytaliśmy o to głównych aktorów tych wydarzeń.

– Z naszej strony trudna sprawa została potraktowana z najwyższą delikatnością – twierdzi prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. – Poważne naruszenie zasad i sprzeniewierzenie się wartościom, w których obronie stajemy, spotkało się z niezwłoczną i stanowczą reakcją, żądaniem i przyjęciem rezygnacji wiceprezesa zarządu. Jednocześnie miało to miejsce już w październiku, o zmianach w zarządzie komunikowaliśmy natychmiast. Jednak z wielką ostrożnością, by nie zaszkodzić rodzinom, małżonkom i dzieciom naszych współpracowników. Gdyby dr Zych nie postanowił po kilku miesiącach promować swojej nowej inicjatywy jako rozłamu w Ordo Iuris, nie doszłoby może do gorszącej i niepotrzebnie pogłębiającej krzywdę rodzin eskalacji aktów nienawiści pod jego adresem, i przy okazji pod adresem Ordo Iuris. Ale na to nie mieliśmy już żadnego wpływu.

Tymoteusz Zych ma jednak inną wersję wydarzeń:

– Ubolewam nad tym, że powstanie nowego think tanku zostało przedstawione w ogóle jako rozłam. Sam nigdy nie użyłem tego sformułowania – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. I argumentuje: – W społeczeństwie obywatelskim jest rzeczą całkowicie normalną, że powstają nowe organizacje, a ich różnorodność jest czymś pozytywnym. Profil Logosu znacząco różni się od tego, czym zajmuje się Ordo Iuris i obejmuje wiele zagadnień, które w Instytucie nigdy nie były podejmowane – takich jak energetyka i ochrona środowiska, ochrona zdrowia, polityka miejska, gospodarka czasu wolnego czy kultura. Przez wiele lat współtworzyłem Instytut Ordo Iuris i nie mam wątpliwości, że wiele jego działań wpłynęło pozytywnie na debatę publiczną. Nigdy tego nie zakwestionowałem i nie widzę żadnego pola sporu. Tym bardziej dziwi mnie, że w dniu inauguracji think tanku Logos prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski pisał na Twitterze o „inauguracji partii politycznej”, a ponadto dodawał, że think tanku nie tworzy się poprzez „slogany” i „konferencje prasowe”.

Nasze źródła związane z Instytutem mówią nam, że sytuacja przed odejściem Zycha była rzeczywiście napięta. Nie chodziło tylko o prywatne relacje, o których

wszyscy teraz piszą, ale także o różnice w koncepcjach pracy Instytutu. Według naszych źródeł Kwaśniewski był bardziej skłonny do wzmacniania istniejących modeli działania, Zych natomiast forsował nowe projekty i wkraczał w nowe obszary.

Dobrym tego przykładem jest założenie Collegium Intermarium – uczelni, której celem jest przywrócenie klasycznej edukacji w systemie szkolnictwa wyższego. Ten ważny projekt jest pomysłem Zycha i został on mianowany rektorem uczelni, ale Kwaśniewski bardzo ingerował w jego pracę.

Z drugiej strony nasi rozmówcy twierdzą, że sposób, w jaki Zych i jego ludzie, którzy są dzisiaj w Logos Europa, opuścili Ordo Iuris, nie był właściwy. Niedawna konferencja Logos Europy oraz prezentacja obszernego raportu specjalnego na temat stanu państwa pokazały, że projekt ten trwa już od jakiegoś czasu. A to może oznaczać, że angażowano się w niego, pracując jednocześnie dla Ordo Iuris.

– Ordo Iuris to niezwykle ważna organizacja. Ostatnio stali się naprawdę silni. Wydaje mi się, że ta siła uderzyła im do głowy. Dobrze byłoby jednak trochę zmienić niektóre rzeczy. Przede wszystkim powinni być bardziej transparentni w zakresie finansowania i uważać, z kim współpracują na międzynarodowej scenie organizacji pozarządowych – mówi nasz rozmówca dobrane zaznajomiony z sytuacją w Instytucie.

CO DALEJ?

Czy cały ten skandal i oskarżenia o moralną hipokryzję zaszkodzą Ordo Iuris? Dobrej odpowiedzi na to udzieliła w swoim artykule dla portalu Stacja7 dziennikarka Alina Petrowa-Wasilewicz: „Niewierność dwojga (byłych już) współpracowników nie unieważnia dorobku i zasad, jakimi się kierują członkowie Instytutu. Choć jest to wizerunkowa rysa i broń, która będzie wyciągana w każdej sytuacji przez adwersarzy”.

Może i będzie, ale krytycy Ordo Iuris nie będą mieli zbyt wielu argumentów. Z pewnością nie można powiedzieć, że Instytut nie zareagował na rozbieżność między wartościami głoszonymi przez ich



Jerzy Kwaśniewski

pracowników z jednej strony a praktykowanymi z drugiej.

Tymoteusz Zych powiedział nam, że wątków osobistych w ogóle nie będzie komentować, „z oczywistych przyczyn”. Przekazał też, że „informacje nieprawdziwe, nieścisłe i obraźliwe, których sporo było w sieci na ten temat, zostaną sprostowane, a w części przypadków złożone pozwy w obronie dóbr osobistych”.

– Natomiast wydaje mi się, że nie tylko wydarzenia ostatnich dni pokazują nam, jak bardzo życie publiczne zdominowała karykaturalna wizja konserwatyzmu i chrześcijaństwa. Widzi ona normy – co jest ważne – ale z optyki gubi człowieka, wybaczenie, pojednanie i otwartość. Pozwala łatwo ferować wyroki, także w indywidualnych sprawach – bez liczenia się z konsekwencjami. Bardziej niż chrześcijaństwo przypomina ona faryzeizm. Nie dziwi, że tę kalkę przyjmuje część radykalnej lewicy, której zależy na dyskredytacji wszystkiego, co wiąże się z naszym dziedzictwem. Znacznie bardziej zaskakuje, że ta sama optyka została przyjęta przez część konserwatystów i katolików. Próby wypchnięcia poza nawias debaty ludzi, którzy napotkali w swoim życiu na problemy, nie doprowadzą do niczego dobrego. Nie oznacza to, że problemów nie należy nazywać po imieniu. Zawsze jednak trzeba to robić z wyczuciem i otwartością na człowieka – mówi Zych.

W rzeczywistości cała ta sytuacja, w której mamy teraz dwa dobrze zorganizowane, różniące się między sobą konserwatywne think tanki, może również przynieść korzyści polskiemu społeczeństwu. Jak mówią zarówno Kwaśniewski,

jak i Zych jasne jest, że Ordo Iuris i Logos Europa to różne organizacje działające z różnych stanowisk.

– Dr Zych orientuje swoją inicjatywę raczej na publiczne źródła finansowania krajowe i unijne. Świadczy o tym dobór tematów, jak Fit for 55, ochrona środowiska, kwestie równouprawnienia, dystansowanie się od stanowczo konserwatywnych postulatów, mainstreamowe podejście do wielu spraw. To nie jest pozycja, by ubiegać się o wsparcie darczyńców Ordo Iuris, a Instytut finansowany jest wyłącznie

z prywatnych źródeł. Jednak w postępowaniach grantowych taka wszechstronność może być skuteczna. Nie jestem tu ekspertem – tłumaczy Kwaśniewski.

– Jeżeli organizacje działają na rzecz dobra wspólnego, nie ma mowy o konkurencji. Fundacje to nie firmy – nie są niczyją własnością, a ich aktywność jest w całości podporządkowana wyznaczonym w statucie celom. Zarówno w statucie Ordo Iuris, jak i Logosu znajdziemy postanowienia nakazujące wspieranie organizacji o podobnym profilu. W normalnych warunkach powstanie nowej organizacji, która częściowo podejmuje tę samą problematykę, powinno być przyjęte z entuzjazmem. Tym bardziej dziwi ton wypowiedzi prezesa Kwaśniewskiego na Twitterze i wydanych oświadczeń, które miały bardzo wymierne konsekwencje – mówi z kolei Zych.

W ich słowach wciąż można wyczuć emocje i wzajemną nietolerancję po konflikcie między dwoma byłymi współpracownikami i przyjaciółmi. Nie oznacza to jednak, że w przyszłości nie będzie miejsca na ich współpracę, a także współpracę organizacji, którymi kierują.

Ta trudna historia na pewno niesie głębsze przesłanie, a jest ono związane z chrześcijańską prawdą o słabości ludzkiej natury. Grzech jest stary jak świat, ale jego istnienie nie umniejsza piękna ideałów chrześcijaństwa i prawa naturalnego. Jest dokładnie odwrotnie.

I jeszcze jedno. Ten, kto bierze na siebie ciężar walki o te ideały, musi zakładać możliwość upadku oraz mieć świadomość, że jeśli dojdzie do niego publicznie, może on poważnie zaszkodzić jego celom. 

Fot. Stefan Mazurkiewicz/REPORTER



Kadry z filmu: „Tryptyk gdański – republika deweloperów”, reż. K. Puternicki: 1. Republika deweloperów. 2. Panorama Gdańska. 3. Budynek centrum handlowego Forum Gdańsk. 4. Biurowce przy ul. Kartuskiej 5 i Strzeleckiej 7b. 5. Konsekwentnie betonowane górne tarasy Gdańska. 6. Budynek Centrum Sprawiedliwości kupiony od dewelopera za 157 mln zł

Miasto nie dla mieszkańców

Budowany przez ponad dwie dekady panowania w mieście Pawła Adamowicza układ skupiający najważniejsze postacie lokalnego świata urzędniczego, budowlanego czy prawniczego wcale nie skończył się wraz z jego śmiercią. „Republika deweloperów” ma się świetnie, mamy coraz więcej dowodów, że określając Gdańsk w ten sposób, nie mylimy się ani trochę



MARCIN WIKŁO

To nieco przewrotne, ale po raz pierwszy Gdańsk został nazwany „republiką deweloperów” przez Jarosława Wałęsę w 2018 r., gdy ten był kandydatem Platformy Obywatelskiej na prezydenta miasta. Młody polityk tak bardzo chciał dokuczyć starszemu rywalowi, Pawłowi Adamowiczowi, że wreszcie nazwał po imieniu kulisy polityki uprawianej w mieście od lat.

By zrozumieć, dlaczego w mieście panują firmy budowlane, należy się cofnąć do 1989 r., gdy weszła w życie nowa Ustawa o gospodarce nieruchomościami. Zakładała ona, że funkcjonu-

jące spółdzielnie mieszkaniowe mogły otrzymywać w użytkowanie wieczyste tereny, którymi gospodarowały, ale tylko w przypadku, gdy były one zabudowane, i to tylko do 5 grudnia 1990 r. Grunty niezabudowane można było, w myśl ustawy, nabywać jedynie w przetargach. W wielu polskich miastach praktyka jednak bardzo różniła się z urzędniczą teorią. Miasta szczerze rozdawały wolne działki, beneficjentami nie były oczywiście osoby przypadkowe.

– W Gdańsku skutki tej grabieży trwają do dzisiaj, część wcześniejszych spółdzielni zamieniła się w prywatne spółki, a te zostawały deweloperami, którzy nadal mają istotny wpływ na politykę rozwoju dużych miast – mówi nam Krzysztof Puternicki, autor filmu „Tryptyk gdański – republika deweloperów”, który w ubiegłym tygodniu pokazała Telewizja Polska. Wniosek po jego obejrzeniu jest prosty. Władze miasta (nie tylko Gdańska) są zazwyczaj

za słabe, by z deweloperami walczyć. Mogą więc albo im całkowicie ulegać, albo się z nimi układać.

TAJNA UMOWA

Nad Motławą szczególnie trudne życie mają mali sklepikarze i rzemieślnicy, dla których brakuje miejsca w uczęszczanych turystycznych rejonach miasta. Co innego deweloperzy, mogą budować w samym sercu metropolii, czego dowodem jest Forum Gdańsk – otwarte w maju 2018 r. centrum handlowe. Moloch o powierzchni 62 tys. mkw. powstał mimo protestów mieszkańców i pierwotnego planu, który zakładał postawienie w tym miejscu liczących z charakterem zabudowy śródmieścia budynków małych i rozproszonych, również pasaży handlowych.

Budynek powstał na zasadach partnerstwa publiczno-prywatnego, a miasto wniosło do niego działkę wartości



140 mln zł. Trzeba zaznaczyć, że to partnerstwo bardzo specyficzne, holenderska firma Veste BV wniosła bowiem do spółki... budowlane know-how. W październiku i listopadzie ub.r. dokonano rozliczeń pomiędzy gminą a deweloperem z Niderlandów i okazało się (część umów wciąż jest niejawna), że miasto Gdańsk umorzyło swoją część (nie podano tego do publicznej wiadomości), czyli zrzekło się udziałów w zamian za przejęcie jednego z budynków w kompleksie – Kunsztu Wodnego. „Droży gdańszczanie! Dostaliśmy w tym rozliczeniu jako miasto budynek o wartości nieco ponad 18 mln zł. Wyjaśnijcie mi to! Jak to możliwe, że wchodzimy do spółki i po kilku latach zostajemy z terenem należącym do prywatnej, holenderskiej firmy i podobno naszym jednym budynkiem?” – pytał na konferencji prasowej zorganizowanej po emisji filmu Kacper Płażyński, poseł PiS, były gdański radny. Zapowiedział też złożenie do prokuratury wniosku o ściganie winnych tak jawnej niegospodarności.

Co ciekawe, budynek Kunsztu Wodnego wciąż nie jest dostępny, miał być odebrany w 2019 r., ale do dzisiaj to się nie stało. Trzeba go będzie jeszcze wyposażyć, a to oznacza kolejny wielomilionowy wydatek. Położone tuż obok centrum handlowe działa w najlepsze i zarabia spore pieniądze. Ale już nie dla miasta Gdańska.

BIURA ZAMIAST PARKINGÓW

W filmie wypowiada się także m.in. zmarły w grudniu ub.r. Robert Krygier, gdańszczanin, znawca i miłośnik miasta, członek Spółdzielni Pracy „Światlik”,

były współpracownik Donalda Tuska i Macieja Płażyńskiego. Opowiada o raporcie NIK, który powstał w 2009 r. i był druzgocący dla polityki przestrzennej stolicy Pomorza. Kontrolerzy wskazują

Jaka jest cena ich ukłonów w stosunku do deweloperów? Specjaliści mówią wprost: straszna i wyniszczająca dla miasta. M.in. budowa centrum handlowego na zbiorniku retencyjnym, absurdalna zabudowa dzielnicy Morena wysokimi budynkami

na konkretne złe decyzje, na mocy których straciło miasto, a zyskali prywatni przedsiębiorcy.

To przykład, który świetnie obrazuje genezę deweloperskiej dominacji w Gdańsku. Mowa jest o Macieju Lisickim, przez lata był on zastępcą Pawła Adamowicza w ratuszu, obecnie to prezes zarządu miejskiej spółki Gdańskie Autobusy i Tramwaje sp. z o.o. Jeszcze wcześniej Lisicki był prezesem Spółdzielni Mieszkaniowej „Nowiec”, w tym samym czasie wraz ze współpracownikami z zarządu założył spółkę o takiej samej nazwie.

SM „Nowiec” przejęła w użytkownikom wieczyste tereny od miasta. Większość z nich sprzedawała, zostawiła sobie jedną działkę, i to niezbyt atrakcyjną z punktu widzenia budowlanego, położoną bowiem na tzw. terenie zielonym, tak przynajmniej wskazywał ówczesny plan zagospodarowania tego terenu. Działka należąca do spółdzielni trafiła aportem do nowo zawiązanej spółki Nowiec, której szefowie wystąpili do miasta o zamianę gruntów. Urzędnicy tajemnicą jest, jak to możliwe, że spółka dostała w zamian dwie gotowe do zabudowy działki położone praktycznie w samym centrum miasta.

Spółka Nowiec funkcjonuje do dzisiaj, ale pod zmienioną nazwą. Ta wzięła się od pierwszych liter imion współników: M-aciej, A-dam, R-oman, T-omasz. Wszyscy panowie (pierwszy z nich to Maciej Lisicki) pełnili funkcje zarządcze w SM „Nowiec”. MART buduje więc na otrzymanych działkach biurowce, co do dzisiaj budzi kontrowersje. Firma dostała m.in. działkę, na której powstał budynek Kartuska 5 (znany w mieście jako K5), do dzisiaj zresztą świetnie zarabia na oferowanej powierzchni, dwa piętra wynajmuje... Urząd Miejski w Gdańsku.

Jeszcze większym skandalem jest budowa biurowca Hexo, którą sfinalizowano pod adresem Strzelecka 7b. Przed zamianą był to teren należący do skarbu państwa, teren przekazano miastu

w akcie darowizny w 2001 r., Gdańsk bowiem argumentował, że powstanie tam ogólnodostępny parking na 300 miejsc. Według raportu NIK pojawił się nawet inwestor gotów zrealizować tę inwestycję. Miasto ostatecznie nie zorganizowało przetargu, a teren przekazało spółce powiązanej ze spółdzielnią Lisickiego. W biurowcu wybudowanym przez MART jest parking na 88 miejsc, ale tylko 30 jest ogólnodostępnych.

Na podstawie raportu NIK, który stwierdził wprost, że zamiana działek odbyła się z naruszeniem prawa, do prokuratury trafiły nawet doniesienia w tej sprawie. Sprawy jednak się przedawniły.

Maciej Lisicki w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” w grudniu 2009 r. mówił o działce od miasta: „Spółdzielnia Nowiec, której byłem prezesem, musiała w ciągu pół roku zapłacić za nią 2 mln zł, nie miała środków, szukała inwestorów. Stąd powstała Nowiec sp. z o.o., do której spółdzielnia wniosła udziały i, aportem, nieruchomości przy Dolnych Młynach. Byłem prezesem spółdzielni, ale nigdy nie miałem udziałów w spółce. Z przesłowania spółdzielni zrezygnowałem, gdy zostałem wiceprezydentem Gdańska [na początku 2007 r. – przyp. red.]. [...] Moim zdaniem zarzuty są bezpodstawne”.

PRAWDZIWI WIZJONER

W kampanii samorządowej w 2018 r. Paweł Adamowicz był w wyjątkowo trudnej sytuacji. O reelekcję tym razem się ubiegał, rywalizując nawet z byłymi przyjaciółmi z PO. Prezydent wydał wówczas książkę „Gdańsk jako wspólnota”. Reklamował w niej samego siebie i obficie rozprawiał o swoich zasługach dla rozwoju miasta. W rozdziale „Skok cywilizacyjny Gdańska” sporo pisał o pieniądzach i sposobach

ich pozyskiwania dla miasta. „[...] niełatwym sposobem zdobywania kapitału potrzebnego dla rozwoju miasta jest partnerstwo publiczno-prywatne (PPP). Miasto, dysponując atrakcyjnymi terenami, może przyciągnąć atrakcyjnego inwestora, dysponującego nie tylko własnymi środkami finansowymi, lecz także zdolnością kredytową do uzyskania zewnętrznego finansowania. Miasto określa cel publiczny partnerstwa, który jest potem realizowany przez prywatnego inwestora” – czytamy. Teoretycznie to święta racja, ale nie jest już tak różowo, gdy się przyjrzymy, jak to „niełatwe” partnerstwo miasta z deweloperami jest konsumowane w praktyce.

Przy tej okazji słyszymy opowieść jednego z byłych współpracowników Adamowicza, o którym z uśmiechem mówi „prawdziwy wizjoner”. – Bo on rzeczywiście szybko i bezbłędnie, w zasadzie tuż po objęciu władzy w mieście, rozszyfrował, że partnerami w biznesie będą deweloperzy. Wtedy [Adamowicz po raz pierwszy został wybrany w 1998 r. – przyp. red.] pojawiły się w Polsce łatwo dostępne kredyty walutowe i ludzie zaczęli na potęgę kupować mieszkania. Zaczął się wielki boom na mieszkaniówkę. I on to przewidział – mówi nam urzędnik.

Wróćmy do „niełatwej praktyki” partnerstwa publiczno-prywatnego i zastanówmy się, dlaczego deweloperzy pokochali gdański program Mieszkania za Grunty. Zasada wydaje się doskonała: miasto ma ziemię, oddaje ją firmie, firma buduje osiedla i w rozliczeniu za grunty oddaje mieszkania. Lokali komunalnych miastu wciąż brakuje, więc kierunek byłby słuszny, gdyby... i tu jest sedno sprawy. Ten rachunek powinien być prosty, cena gruntów powinna się równać cenie oddanych mieszkań. Powinna.

Już w 2019 r. pisaliśmy w tygodniku „Sieci” o analizach, do których wówczas dotarliśmy. Wynikało z nich, że ceny zwykle szacowane są na niekorzyść miasta, i to w szokującej skali. Wartość działki zazwyczaj jest zaniżana, a wartość mieszkań zawyżana. Aby sporządzić operat szacunkowy dla określonej działki, należy znaleźć porównywalny teren. Wiadomo, że w mieście ważna jest lokalizacja, odległość od centrum, mniej bądź bardziej uciążliwe sąsiedztwo zakładów przemysłowych itp. W Gdańsku często bywało tak, że do porównania brano działki z odległych dzielnic, trudne do zestawienia, mimo że w najbliższej okolicy były przeprowadzane transakcje, które mogłyby być punktem odniesienia. W drugą stronę robi się odwrotnie. Mieszkania, mimo że wykonane w najniższym możliwym standardzie, są wyceniane jak luksusowe apartamenty. W opracowaniu czytamy m.in. o oszustwach na naprawę drobnych rzeczach: drzwi wycenione na 450 zł, faktyczna cena ok. 300 zł; klamka – 100 zł, cena w sklepie ok. 40 zł. Poza tym na podłogi kładzione są płytki PCV, w pokojach najtańsze wykładziny, a ściany malowane są na biało bez położenia wcześniej gładzi. Miejmy świadomość, że chodzi o niewielkie kwoty, ale mówimy o tysiącach transakcji, więc suma strat miasta jest niebotyczna.

ZYSK WŁASNY

W filmie „Republika deweloperów” przypomniano także sprawę, o której pisaliśmy również w tygodniku „Sieci”, a którą ujawniła „Gazeta Gdańska”. Paweł Adamowicz był przez radnych PiS dopytywany w interpelacji o akcje dewelopera Robyga, które prezydent posiadał w swoim portfelu. Czy akurat w tym czasie podlegający prezydentowi urzędnicy występowali o zmianę planów za-

Zimny luty, łap e-booki

Zamów już dziś na www.siecprijiaciol.pl



E-PRENUMERATA

SIECI

+ 3 e-booki

w prezencie

gospodarowania przestrzennego, której beneficjentem byłaby firma? Pytanie o tyle zasadne, że Adamowicz miał sugerować rozwiązania korzystne dla dewelopera w prywatnych rozmowach, nawet podczas mszy świętej.

„Posiadanie paru akcji nie ma wpływu na działalność inwestora” – w ten sposób Adamowicz odparowywał pytania dziennikarzy. By być precyzyjnym, dodajmy, że chodzi o 37 tys. akcji wartości ponad 170 tys. zł.

Trudno jednak wyobrazić sobie, by z deweloperem walczone albo chociaż stawiano mu jakieś konkretne wymagania, skoro jego zysk miał się przełożyć na cenę akcji. Raczej zdarzały się więc ukłony wobec nich. Jaka jest ich cena? Specjaliści, z którymi rozmawiamy, mówią wprost: straszna i wyniszczająca dla miasta. Budowy w strefie ochronnej ujęć wody, likwidacja ogródków działkowych, by teren przeznaczyć pod osiedle, próba zmiany zagospodarowania przestrzennego tak, by deweloper mógł zbudować bloki na dawnym boisku klubu Gedania, absurdalna zabudowa dzielnicy Morena wysokimi budynkami (choć chwilę wcześniej miasto nie godziło się na dużo niższą zabudowę) czy budowa centrum handlowego Metropolia na zbiorniku retencyjnym – to tylko niektóre przykłady kierunku, w jakim zmierza polityka rozwoju miasta.

Warto uzmysłowić sobie, że Gdańsk położony jest na tarasach. Starsza część miasta, bliższa morza, znacznie niżej, co powoduje, że przy ulewnych deszczach spływa tam sporo wody. Betonowanie górnych tarasów trwa w najlepsze, najnowszy plan dla dzielnicy Morena przewiduje tam ponad 40-metrowe wysokościowce. Na miejskim portalu czytamy, że „decyzję o ich usytuowaniu władze miasta pozostawiają deweloperom”.

Po raz pierwszy problem dostrzeżono podczas powodzi w 2001 r., później zalanie niższych terenów zdarzało się jeszcze wiele razy. – Dosłownie po 20 minutach deszczu widziałem, że nie będzie dobrze. Jechałem do domu i zobaczyłem, że ulicą obok płynie samochód. Chodnikiem udało mi się dojechać do domu, z którego w pośpiechu wynosi-

liśmy rzeczy. W jeszcze gorszej sytuacji była sąsiadka, której nasza pomoc po prostu uratowała życie – opowiada rozmocjonowany Krzysztof Puternicki. Sprytny medialny przekaz przekierował jednak uwagę mieszkańców na anomalia pogodowe (deszcze nawalne zamiast powodzi miejskiej), odwracając uwagę od tego, co dzieje się w górnym mieście, na terenach z pozoru odległych, a regularnie zabudowywanych coraz wyższymi blokami.

SPECJALISTYCZNA BUDOWA

W „republice deweloperów” dzieją się takie rzeczy, na które ludzie spoza miasta szeroko otwierają oczy. W samym Gdańsku, przykro to stwierdzić,

Mamy w Gdańsku taką oto sytuację: Ministerstwo Sprawiedliwości (czyli państwo polskie) kupiło budynek postawiony m.in. na gruncie, który wcześniej przekazało deweloperowi za darmo

chyba większość przywykła. I choćby dlatego nie ma widoków na jakąkolwiek zmianę. Nie można nazwać zwyczajnym trybu, w jakim powstawał efektywny budynek Centrum Sprawiedliwości. Został zbudowany przez Przedsiębiorstwo Budowlane „Górski” w jednej z najbardziej prestiżowych lokalizacji, w bezpośrednim sąsiedztwie dworca kolejowego Gdańsk Główny. – Projekt sprawia wrażenie wyreżyserowanego od początku do końca – mówi Marek Formela, gdański dziennikarz, redaktor naczelny „Gazety Gdańskiej” i portalu wybrzeze24.pl.

Na wcześniejsze zapytania gdańskiego wymiaru sprawiedliwości o dostępność działek pod budowę sądu w tej okolicy miasto odpowiadało negatywnie. Deweloper jednak teren

dostał, musiał tylko oddać gminie 20 mieszkań przy ul. Nieborowskiej, delikatnie mówiąc, na obrzeżach miasta. Drugą działkę, tuż obok, deweloper kupił, choć prezesom sądu wcześniej także jej nie zaproponowano. Trzecią działkę skarb państwa przekazał nieodpłatnie. Na tym rozległym terenie ruszyła budowa, ale to wcale nie koniec historii. Wręcz przeciwnie. Rósł w centrum Gdańska budynek, którego nikt nie zamawiał, przynajmniej formalnie. – Żaden inwestor nie włożył tak dużych pieniędzy w budowę sądu, na który nie ma oficjalnego zamówienia – stwierdza Formela i zastanawia się, „jaką wiedzę musiał posiadać inwestor, by bez zamówienia wybudować budynek o tak unikalnej użyteczności, w efekcie tylko dla jednego użytkownika, bo przecież nikomu poza wymiarem sprawiedliwości nie jest potrzebny sąd”.

Kontrola przetargów publicznych wykazała, że konstrukcja umów sprzedaży budynków wraz z wyposażeniem była rażącym naruszeniem prawa. Mamy bowiem sytuację, w której Ministerstwo Sprawiedliwości (czyli państwo polskie) kupiło budynek postawiony m.in. na gruncie, który wcześniej przekazało deweloperowi za darmo. Według ustaleń „Newsweeka” za wykupem sądu od PB „Górski” lobbował intensywnie poseł PO Stanisław Lamczyk.

Wcześniej był on radnym w Kartuzach, gdzie siedzibę ma firma Górskich, z którymi zna się od lat. Wiązała ich także relacja biznesowa. Orędownikami transakcji byli również ówczesny wiceprezydent miasta odpowiedzialny za politykę przestrzenną Wiesław Bielawski (nazywany „Walizeczka”) i ówczesny prezes Sądu Okręgowego, znany z afery Amber Gold Ryszard Milewski. Ministerstwo ostatecznie zapłaciło deweloperowi 157 mln zł.

Ten układ polityczno-biznesowy to materia, która wymyka się z rąk. Terminy „miasto deweloperów” czy „mała Sycylia” mają głębokie uzasadnienie. Aleksandra Dulciewicz z chorym systemem nie walczy. Konserwuje go, ale dla niepoznaki nazywane jest to „wypełnianiem testamentu Pawła Adamowicza”.

Trzeba wyciągnąć wnioski na przyszłość



Nie można budować systemu ochrony zdrowia, zwłaszcza w przypadku kryzysu epidemicznego, na fundamencie szpitali. Pierwszą i najważniejszą linią walki powinno być dobrze zorganizowane i przede wszystkim dostępne leczenie ambulatoryjne. Szpital to druga linia obrony

*Z gen. dyw. prof. dr. hab. n. med. **Grzegorzem Gielera**kiem, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Czy podziela pan optymizm części świata naukowego związany z tym, że mutacja omikron koronawirusa zakończy pandemię?

Grzegorz Gielera: Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie będzie. Po pierwsze, wskazuje na to naturalny bieg każdej tego typu epidemii. Najpierw patogen jest bardziej zjadliwy, zabija swoje ofiary, ale w ostatecznym rozrachunku nie jest zainteresowany tym, by pozbawiać je życia, wówczas sam bowiem skazuje się na unicestwienie. Szczególny patogen, jakim jest wirus, wobec tego, że nie potrafi się rozmnażać poza organizmem żywiciela, dąży za wszelką cenę do zwiększenia swojej zakaźności, aby dotrzeć do jak największej liczby osób podatnych na zakażenie. Taką właśnie sytuację obserwujemy teraz. Poza tym omikron znacznie częściej niż wariant delta zakaża dzieci, które na szczęście w zdecydowanej większości chorują dość łagodnie. Niemniej na pewno choruje ich zdecydowanie więcej niż dotychczas. To świadczy o tym, że wirus poprzez wiele mutacji znalazł obejście naturalnej odporności, którą posiadają dzieci, za co odpowiada nieco odmienna budowa i funkcja ich układu immunologicznego.

Czy to wszystko świadczy o tym, że SARS-CoV-2 zostanie z nami, a COVID-19 będzie jedną z infekcji górnych dróg oddechowych?

Wirus dołączy do grona czterech ludzkich koronawirusów, które odpowiadały dotychczas za ok. 10–20 proc. infekcji układu oddechowego w okresie jesienno-zimowym.

Czy to znaczy, że szczepienia przeciw COVID-19 będą wykonywane co roku, jak przeciw grypie? Europejska Agencja Leków (EMA) ostrzega przed kolejnymi dawkami przypominającymi. Eksperci mówią, że podawanie ich co kilka miesięcy tworzy potencjalne ryzyko osłabienia układu odpornościowego.

Całkowicie zgadzam się z tezą, którą przedstawiła EMA, a która po raz pierwszy została postawiona przez

SARS-CoV-2 dołączy do grona czterech ludzkich koronawirusów, które odpowiadały dotychczas za ok. 10–20 proc. infekcji układu oddechowego w okresie jesienno-zimowym

samego szefa Pfizera. Stwierdził on, że brakuje dowodów na to, by czwarta dawka miała pozytywny wpływ na odporność. Opinia ta jest w pełni zgodna z dotychczasową wiedzą na temat sposobu i warunków modulowania odpowiedzi immunologicznej przez tak silne antygeny, jak białko kolca SARS-CoV-2. Przedłużająca się w czasie nadmierna stymulacja, powodowana np. kolejnymi dawkami szczepionki podawanej w zbyt krótkich odstępach czasu, może doprowadzić do zmniejszenia wrażliwości układu immunologicznego na antygen i spadku odporności. Wszystko wskazuje więc na

to, że szczepienie przeciw COVID-19 będzie szczepieniem sezonowym, wykonywanym prawdopodobnie raz w roku. Sytuacja będzie o tyle komfortowa, że będziemy dysponować bardzo skutecznymi – dopasowanymi do dominującego w danej chwili wariantu wirusa – szczepionkami. Z powodzeniem możemy więc przyjąć, że skuteczność tych preparatów będzie znacznie większa niż w przypadku grypy.

A jak jest z bezpieczeństwem szczepionek, które mamy teraz? Z badań wynika, że tego najbardziej boją się Polacy.

Fakty są takie, że nie ma lepiej przebadanych szczepionek na świecie. Szczepienia są masowe, masowy jest też więc system raportowania i informacji na temat NOP czy samych efektów szczepień. Amerykańskie CDC miesiąc po miesiącu informuje, w jakim stopniu szczepionka, a ostatnio dodatkowo jeszcze dawka przypominająca, chroni przed ryzykiem zakażenia, hospitalizacji i zgonu.

W różnych miejscach świata widać próby wycofywania się ze strategii izolacji, kwarantanny, testowania. Kiedy Polska będzie gotowa na powrót do normalności?

Po pierwsze, zależy to od przebiegu epidemii. Jesteśmy trzy-cztery tygodnie za tym, co dzieje się we Francji, Włoszech, Niemczech. Druga sprawa to posiadane zdolności i kompetencje krajowych służb sanitarnych, które są niezbędne do przygotowania wiarygodnych informacji i idących w ślad za nimi rekomendacji dotyczących dalszego postępowania wobec epidemii.

Od kwietnia 2020 r. podkreślam, że wiarygodne dane to kwestia naszego – państwa i społeczeństwa – bezpieczeństwa kreowanego na fundamencie wiedzy o skali zagrożenia epidemicznego, z jakim mamy do czynienia. Dlatego potrzebne są nam narzędzia i stojące za nimi możliwości konieczne do opisu aktualnej sytuacji epidemicznej, które pozwolą decydentom podejmować mające uzasadnienie decyzje. Bez tych narzędzi możemy tylko powielać zachowania innych krajów, co nie jest ani ambitne, ani do końca bezpieczne, biorąc choćby pod uwagę genetyczną homogenność polskiej populacji.

W którym momencie należałoby zakończyć z testowaniem, izolowaniem, kwarantanną?

Należy się opierać na tzw. twardej punkty końcowych. Decydująca powinna być ocena skali hospitalizacji w oddziałach intensywnej terapii spowodowanych covidem oraz zgony spowodowane bezpośrednio przez covid, a nie covid współistniejący z przyczyną zgonu. W zestawieniach tygodni do tygodnia notujemy dziś w kraju zmniejszenie liczby zakażonych o blisko 4 tys. Bardziej obrazowo: w jednym z dwóch prowadzonych przez WIM szpitali tymczasowych przebywa tylko jeden chory z zapaleniem płuc – sytuacja, której nie notowaliśmy od początku czwartej fali. Pozostali zakażeni wymagają hospitalizacji z innych zachowawczych przyczyn. Odpowiadając więc na pytanie wprost: nawet dziś.

Dużo się mówi o wysokiej liczbie zgonów w Polsce na tle Europy. Z czego tego wynika: z niskiego poziomu zaszczepienia populacji, ograniczenia chorem dostęp do ochrony zdrowia czy ze sposobu raportowania zgonów?

Raporty medyczne są pochodną tego, co wcześniej zostało wpisane do kart zgonu. Większość zgonów pacjentów z chorobami współistniejącymi, które mogą, choć wcale nie muszą, ulegać zaostrzeniu, ciężkim powikłaniom w przebiegu zakażenia koronawiru-

sem. Aby to lepiej unaocznić, posłużę się wcale nierzadko spotykaną sytuacją: COVID-19 jest chorobą o podwyższonym ryzyku zakrzepowo-zatorowym, dlatego jeśli zgon chorego nastąpił z powodu udaru mózgu lub zawału serca, to tak naprawdę nie jesteśmy w stanie jednoznacznie rozstrzygnąć, jaki udział w jego wystąpieniu miało zakażenie. Stąd trudności związane z jednoznacznym określeniem przyczyn wielu śmierci.

Wszystko wskazuje na to, że zaszczepienie przeciw COVID-19 będzie szczepieniem sezonowym, wykonywanym prawdopodobnie raz w roku. Sytuacja będzie o tyle komfortowa, że będziemy dysponować bardzo skutecznymi szczepionkami, skuteczność tych preparatów będzie znacznie większa niż w przypadku grypy

A poziom zaszczepienia i utrudniony dostęp do ochrony zdrowia?

To dwa najsłabsze punkty naszej walki z epidemią. Powinna ona polegać na stosowaniu wszelkich narzędzi, które ograniczają jej skutki. Pierwszym i najsukurszejszym, jakie mamy do dyspozycji, są szczepienia. To nie podlega dyskusji. Ktoś powie, że są jeszcze leki. Ale one mają swoje ograniczenia, dotyczące choćby czasu działania, skuteczności oraz możliwych skutków ubocznych, np. działanie molnupirawiru, podobnie jak remdesiwiru, polega na zwiększaniu częstotliwości mutacji wirusowego RNA i upośledzaniu replikacji SARS-CoV-2, w wyniku czego wirus nie może prawidłowo funkcjonować

i się namnażać, co zmniejsza zakaźność, a także osłabia rozwój choroby i pozwala szybciej się uporać z jej objawami. Jednak podobne działanie mutagenne może również dotyczyć genomu człowieka z ryzykiem pojawienia się zmienionych chorobowo komórek dających początek procesowi nowotworzenia. Dlatego najważniejsza jest profilaktyka, a w tym przypadku oznacza to szczepienia. Niestety obiektywnie trzeba przyznać, że osiągnięty jesienią poziom zaszczepienia wśród Polaków nie jest powodem do dumy.

Dlaczego?

Zaniedbaliśmy pewne grupy. Należało się skoncentrować na kluczowych grupach ryzyka, w tym tych z obniżoną odpornością. Takich osób jest w Polsce 120 tys. To jedna z najbardziej zagrożonych ryzykiem wystąpienia powikłań grupa. Czy dotarliśmy do wszystkich? Mam wątpliwości, wiedząc, jak wiele osób przewlekłe przyjmuje kortykosteroidy w dawce dziennej przekraczającej 20 mg w przeliczeniu na prednizon (encorton). Z danych izraelskich i amerykańskich wynika, że ponad 50 proc. zakażeń przełamujących to zdarzenia dotyczące tej właśnie grupy. W Polsce nie widziałem takich danych. Natomiast na podstawie przekazów medialnych kierowanych do społeczeństwa

trudno jednoznacznie powiedzieć, kogo my tak naprawdę chcemy, powinniśmy szczepić w pierwszej kolejności, kto jest naszym najwyższym priorytetem. Jednego dnia są to dzieci i młodzież, innego seniorzy, kolejnego osoby z niedoborami odporności. Brakuje mi w tym dobrego planowania i konsekwencji w realizacji.

A ograniczenie chorem dostęp do ochrony zdrowia?

To druga nasza największa słabość. Warto więc z tych okoliczności wyciągnąć wnioski na przyszłość. Pytanie: czy jesteśmy przygotowani i zdeterminowani, by przeprowadzić gruntowną naprawę systemu ochrony zdrowia wraz z powołaniem

niezbędnych – odpowiadających rozpoznaniem podczas obecnej epidemii – potrzeb w zakresie struktur oraz procedur zarządzania kryzysowego? Nie można budować systemu ochrony zdrowia, zwłaszcza w przypadku kryzysu epidemicznego, na fundamencie szpitali. Pierwszą i najważniejszą linią walki powinno być dobrze zorganizowane i przede wszystkim dostępne leczenie ambulatoryjne. Zawsze. Szpital to druga linia obrony. Niestety w Polsce od samego początku epidemii w sposób całkowicie nieuprawniony zaakceptowaliśmy to, że niewydolność opieki przedszpitalnej w trakcie epidemii jest stanem naturalnym, wpisanym niejako w działalność tego segmentu rynku zdrowia. W drugiej fali Ministerstwo Zdrowia i NFZ podjęły próbę większego zaangażowania tych podmiotów – wdrożono usługę teleporad, czyli zdalnych konsultacji lekarskich, co pozwoliło zachować ciągłość udzielania świadczeń w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej. Jakkolwiek szybko się okazało, że ta forma prowadzenia praktyki lekarskiej stała się dominująca, co mając na uwadze potrzeby zdrowotne pacjentów, spowodowało interwencję płatnika ograniczającą udział świadczeń w całości udzielanych porad lekarskich. Pięć fal epidemii to każdorazowo również odmienne strategie organizacji systemu ochrony zdrowia. Każda na swój sposób racjonalna i oryginalna, a jednocześnie pozbawiona korzyści wynikających z efektu synergii łącznej interakcji. Wiosną 2020 r. fundament przeciwdziałania skutkom zakażeń były szpitale jednoimienne. Sześć miesięcy później, wobec lawinowo rosnącej liczby zakażonych, zdecydowano o szerszym otwarciu systemu ochrony zdrowia. Zatem nie tylko szpitale jednoimienne (koordynacyjne), lecz również zasoby pozostałych podmiotów leczniczych zostały zaangażowane w leczenie chorych z COVID-19. Jednocześnie rozpoczęto inwestycje w szpitale tymczasowe, przypisując im – niestety – głównie funkcję jednostek będących ogniwem pośrednim między

szpitalem a ambulatorium. W obliczu rozpoczynającej się trzeciej fali zakażeń uznano, że będą one podstawowym miejscem leczenia chorych z COVID-19, stanowiąc przy okazji wsparcie dla szpitali stacjonarnych, które zgodnie z planem po wyszczerpieniu personelu medycznego miały przywrócić działalność medyczną na poziomie sprzed epidemii. Do tego dały znać o sobie problemy związane z zagwarantowaniem odpowiedniej liczby miejsc w izolatoriach.

W którym momencie należałoby zakończyć z testowaniem, izolowaniem, kwarantanną? – Odpowiadając na to pytanie wprost: nawet dziś

Mówi pan profesor o dogłądaniu osób na izolacji, a ja mam wrażenie, że tego pacjenci w Polsce byli właśnie pozbawieni. Rząd ogłosił, że w piątej fali pacjenci 60+ muszą być zbadani w ciągu 48 godzin. To chyba powrót na dobrą drogę?

Moim zdaniem od początku źle zdefiniowano oś dyskusji wokół tego tematu. Wróć do naszych obserwacji z misji we Włoszech na samym początku pandemii. Mieliliśmy wówczas do czynienia z nieznanym patogenem, który dodatkowo był wysoce śmiertelny, a mimo to nie napotkaliśmy żadnych przeszkód, wątpliwości, aby uznać za najbardziej właściwe przypisanie kluczowej roli w walce z epidemią lekarzom rodzinnym. Nie toczono tam dyskusji na temat tego czy, ale jak sprawować opiekę, aby móc zrobić dla chorych jeszcze więcej. To nie chory kierowany wolą zachowania swojego zdrowia i życia podążał za systemem, lecz system poprzez organizację podstawowego ogniw opieki koncentrował się na zapewnieniu osobom zakażonym warunków i możliwości do przeprowadzenia jak

najszerszego wachlarza specyficznie dobranych testów diagnostycznych. Prowadzona ocena czynników ryzyka hospitalizacji była kluczowym elementem identyfikacji chorych zagrożonych ciężkim przebiegiem COVID-19. O tym jak bardzo dowiedzieliśmy się w Polsce po raz pierwszy w trakcie drugiej fali epidemii. Takiej perspektywy widzenia problemów związanych z opieką nad chorymi zabrakło mi w polskich realiach.

Co teraz zrobić, by po pandemii przywrócić normalność?

Po pierwsze, przywrócić funkcjonowanie systemu ochrony zdrowia, poprawić jego dostępność w stopniu i zakresie adekwatnym do potrzeb, o jakich mówimy dziś przy okazji dyskusji o długu zdrowotnym. Po drugie, poprawić jego jakość, i to nie tylko poprzez zwiększanie nakładów, ale także podniesienie skuteczności i efektywności wykorzystania posiadanych zasobów kadrowych i materialowych. Z tym, zapewniam, nie jest dziś u nas najlepiej. Potrzebujemy także kompleksowej strategii zarządzania sytuacją kryzysową z możliwie najbardziej szczegółowym wyznaczeniem ról i zadań, w tym kompetencji, poszczególnych segmentów oraz jednostek organizacyjnych systemu ochrony zdrowia. Dookreślenie modelu organizacji rynku usług zdrowotnych, strategii jego rozwoju oraz zasad, które mają na nim obowiązywać.

A z czego wynikała w Polsce tak wysoka liczba zgonów nadmiarowych, z powodów innych niż covid?

Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele, począwszy od ogólnego, nie najlepszego stanu zdrowia polskiego społeczeństwa, poprzez organizację i finansowanie systemu ochrony zdrowia, aż po sposób zarządzania kryzysem, prowadzenia walki z epidemią.

Do tego wszystkiego trwa polityczna debata, jak najlepiej przeprowadzić Polaków przez tę piątą falę. Pojawiają się koncepcje obowiązkowych szczepień, paszportów covidowych, przyznania pracodawcy

uprawnień do kontroli szczepień lub testów wśród pracowników itp. Czy na tym etapie pandemii ta dyskusja ma jeszcze sens?

Zastanówmy się, czemu służyła koncepcja paszportów covidowych. Na początku okresu szczepień byliśmy przekonani, że paszport będzie identyfikował osobę, która nie choruje i nie zaraża. Dziś wiemy, że osoby zaszczepione zarażają mniej, ale wciąż zarażają. Dla osoby z grupy ryzyka nawet to zminimalizowane ryzyko jest duże. Kiedy więc paszport covidowy ma sens? Gdy idą za nim ułatwienia dla osób zaszczepionych i ograniczenia dla osób niezaszczepionych. Po co? By zwiększyć populację osób, które zdecydują się zaszczepić. Tak było we Francji. Po wprowadzeniu paszportów w ciągu tygodnia zaszczepiły się 2 mln Francuzów, w momencie w którym już się wydawało, że szczepienia utknęły. Miało to sens? Miało. Dziś musimy już jednak myśleć o przyszłości. Jeśli chcemy wprowadzić obowiązek testowania dla pracowników, należałoby zapisać: „w przypadku wystąpienia epidemii pracownik ma obowiązek się testować...”. Budujmy mądre strategie na przyszłość. Za sześć–osiem lat pojawi się kolejny patogen, o którym nic nie będziemy wiedzieć, będziemy się go uczyć. Bądźmy przygotowani. Na dziś przy wiedzy, którą mamy, na tym etapie epidemii, żadne dodatkowe rozwiązania tego rodzaju wiele nie zmienią.

A obowiązek szczepień, który intensywnie postuluje lewica, ma jeszcze sens?

Boję się, żeby te postulaty nie zadziały przeciwskutecznie, czyli żeby nie zniechęciły do szczepień w ogóle. Tak naprawdę poza dyskusją wokół szczepień przeciw COVID-19 mamy znakomite statystyki dotyczące obowiązkowych szczepień. Jesteśmy prymusami Europy z odsetkiem 97 proc. Polaków zaszczepionych, tam, gdzie jest obowiązek. Jestem przeciwnikiem wpisywania szczepień przeciw

COVID-19 na listę szczepień obowiązkowych z zastrzeżeniem pewnych grup zawodowych: zawody medyczne, służby mundurowe. I tyle.

Jeśli chcemy wprowadzić obowiązek testowania dla pracowników, należałoby zapisać: „w przypadku wystąpienia epidemii pracownik ma obowiązek się testować”. Budujmy mądre strategie na przyszłość. Za sześć–osiem lat pojawi się kolejny nieznany patogen, bądźmy na to przygotowani

A co z dziećmi: szczepić, nie szczepić? Moje dwie najmłodsze córki nie zachorowały, mimo że większość domowników dopadł koronawirus.

Mamy coraz więcej wiedzy, sukcesywnie ją zdobywamy, niemniej jednak potrzebujemy większej liczby obserwacji, danych z badań klinicznych dzieci szczepionych i nieszczepionych, by móc wiarygodnie odpowiedzieć na to pytanie. Niemiecka Komisja ds. Szczepień zaleca, aby w grupie dzieci szczepić tylko te obciążone ciężkimi schorzeniami przewlekłymi. Do tego stara reguła epidemiologiczna mówi, że nie należy za wszelką cenę dążyć do eradykacji patogenu, przyparty do ściany zawsze znajdzie bowiem obejście. By ochronić osoby narażone największym ryzykiem powikłań, należy je szczepić, pozwalając jednocześnie patogenowi krążyć w tej części populacji, w której wyrządza najmniejsze szkody. W tym przypadku jest to grupa dzieci. Za takim podejściem przemawia również fakt, że to właśnie w populacji dzieci i młodych dorosłych, zwłaszcza chłopców, notujemy

największą liczbę przypadków dość specyficznego rodzaju powikłania poszczepiennego – zapalenia mięśnia sercowego i/lub osierdzia.

A jak pan profesor ocenia kolejne przejście szkół na naukę w trybie zdalnym?

Skutki psychologiczne i społeczne wynikające z ograniczenia klasycznego modelu edukacji są tak ogromne, że należałoby zrobić wszystko, by zachować funkcjonowanie szkół w trybie stacjonarnym przy jednoczesnym zagwarantowaniu bezpieczeństwa epidemicznego. Krótki czas inkubacji wariantu omikron, którego mediana czasu inkubacji wynosi trzy dni, pozwala na zastosowanie modelu postępowania, gdzie osoba z kontaktu po trzech dniach kwarantanny może zostać poddana testowi antygenowemu, którego wynik byłby rozstrzygający względem dalszej ścieżki postępowania i decyzji co do możliwości uczestnictwa ucznia w zajęciach szkolnych.

Wróćmy jeszcze na chwilę do rozmowy o lekach. Pojawiły się dwa. O jednym pan już mówił. Drugi, paxlovid, działając wirusostatycznie, przypomina amantadynę.

Tak, to lek hamujący wczesne stadium replikacji wirusa poprzez blokadę wirusowej proteazy. Podany w trakcie pierwszych pięciu dni od wystąpienia objawów zakażenia wykazuje blisko 90 proc. skuteczność.

A skąd ta wojna wypowiedziana amantadynie?

Na dziś nie możemy jeszcze definitywnie powiedzieć, czy amantadyna działa czy nie. Czekamy na wyniki badań klinicznych, jakie obecnie są prowadzone na świecie, także w Polsce. Jako lekarz praktyk mogę powiedzieć, że obserwacja prof. Konrada Rejdaka z kwietnia 2020 r., poparta później poszerzoną obserwacją naukowców z Wielkiej Brytanii, pozwala podejrzewać, że w działaniu amantadyny rzeczywiście może być „zaszyta” jej skuteczność przeciw



koronawirusowi. Już niedługo będziemy mieli okazję w pełni się o tym przekonać.

Mimo to środowisko naukowe nie zachowywało w swych opiniach wstrzemięźliwości.

Może dlatego, że to był lek, na który wygasły patenty i nie stał za nim potencjał firm farmaceutycznych. Bez wątpienia medycyna musi być oparta na faktach i dowodach naukowych. Oficjalnie lek znalazł zastosowanie w leczeniu chorych z COVID-19 w Polsce w ramach finansowanego przez ABM badania klinicznego. Jednocześnie pojawiły się administracyjne ograniczenia w powszechnym dostępie do leku, co jest o tyle zaskakujące, że wcześniej został on uznany za preparat bezpieczny w leczeniu chorych z COVID-19. Szkoda więc, że jako Polska zrobiliśmy tak wiele, by coś, co mogło być naszym sukcesem, z czego mogliśmy być znani na świecie, już takim sukcesem nie będzie. Na świecie toczą się duże projekty naukowe, w których Polska nie uczestniczy. Duńczycy będą szybsi, Niemcy mają swoje badania.

Czy większa otwartość debaty publicznej mogłaby zachęcić Polaków do szczepień?

Zupełnie nie doceniliśmy jakości komunikacji, której nie najwyższy cokolwiek powiedzieć poziom zaciążył na powszechności programu szczepień oraz stosowaniu się Polaków do

Jestem przeciwnikiem wpisywania szczepień przeciw COVID-19 na listę szczepień obowiązkowych z zastrzeżeniem pewnych grup zawodowych: zawody medyczne, służby mundurowe

zaleceń i rekomendacji związanych z epidemią. Sensowność niektórych z tych zaleceń (typu zamknięte lasy czy siłownie) tylko zmniejszyła zaufanie Polaków do autorytetów. Amerykanie mają jedną świętą za-

sadę: jeśli coś się komunikuje, to muszą to robić osoby wiarygodne, budzące zaufanie. W tym przypadku najlepsi byłiby lekarze, którzy na co dzień obserwują skutki swoich decyzji. Tego właśnie zabrakło w działalności Rady Medycznej, której przekaz kierowany do społeczeństwa nie pochodził bezpośrednio od jej członków, tylko od polityków. W Radzie zabrakło także specjalistów od komunikacji, psychologów, socjologów, którzy w ramach uzgodnień z lekarzami zajmowaliby się przygotowaniem czytelnego i jasnego przekazu dla społeczeństwa, badając jednocześnie jego odbiór. Wreszcie taka Rada osób cieszących się powszechnym autorytetem powinna być wolna od polityki i działać poza nią, tak jak to jest w przypadku porównywalnych gremiów eksperckich funkcjonujących w wielu krajach Europy Zachodniej. Zapewniam, że nie brakuje w Polsce znakomitych i jednocześnie moralnych fachowców, którzy są w stanie działać skutecznie, kierując się przy tym dobrem publicznym, a nie doraźnym interesem politycznym czy materialnym. 

Bunt w Platformie

Donald Tusk nie okazał się lekarstwem na kłopoty Platformy. Sam stał się kłopotem. Dlatego w partii narasta sprzeciw wobec jego przywództwa



STANISŁAW JANECKI

skiej polityki minęło już ponad siedem miesięcy, a jakiś pozytywny efekt jego obecności dla samej partii był widoczny może przez dwa miesiące. Wtedy PO odzyskała większość zwolenników, którzy podczas kierowania partią przez Borysa Budkę odeszli do Szymona Hołowni bądź zawiesili swoje poparcie. Potem Tusk ustawił pod siebie partyjne struktury, lecz nie widać w tej konfiguracji ani nowej myśli, ani nowych ludzi.

Gdy w lipcu 2021 r. rozpoczynał nowy rozdział, w Platformie rozbudził wielkie oczekiwania. Do tego stopnia, że spodziewano się politycznego blitzkriegu. I tylko dlatego tak łatwo udało mu się spacyfikować młodszych polityków, przede wszystkim Rafała Trzaskowskiego i Borysa Budkę. Ale szybko się okazało, że wróciło stare. Rafał Trzaskowski zrealizował swój projekt Campus Polska Przyszłości głównie dlatego, że zauważył powrót do tego, co było, a nie chciał zmarnować entuzjazmu i mobilizacji tych, którzy licznie poparli go podczas wyborów prezydenckich w 2020 r. Trzaskowski chciał zadbać o przyszłość partii, ale się okazało, że dla Tuska przyszłość to przeszłość.

Coraz więcej polityków PO, także z obecnego, czyli nowego zarządu partii, jest przekonanych, że pod wodzą Tuska nie tylko nie wrócą do władzy, lecz również przegrają kolejne wybory prezydenckie. Nowy-stary przewodniczący zatrzymał proces odmładzania partii, na czym bardzo zależało Rafałowi Trzaskowskiemu, a co miało być przeciwwagą dla inicjatywy Szymona Hołowni. Z tego powodu w Platformie narasta frustracja i rodzi się bunt. Na razie cichy i gabinetowy, ale zaskakuje tempo rozczarowywania się tym, który miał gwarantować blitzkrieg.

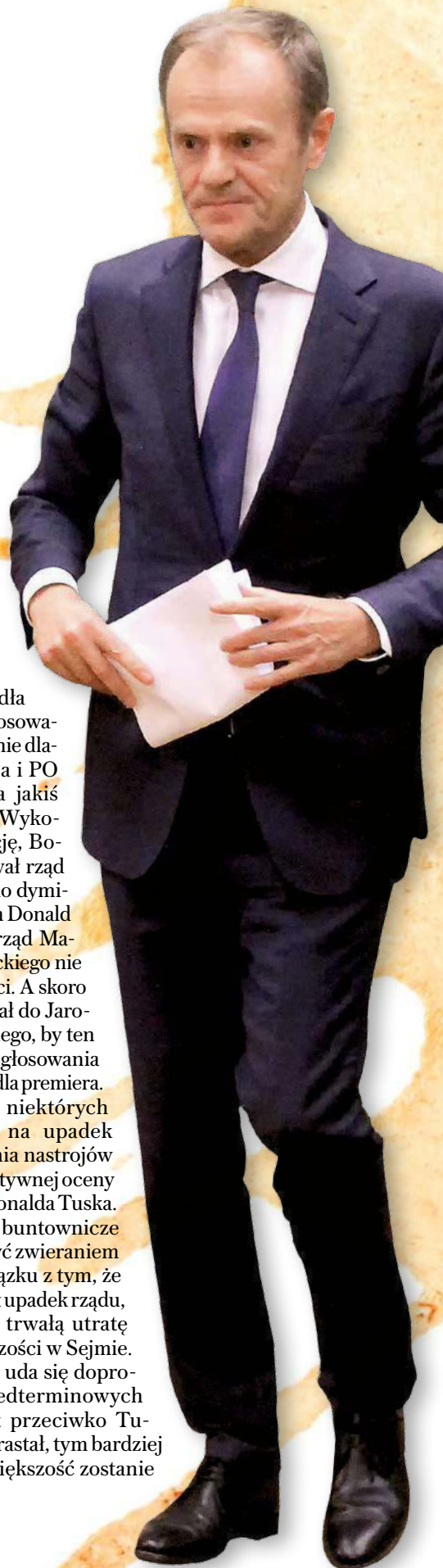
Inicjeg tu nie zmienia pozorne zwycięstwo opozycji, a więc i Koalicji Obywatelskiej, w sejmowym głosowaniu (1 lutego br.)

Zdenerwowanie Donalda Tuska podczas pierwszego z sześciu tzw. programowych kongresów Platformy Obywatelskiej nie było przypadkowe. Od powrotu byłego przewodniczącego Rady Europejskiej do pol-

projektu ustawy dotyczącej testowania pracowników.

Ustawa przepadła przez sposób głosowania klubu PiS, a nie dlatego, że opozycja i PO wzniosły się na jakiś nowy poziom. Wykorzystując sytuację, Borys Budka wezwał rząd do podania się do dymisji, a 2 lutego sam Donald Tusk uznał, że rząd Mateusza Morawieckiego nie ma już większości. A skoro tak, to zaapelował do Jarosława Kaczyńskiego, by ten doprowadził do głosowania wotum zaufania dla premiera.

Oczekiwanie niektórych polityków PO na upadek rządu nie zmienia nastrojów w partii ani negatywnej oceny przywództwa Donalda Tuska. On z kolei chce buntownicze nastroje przykryć zwieraniem szeregow w związku z tym, że właściwie ogłosił upadek rządu, a przynajmniej trwałą utratę przez PiS większości w Sejmie. Jeśli jednak nie uda się doprowadzić do przedterminowych wyborów, bunt przeciwko Tuskiemu będzie narastał, tym bardziej jeśli rządząca większość zostanie utrzymana.



POLITYCZNY WAMPIR

Donald Tusk sprawił, że zmalała niemal do zera możliwość wzmocnienia się, także pod kątem efektywności walki z PiS, takich polityków, jak Rafał Trzaskowski, Borys Budka, Radosław Sikorski, Bogdan Zdrojewski, Tomasz Siemoniak, Bartłomiej Sienkiewicz, Bartosz Arłukowicz, Czesław Mroczek czy Małgorzata Kidawa-Błońska. Ich rola jest obecnie znacznie mniejsza niż za przywództwa Borysa Budki, choćby nawet stali się pretorianami Tuska, jak Arłukowicz czy Sienkiewicz.

Całkowicie zmarginalizowany został Grzegorz Schetyna, a nawet zmuszony do tego, by nie kandydować na szefa regionu dolnośląskiego (było to oczywiście przedstawiane jako świadomy wybór). To sprawia, że po krótkim uspokojeniu Schetyna jest znowu nadzieją tych, których nowa odsłona przywództwa Tuska rozczarowała. A Schetyna to najdłużej działający wewnętrzny oponent Tuska, i to taki, któremu udało się obrońić przed wyrzuceniem z partii, choć nie przed osłabieniem i upokorzeniem, zwłaszcza w 2009 r., gdy został spektakularnie wyrzutycony z rządu. Potem musiał udawać przyjaźń dla dobra partii, ale to była tylko szopka. Tak jak szopką były deklaracje Trzaskowskiego i Budki, że Tusk ich do niczego nie zmusił ani niczego im nie odebrał, choć zmusił do poddania się (i to w formie bezwarunkowej kapitulacji) oraz odebrał im szansę na wzmocnienie się. A Trzaskowskiego Tusk zwyczajnie upokorzył, próbując przejąć nawet jego Campus Polska Przyszłości. I prezydent Warszawy wcale mu tego nie zapomni. Tym bardziej że Tusk uniemożliwił mu przejęcie partii i zahamował jego polityczny awans wkrótce po tym, jak głosowało na niego 10 mln wyborców. A przecież już nawet po powrocie Tuska partii dawano większe szanse na wzrost pod przywództwem Trzaskowskiego niż byłego premiera. Im dalej od wyborów prezydenckich, tym przewagi Trzaskowskiego są coraz bardziej niwelowane, co dla przyszłości partii nie jest niczym pozytywnym. A Tusk staje się w tym przypadku politycznym wampirem.

Owszem, Donald Tusk jako polityk potrafi uwodzić, ale raczej tych, którzy i tak byli już w nim zakochani. Tacy ludzie bowiem nie dostrzegają, że Tusk w 2022 r. to jednak lider mocno zużyty. Po 17 latach był premier stał się politykiem znacznie słabszym, co nadrabia agresją. Kiedyś był sprytny i pomysłowy, teraz jest głównie złośliwy i pełen negatywnych emocji, a to znak bezsilności.

Tę przemianę najlepiej widać po jego ostatniej książce (napisanej wspólnie z Anne Applebaum) – „Wybór”. Problemem

Tuska i tej książki jest brak wyboru. Zakłada on, że liberalna demokracja jest zrealizowanym, maksymalnym celem rozwoju społeczeństw, a każda alternatywa jest gorsza (argumentacja za tym jest zresztą gołosłowna i bardzo schematyczna). Jak na polityka, który przez pięć lat zajmował najwyższe formalnie stanowisko w Unii Europejskiej, Donald Tusk nie ma o przyszłości UE nic konstruktywnego do powiedzenia. Jest zwolennikiem restauracji w Unii, podobnie jak w polskiej polityce: Tusk to restauracja. Co oznacza, że były premier nie dostrzega ewolucji polskiego społeczeństwa i pozytywnego upolitycznienia (oznaczającego wyższą świadomość polityczną, o czym sam przekonuje się podczas rozmów z przeciętnymi Polakami, gdy odwiedza różne miejscowości) tych grup społecznych, które wcześniej były dyskryminowane, przede wszystkim materialnie. A najbardziej były dyskryminowane za jego rządów, gdy obowiązywała polaryzacyjno-dyfuzyjna koncepcja rozwoju Polski. Ona z zasady była dyskryminująca.

W Platformie narasta bunt przeciwko przywództwu Tuska także dlatego, że nie zauważa on przemian polskiego społeczeństwa, które zaszły w latach 2015–2021, gdy wprowadził był w kraju, ale rzeczywiście go nie było. Oczywiście siedem miesięcy po powrocie lidera to za mało, by oficjalnie go krytykować czy wzywać do ustąpienia. Do tego potrzeba konkretnych i bolesnych potknięć oraz większych kłopotów obozu rządzącego niż przegrane jedno głosowanie, w dodatku takiego, w którym nie obowiązywała dyscyplina.

Jedynie, co się Tuskowi udało, to jeszcze większa polaryzacja sceny politycznej (niekorzystna dla innych ugrupowań opozycyjnych poza PO) i jeszcze większa agresja w stosunku do PiS. Odpryskiem tej agresji jest traktowanie z butą Hołowni i Kosiniaka-Kamysza

KOALICJA Z PRZYMUSU

Wyraźnym potknięciem Tuska jest jego strategia jednoczenia opozycji. Inne opozycyjne ugrupowania nie zaakceptowały tego, że jednoczenie jest możliwe tylko pod jego przywództwem. I nie zaakceptowały metod byłego premiera, czyli straszenia, szantażowania, stawiania ultimatum i ustawiania w szeregu. To sprawiło, że wezwaniom Tuska nie podporządkował się żaden z liderów, od Szymona Hołowni przez Włodzimierza Czarzastego po Władysława Kosiniaka-Kamysza. To wywołało agresywną reakcję ludzi Tuska, zwłaszcza wobec Hołowni i Czarzastego. Poprzez agresję dąży się do ich zmniejszenia. Bez efektu. Dlatego na początku lutego 2022 r. Tusk i jego ludzie trochę złagodzili konfrontacyjny kurs i zaczęli mówić o korzyściach płynących ze zjednoczenia opozycji oraz zachęcać do „racjonalnego wyboru”. Sam Donald Tusk uznał zapewne, że inni liderzy opozycji albo przyłączą się w ostatniej chwili, albo wesprą go w działaniach zmierzających do obalenia rządu. Tyle że głosowanie nad ustawą dotyczącą testowania i sprawdzania pracowników pod kątem COVID-19 nie jest ani dobrym pretekstem (sama opozycja

pokazała gołosłowność deklaracji o potrzebie obostrzeń), ani wystarczającą płaszczyzną porozumienia całej opozycji.

Tusk liczy przy tym, że rządzący sami wpadną w takie kłopoty, że wewnętrzna opozycja wobec niego w partii będzie się musiała zająć scenariuszem przyspieszonych wyborów, a nie rozliczaniem go ze skuteczności jako lidera i tego, który miał od razu wszystko zmienić na lepsze. Jedynie, co się Tuskowi udało, to jeszcze większa polaryzacja sceny politycznej (niekorzystna dla innych ugrupowań opozycyjnych poza PO) i jeszcze większa agresja w stosunku do PiS. Odpryskiem tej agresji jest traktowanie z buta Hołowni i Kosiniaka-Kamysza.

Niezależnie od poziomu politycznych emocji wewnątrz Platformy narasta strach przed tym, że jeśli Tuskowi nie uda się doprowadzić do upadku rządu Mateusza Morawieckiego czy sprawić, by jakaś wersja opozycyjnej koalicji zaczęła prześcigać PiS w sondażach, to perspektywy na przyszłość będą marne. Umacnianie się Tuska oznaczało przecież osłabienie wszystkich młodszych pretendentów do przewodzenia Platformie. A łatwość, z jaką przegrali, może zasiać zwątpienie, czy gdyby Tuska trzeba było się pozbyć, to istnieje dostatecznie silny kandydat na jego następcę. Rafał Trzaskowski był kimś takim przed jego powrotem, ale ponownie już raczej nie będzie. Tusk obnażył jego miękkość i niezdecydowanie. A poza Trzaskowskim innego kandydata na nowego lidera nie ma. Przeciwnicy Tuska w PO mówią nawet, że wrócił on do polskiej polityki właśnie po to, by osłabić Trzaskowskiego, czyli ułatwić sobie rządzenie partią i podejmowanie decyzji, gdyby udało się skleić różne opozycyjne ugrupowania.

Na początku lutego 2022 r. w PO istnieje świadomość, że jest i będzie kłopot z dogadaniem się w sprawie wyznaczenia kandydata na premiera (nie tylko całej opozycji, lecz także PO), który lewarowałby wyborczy wynik. Tusk jako ewentualny kandydat na szefa rządu możliwość lewarowania raczej bezpowrotnie stracił. A znacznie łatwiej walczy się w wyborach, gdy gra się na konkretnego kandydata na premiera. I gra się zgodnie. Gdy w 2005 r. takiej gry zabrakło, a wręcz zaczęły się intrygi, „premier z Krakowa”, czyli Jan Rokita, nie lewarował wyniku Platformy. W przeciwieństwie do Beaty Szydło, która w 2015 r. pomogła w zwycięstwie PiS

w wyborach parlamentarnych. Przeciwnicy Tuska obawiają się, że znowu będzie tak jak w wypadku „premiera z Krakowa”, a nawet jeśli sam Tusk weźmie na siebie rolę przyszłego premiera, nie da się stworzyć rządzącej większości i tak jak w 2005 r. PO nie będzie miała własnego szefa rządu.

WIELKIE PRZEDSTAWIENIE

Frustracja i bunt w Platformie narastają także dlatego, że ważni politycy tej formacji uważają, iż odchodząc w 2014 r., Tusk zostawił po części spaloną ziemię. A w razie niepowodzenia w roku 2022 lub 2023 zostawiłby ziemię już całkowicie spaloną. A to może skutkować przerzuceniem się dużej części wyborców na Polskę 2050 Szymona Hołowni.

Przeciwnicy Tuska obawiają się też, że jeśli on za wiedzie, to Hołownię poprą te wszystkie lobby, grupy interesów i wpływowe osobistości, które pozostały lub wróciły do PO wraz z powrotem Tuska. Obawiają się także, że rozsypie się całe biznesowe zaplecze PO, także to w środowiskach opiniotwórczych i wśród ludzi tajnych służb. Tylko

kłopoty rządzących, przede wszystkim z Polskim Ładem, sprawiają, że przeciwnicy obecnego przewodniczącego PO nie chcą go atakować od razu. Ale kilka miesięcy przed wyborami będzie to trudniejsze, gdyż wtedy trzeba raczej zwracać szereg. Rozliczenie szefa zaś po ewentualnej wyborczej porażce nie będzie miało już sensu.

Tym bardziej że istnieje obawa, iż wtedy nie będzie już czego zbierać. Natomiast w razie optymistycznego dla PO scenariusza nie będzie sposobu Tuska się pozbyć, a on nie jest z kolei uważany za kogoś, kto sobie poradzi z nowymi wyzwaniem. Zwłaszcza w obliczu wielkich zobowiązań socjalnych, na które nie jest w stanie zapewnić środków w budżecie, co już przecież udowodnił, zwłaszcza podczas swojej drugiej kadencji.

Sielanka odgrywana w Platformie pod przywództwem Tuska to tylko przedstawienie, żeby nie demobilizować zwolenników i nie wzmacniać innych ugrupowań opozycyjnych. I żeby nie tracić okazji do osłabiania rządzących, gdy mają kłopoty.



Wielka wyprzedaż Polski

Największy rabunek miał miejsce nie w czasach liberałów i nie w czasach SLD, lecz za rządów AWS i Unii Wolności, w czasie premierostwa Jerzego Buzka. Wówczas sprzedano firmę absolutnie kluczową dla bezpieczeństwa państwa, czyli Telekomunikację Polską, oraz oddano kontrolę nad PZU; tę drugą firmę na szczęście udało się odbić. I później, za Tuska, też miały miejsce wielkie skandale, choćby doprowadzenie do upadku przemysłu stocznioowego

**Jacek Karnowski rozmawia
z *Bogdanem Pękem*,
byłym posłem, europosem,
senatorem, a obecnie radnym
sejmiku małopolskiego
z ramienia PiS**

W czasie gdy domykano fuzję Orlenu i Lotosu, politycy Platformy wyrażali zaniepokojenie losem tej drugiej firmy. Były minister przekształceń własnościowych Janusz Lewandowski mówił w tym kontekście o „rozbiórce” Lotosu. Co pan myślał, słuchając tych wystąpień? Bo przecież gdyby Janusz Lewandowski pełnił swoją funkcję dłużej, w rękach państwa polskiego nie byłoby nic – ani Orlenu, ani Lotosu, ani PZU, ani KGHM, ani energetyki. Sprzedano by nawet naturalne monopole, takie jak sieci wodociągowe czy ciepłownicze. Tak przecież robią miasta rządzone przez Platformę.

Bogdan Pęk: To są zarzuty nawet nie śmieszne, ale tragiczne. Nieprawdopodobna obłuda, wielkie zakłamanie. Ale problem jest szerszy, bo majątek narodowy wyprzedawali także postko-

muniści oraz rząd AWS. Mówię to jako człowiek, który w latach 1993–1994 przewodniczył sejmowej komisji ds. przekształceń własnościowych i który to wszystko, co się działo, widział na własne oczy. Zresztą fakt, że powierzono mi taką funkcję, był niemalże cudem.

SLD, i Bronisława Geremka, szefa klubu Unii Demokratycznej. Dzięki tej funkcji widziałem, jakie były skutki tego, co robili Lewandowski, Jan Krzysztof Bielecki, i co chciała robić liberalna frakcja postkomunistów z Wiesławem Kaczmarkiem i Markiem Borowskim na czele.

Każda uczciwa analiza prywatyzacji musi prowadzić do jednego wniosku: była to jedna wielka zorganizowana grabież majątku narodowego. Na ogromną skalę

Jak do tego doszło?

Zostałem wybrany tylko dlatego, że poparła mnie nieoczekiwanie grupa posłów SLD wywodząca się z OPZZ, z ówczesnym wiceprzewodniczącym tej organizacji Maciejem Manickim na czele. Wybrano mnie wbrew stanowisku Aleksandra Kwaśniewskiego, szefa klubu

Co chcieli robić?

Zasadnicza koncepcja była taka: musimy zapłacić Zachodowi, zwłaszcza najbogatszym państwom Europy, haracz w postaci oddania części naszego majątku produkcyjnego i naszego rynku. Jeśli tego nie zrobimy, przekonawali, to oni nas nie przyjmą ani do Unii Europejskiej, ani do NATO. I to robili. Jak wyliczyliśmy z Januszem Szewczakiem, obecnie wiceszefem Orlenu, w czasie tej prywatyzacji Polska straciła nie mniej niż 500 mld dol. Powtarzam: 500 mld dol. Suma wręcz niewyobrażalna.

Oni mówią tak: może i zrobiliśmy jakieś błędy, ale w sumie z kraju, który był bankrutem, „chorym człowiekiem Europy”, wyszliśmy na pozycję lidera

regionu, który szybciej niż inni dogania Zachód. Może mają rację?

Gdyby w Polsce w kluczowym momencie transformacji nie doszło do tych koślawych porozumień okrągłostołowych, gdyby nie było Magdalenki i gdyby doszła do władzy opcja prozachodnia, ale patriotyczna, to te wszystkie procesy, którymi chwałą się liberalowie, zachodziłyby co najmniej dwa razy szybciej. Oni robili rzeczy niewybaczalne.

Co konkretnie?

Firmy wyceniono absurdalnie: często wartość przedsiębiorstw była niższa niż rynkowa wartość gruntów, którymi one dysponowały! Oddawano firmy, nie jakieś upadłe, ale te, które sobie dobrze radziły w nowych warunkach, za kwotę mniejszą niż pogotowie kasowe, czyli niż suma, która musi się znajdować w kasie przedsiębiorstwa jako zabezpieczenie codziennych wydatków. Albo słynna prywatyzacja Banku Śląskiego, zorganizowana przez postkomunistów, który sprzedano za kwotę niższą niż wartość jego 56 nieruchomości położonych w centrach dużych miast. Do tego tak wyceniono akcje, które dostali m.in. członkowie zarządu i pracownicy, że na pierwszym giełdowym notowaniu ich cena wzrosła 13-krotnie. Kilkadziesiąt osób zostało z dnia na dzień milionerami.

Może po prostu mieli szczęście?

Za dużo widziałem, żeby w to uwierzyć. No i oczywiście w ten sposób państwo pozbywało się kluczowej infrastruktury finansowej. Państwo, które nie ma banków, jest w sytuacji dramatycznej. Idźmy dalej: firma papiernicza z Kwidzyna, wówczas supernowoczesna, najnowocześniejsza w Europie. Kupili ją Amerykanie za 120 mln dol., gdy tymczasem by ją zbudować, Polska komunistyczna zadłużyła się na 500 mln dol. Kwidzyn i tak miał sporo szczęścia, bo mimo wszystko produkował. Było wiele firm, które kupiono tylko po to, by je zamknąć i przejąć rynek.

Powiedział pan, że taka prywatyzacja to był haracz płacony Zachodowi. Reżyserzy tej operacji wiedzieli, że niszczą polski potencjał? Świadomie

oplacali się w ten sposób Zachodowi? Może to byli po prostu dogmatycy nowej wiary, którzy sądzili, że wolny rynek rozwiąże wszystkie problemy, a kapitał nie ma narodowości?

Wiedzieli, co robią, ale ma pan rację, było w tym także doktrynerstwo. Wyraził je najcelniej Janusz Lewandowski, stwierdzając: „Polacy nie będą żyli z własności, tylko z pracy”. Tak, on naprawdę to powiedział. W tym mieści się cała doktryna. Wy, Polaczkis, macie tyrać u obcych za takie pieniądze, jakie oni uznają za stosowne. Obiecali i to zrealizowali. To była grabież, do której dorabiano różnego rodzaju nieprawdziwe uzasadnienia. Doprowadzono

do ogromnego wypływu kapitału, który może się kumulować najszybciej wówczas, gdy ma się kontrolę nad produkcją.

Gdy pan i inni politycy alarmowaliście w tych sprawach, to z jaką reakcją się spotykaliście?

Agresja i wściekłość były ogromne. To były prawdziwe wojny prywatyzacyjne. Próbowaliśmy np. wprowadzić do kłuczowej ustawy o prywatyzacji zapis, że nie można sprzedawać większości akcji przedsiębiorstw strategicznych. Chodziło o stworzenie listy firm ważnych dla państwa, które byłyby chronione. Wówczas „wielki działacz robotniczy”, mówię to z przekąsem, Władysław Fra-



Fot. Stefan Maszowski/REPORTER

syniuk, omal nie zemdlął na posiedzeniu komisji sejmowej, bez końca zadając pytania i żądając wyjaśnień. Robił to celowo: chciał przedłużyć obrady, żeby zerwać kworum i zablokować przyjęcie naszej propozycji.

Czy media interesowały się tymi sprawami?

Tak, to były ważne tematy. Media nie były wówczas jeszcze w pełni wyprzedane, nie było kapitału niemieckiego, nie było TVN. Główną rolę odgrywały media publiczne. Debata się toczyła i była znacznie poważniejsza niż obecnie. Zadawano pytania: co zrobić, żeby transformacja nie była jednym wielkim rabunkiem. Niestety nie udało się doprowadzić do politycznego przesilenia, które pozwoliłoby zmienić całkowicie politykę, choć opór miał oczywiście sens, bo wszystkiego jednak nie wyprzedano.

W 1994 r. odwołano pana z funkcji szefa sejmowej komisji ds. prywatyzacji. Jak do tego doszło?

Zaczęło się od sprawy z ambasadorem Stanów Zjednoczonych Nicholasem Reyem, którego nazwisko miało sugerować jakiś związek z Polską, co było jednak czystą mitologią. Pan ambasador zaprosił mnie pisemnie do siebie na spotkanie. Odpisałem – co później uznano za wielkie faux pas – że nie ma zwyczaju, by szef sejmowej komisji chodził po ambasadach, ale że chętnie przyjmę pana Reya u siebie. Jako komisja mieliśmy dwupokojowe biuro, właściwie taką kanciapę. Pan ambasador rzeczywiście przyszedł i przekonywał mnie oraz siedzącego obok Janusza Szewczaka, że za wszelką cenę trzeba kontynuować prywatyzację. Odpowiedziałem, że całym sercem popieram tę koncepcję, ale musi to być prywatyzacja uczciwa. Żeby ceny były uczciwe, doradztwo profesjonalne. Wówczas twarz ambasadora stężała, a ja po kilku miesiącach straciłem stanowisko. Głównym sprawcą mojego odwołania był Marek Borowski, którego krytykowałem za skandaliczną prywatyzację Banku Śląskiego.

Wspomniał pan o doradcach prywatyzacyjnych. Chodzi o ludzi z Zachodu?

Tak, o zachodnie firmy doradcze i konsultingowe. To był element kluczowy. One tak doradzały, żeby Polska sprzedawała jak najtaniej, biorąc za to grube pieniądze. Prokuratura udawała bezradność, nie miała zresztą narzędzi, ekspertów, odpowiedniego prawa.

Która z ekip rządowych wyprzedala najwięcej?

Największy rabunek miał miejsce nie w czasach liberałów i nie w czasach SLD, lecz za rządów AWS i Unii Wolności, w czasie premierostwa Jerzego Buzka. Wówczas sprzedano firmę ab-

Liberałowie nie stronili od naprawdę grubych numerów: za premierostwa Jana Krzysztofa Bieleckiego na kilka dni zwolniono elektronikę z cła. Stojące pod Warszawą, przygotowane wcześniej pociągi towarowe pełne różnych urządzeń szybko rozładowano i powstały kolejne fortuny

solutnie kluczową dla bezpieczeństwa państwa, czyli Telekomunikację Polską, oraz oddano kontrolę nad PZU; tę drugą firmę na szczęście udało się odbić. I później, za Tuska, też miały miejsce wielkie skandale, choćby doprowadzenie do upadku przemysłu stoczniowego. To było w sumie kilkaset powiązanych z sobą przedsiębiorstw, na czele ze stoczniami na światowym poziomie, wyspecjalizowanymi w produkcji masowców, chemikaliowców, dysponujących spawaczami umiętliwymi spawaczami nierdzewnie. W Poznaniu produkowano silniki okrętowe. To wszystko zniszczono, cenne grunty rozprzedano.

Teoretycznie próbowano też innej drogi, choćby poprzez NFI – Narodowe Fundusze Inwestycyjne. Polacy dostali wówczas Powszechne Świadczenia Udziałowe.

Tak, ale były to świadczenia na okaziciela. Walczyłem, żeby były imienne, i miałem rację. Ludzie, którzy w procesie transformacji zdobyli nielegalnie pieniądze, głównie nomenklatura i różni kanciarze, skupili te dokumenty od biednych ludzi i w ten sposób wyprali brudne pieniądze. Powiedziałem wówczas z trybuny sejmowej, że „jak prac, to tylko w NFI”. Liberałowie nie stronili od naprawdę grubych numerów; za premierostwa Jana Krzysztofa Bieleckiego na kilka dni zwolniono elektronikę z cła. Stojące pod Warszawą, przygotowane wcześniej pociągi towarowe pełne różnych urządzeń szybko rozładowano i powstały kolejne fortuny.

No dobrze, ale liberałowie pewnie powiedzieliby tak: skoro PRL była pełna gospodarczych skarbów, to dlaczego tak nędźnie sobie radziła?

Nie ulega wątpliwości, że część spadku po PRL była nie do uratowania. Były firmy, które nie miały szans na otwartym europejskim rynku. Można było jednak zrobić to wszystko inaczej. Należało zachować najlepsze firmy, a te słabsze oddawać za

złotówkę pod warunkiem podtrzymania produkcji i zatrudnienia. Robiono odwrotnie: wybierano do sprzedaży najlepsze kaski, rodzyнки, a resztę wyprzedawano. Działano i głupio, i okrutnie. Zlikwidowano PGR-y, choć było oczywiste, że proces zmian w rolnictwie powinien być przemyślany, stopniowy i zorganizowany. Na zasiłki i zapomogi dla ludzi, którzy tam zostali, wydaliśmy więcej, niż kosztowałoby podtrzymanie PGR-ów. Przy okazji utraciliśmy duży potencjał produkcyjny. Każda uczciwa analiza prywatyzacji musi prowadzić do jednego wniosku: była to jedna wielka zorganizowana grabież majątku narodowego. Na ogromną skalę.

Polska w 2004 r. weszła jednak do Unii Europejskiej. Zapłaciliśmy haracz, ale w końcu dostaliśmy dostęp do wielkiego rynku, co dało naszej gospodarce potężny impuls rozwojowy. Może było warto?

Te negocjacje to była kulminacja tej wielkiej grabieży. Bo w tle była teza, że jeśli się nie zgodzimy na proponowane nam warunki, to nas nie przyjmą. Negocjacje finalizowali Leszek Miller i Jarosław Kalinowski. Właśnie wówczas wyszedłem, w ramach protestu, z Polskiego Stronnictwa Ludowego. Bo Miller i Kalinowski, dając słowo, nie negocjowali. Przyjmowali to, co im proponowali negocjatorzy europejscy. Przedstawiciel tej ekipy Jan Truszczyński mówił na sejmowej komisji do spraw europejskich – sam słyszałem – że nie ma żadnego pola manewru. Że albo się przyjmuje to, co kładą na stole, albo nie. W rezultacie dostaliśmy warunki haniebne, kosztujące nas z grubsza drugie 500 mld euro. Później, gdy zostałem członkiem Parlamentu Europejskiego, to spotykałem posłów z innych państw, którzy się z nas śmiali.

Dlaczego się śmiali?

Bo zgodziliśmy się na dopłaty dla rolnictwa na poziomie 25 proc. tego, co mają państwa zachodnie. Byli przekonani, że wynegocjujemy co najmniej 55–60 proc. Po wejściu do Unii nie było lepiej. W trakcie prac nad traktatem konstytucyjnym, tworzącym faktycznie państwo unijne, Polskę reprezentowała trójka: z ramienia Sejmu Józef Oleksy, z ramienia senatu Edmund Wittbrodt oraz z poręki prezydenta Kwaśniewskiego Danuta Huebner. Jak się okazało, w ciągu kilku lat żadna z tych osób ani razu się nie odezwała! Na szczęście traktat upadł, po sprzeciwie Francji i Holandii.

Rzeczywiście, symboliczne.

Tak było ze wszystkim. Więc gdy słyszę, że gdybyśmy nie prywatyzowali, gdybyśmy nie oddali wszystkiego, by wejść do Unii, to byłoby z nami źle, to sądzę, że jest w tym najwyżej 50 proc. prawdy. Drugie 50 proc. to neokolonialny wyzysk Polski, możliwy dzięki zgodzie naszej kompradorskiej elity. Pewnie rozumielibyśmy jeszcze więcej, gdy-

byśmy znali stan kont niektórych prywatyzatorów w bankach szwajcarskich.

Pan i wielu ludzi stawialiście opór. I coś jednak zostało. Gdyby dziś nie było Orlenu, PKO BP, PZU, KGHM, PGE i kilku innych przedsiębiorstw, państwo polskie byłoby całkowicie bezżebne. Nie mogłoby prowadzić samodzielnej polityki gospodarczej, nie mogłoby reagować na kryzysy, wyzwania. A tak możemy nawet odzyskiwać to, co straciliśmy, choćby w bankowości.

Dziś w Polsce nie toczy się rozgrywka między blokami politycznymi, które mają inną wizję rozwoju, przyszłości. To jest rozgrywka o to, czy w ogóle będzie państwo polskie. Przysięgam, że gdy oni wezmą władzę, to naszego państwa nie będzie

Tak. Gdyby dłużej rządili tacy ludzie, jak Lewandowski, Buzek, Kaczmarek, Borowski i Tusk, bylibyśmy dziś państwem wyduszką, pozbawionym Narodowego Banku Polskiego, złotych, rezerw złotych, bez wpływu na cokolwiek, bez narzędzi. Ale sprawa jest poważniejsza: dziś w Polsce nie toczy się rozgrywka między blokami politycznymi, które mają inną wizję rozwoju, przyszłości. To jest rozgrywka o to, czy w ogóle będzie państwo polskie. Przysięgam, że gdy oni wezmą władzę, to naszego państwa nie będzie. W pierwszej kolejności, na zlecenie swoich moco dawców, sprzedadzą kluczowe przedsiębiorstwa i zrezygnują ze złotego. Po to, żeby w razie, gdyby naród otrzeźwiał, nic już nie można było zrobić. Moglibyśmy sobie wybierać dowolny rząd, który niczego nie będzie mógł zmienić. Sądownictwo też zostanie przejęte,

a przecież jesteśmy suwerenni dopóty, dopóki wymiar sprawiedliwości podlega państwu polskiemu, a nie Brukseli. Oczywiście szybko podzielono by nas także na osobne małe landy.

To stary plan.

Tak, ale on stale wraca w propozycjach opozycji. Zbijano by także, bardzo świadomie, dochody społeczeństwa. Dziś prawica podnosi zarobki Polaków, co ma kolosalne znaczenie. To jest także kwestia niepodległości; jeśli zarobki są nędzne, ludzie uciekają, zwłaszcza ci najlepiej wykształceni, fachowcy, lekarze. Wysokie zarobki Polaków nie są w interesie Niemców. Ale niepodległa Polska zagraża także na innych poziomach. Blokuje budowę państwa europejskiego. Bo jeśli Polska się podda, to mniejsze państwa nie będą miały żadnej możliwości stawienia oporu.

Czy jest szansa, że Polacy dostrzegą, o co toczy się gra? Że rozeznać swój interes? Przez dekady głosowali w sposób sprzeczny ze swoim podstawowym interesem.

Tu leży pies pogrzebany. Jeśli patrzymy obiektywnie, to musimy powiedzieć jasno:

osiągnięcia tego rządu są niewyobrażalne. 80 proc. narodu zyskało bardzo, bardzo dużo. Niestety pamięć ludzka jest krótka, a do tego polska prawica ma problem ze sprzedaniem tego, co osiągnęła, co zrobiła na tle poprzedników. A przecież choćby tarcze, którymi odpowiadzano na pandemię, to rzecz bezprecedensowa. Tego nie widać jednak w sondażach. Część ludzi zaczyna się nabierać na Hołownię, który jest rezerwowym przedstawicielem opcji wyprzedaży państwa polskiego. To jest dramat. Nie wiem, z czego to się bierze. Może z baniek medialnych, które przejęły władzę nad ludźmi? Ci, co oglądają TVN, słuchają TOK FM czy czytają „Wyborczą”, nie mają kontaktu z żadnymi innymi źródłami informacji. O wielu sprawach po prostu nie wiedzą. A jest to co najmniej 30 proc. społeczeństwa. To są często tzw. wykształciuchy,

a więc ludzie formalnie dysponujący wykształceniem, ale także ludzie, którzy utracili zdolność samodzielnej oceny faktów. Całkowicie. Zachowują się jak wyznawcy, zewnętrznje sterowani. Paradoks polega na tym, że gdy państwo polskie utraci niezależność, to oni też dużo stracą ekonomicznie.

Prości ludzie często o wiele lepiej rozumieją mechanizmy rządzące światem, siłę kapitału, niezależne powiązania, niż „wykształcuchy”, którymi łatwo manipulować?

Oczywiście. Prości ludzie rozumieją takie pojęcia jak naród, suwerenność, państwo. Oni wiedzą, że jeżeli stracimy suwerenność, to staniemy się pariasami Europy. Możliwość tego świata nigdy już nie dopuszcza do naszego odrodzenia. Nigdy. Bo my możemy być poważną konkurencją i hamulcowym globalizacji. Kiedyś można było obejść medialne blokady przez bezpośrednie spotkania z ludźmi. Dziś ludzie niechętnie przychodzą, często jest to garstka, w tym połowa przeciwników, zainteresowana rozwalaniem spotkań. Trzeba jednak walczyć. Jak? Choćby lepiej dobierać ludzi chodzących do mediów. Kumulować doświadczenia. Analizować własną skuteczność. Sądzę, że można w ten sposób zyskać nawet 5 proc. poparcia. Kluczowe 5 proc. w tej wielkiej grze o suwerenną Polskę.

Może jednak opozycja wyciągnęła wnioski z klęski 2015 r.? Może będzie bardziej dbała o szerokie warstwy społeczne?

To złudzenie. Niesą niezależni w swoich działaniach. Strategiczne interesy niemieckie przeważają. Nawet gdyby chcieli, nie będą mogli im się przeciwstawić. Oddadzą wszystko, sprzedadzą. Państwo polskie ma zostać tak osłabione, by już nigdy nie podjęło poważniejszej gry. Nie miejmy złudzeń: albo będzie rządził Tusk, który zlikwiduje państwo, albo polska prawica z Jarosławem Kaczyńskim. Wszystko inne to bajka, to ślepa uliczka. Z tym przesłaniem trzeba iść do ludzi.

Opozycja wciąż podziwiała i czci Leszka Balcerowicza. Słysząc nawet hasło „Balcerowicz, wróć”. Co pan na to?

Dla mnie Balcerowicz jest symbolem reform przeprowadzonych kosztem dwóch trzecich naszego społeczeństwa, kosztem wsi, miasteczek, mniejszych miast. To nie był tak naprawdę jego plan, to był plan Jeffreyja Sacha – ekonomisty, który kilka krajów doprowadził do ruiny. Balcerowicz sprawił, że zwykli Polacy w krótkim czasie stracili

samę”. To słowa aktualne i dziś. W mojej ocenie, wśród wyborców PSL połowa to patrioci, a połowa to klienci związani z okologesowskim establishmentem. Natomiast znakomita większość rolników nie popiera PSL, ale PiS. Niestety takie pomysły jak piątka dla zwierząt nieco naruszyły dominację PiS, muszę to powiedzieć. Ale można to odrobić.

Jeśli patrzymy obiektywnie, to musimy powiedzieć jasno: osiągnięcia tego rządu są niewyobrażalne. 80 proc. narodu zyskało bardzo, bardzo dużo. Niestety pamięć ludzka jest krótka, a do tego polska prawica ma problem ze „sprzedaniem” tego, co osiągnęła, co zrobiła na tle poprzedników

dwie trzecie swoich oszczędności, a nomenklatura dorobiła się wielkich pieniędzy. Narzucił doktrynę zadłużania się na zewnątrz. Propagował fałszywą, dawno przestarzałą teorię o niewidzialnej ręce rynku. To koncepcja absurda w świecie, w którym istnieją korporacje dysponujące bilionami dolarów, rządzące mediami, politykami, panujące nad całymi krajami.

Przez kilkanaście lat był pan ważnym politykiem PSL. Dziś słysząc głosy, że PiS mogłoby rządzić razem z tą formacją. Co pan sądzi o tej koncepcji?

Długo sądziłem, że PSL ma potencjał, by stworzyć silną formację narodowo-ludową, broniącą polskich spraw, zgodnie z tradycją Witosa, który wyżej cenił państwo niż nawet interesy chłopskie, bo rozumiał, że gdy się utraci państwo, nie będzie można załatwić interesów chłopskich. Jak mawiał: „załatwicie sprawy ważne, małe przyjdą

Czy jednak PiS może potencjalnie zbudować rząd z PSL?

Jak mówią weterynarze, PSL to „zwierzę polityczne wszechstronnie użytkowe”. Więc nie wykluczam, że byłoby to możliwe, ale na pewno nie pod rządami Kosiniaka-Kamysza. Dobrze znałem jego ojca, który był moim podwładnym politycznym, i mam wrażenie, że to on kieruje syna w stronę obszaru poza polską prawicą. PSL ma bardzo dobre układy z niemiecką chadecją, co wiele mówi. Większe szanse widzę na porozumienie z Konfederacją, pewnie nie całą, niż z PSL, choć dostrzegam także słabości takiego rozwiązania.

W sumie im więcej o tym myślimy, tym wyraźniej widać, że trzeba zrobić wszystko, by Zjednoczona Prawica zdobyła samodzielną większość.

Pański syn, Marek Pęk, jest ważnym politykiem, senatorem, wicemarszałkiem Senatu. Jak pan patrzy na jego działalność? Udziela mu pan rad, wspomaga doświadczeniem?

Nasz dom od pokoleń był patriotyczny. Marek to przejął. Jest świetnie wykształcony, skończył studia prawnicze i europeistykę, zna języki. Jest łagodniejszy niż ja, ma więc mniej wrogów. U mnie czarne jest czarne, a białe jest białe. To w polityce jednak przeszkadza. Ludzie oceniają także powierzchowność, wygląd, sposób mówienia, nie lubią przesadnej ekspresji. Sądzę, że mój syn to jeden z najlepszych nabytków PiS w młodym pokoleniu. Podejmuje jednak samodzielne decyzje. Jednego jestem pewien: on Polski nie sprzeda.

Rebelia na hajaju



Okoliczności niedawnego zatrzymania Maty są dziwne. Trudno uciec od wrażenia, że prezentując policjantom torebkę z marihuaną, sam szukał kłopotów. Może po to, aby nabić sobie dodatkową popularność i zmobilizować wielkomiejską młodzież do walki z „reżimem” o prawo do legalnego odurzania się?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Marcin Matczak, profesor prawa na Uniwersytecie Warszawskim, nie ukrywa swojej niechęci do PiS. Już od dawna nieustraszenie walczy z „reżimem” zarówno na Twitterze, jak i okazjonalnie na łamach „Gazety Wyborczej”. Ostatnio w ślady ojca postanowił pójść jego

21-letni syn Michał, znany szerszej publiczności jako raper Mata.

Wieczorem 27 stycznia policjanci patrolujący warszawski Mokotów zauważyli dwóch młodych mężczyzn, którzy na widok radiowozu zaczęli się dziwnie zachowywać. Podczas kontroli dokumentów ich zachowanie stało się jeszcze bardziej niezrozumiałe. Zamiast dowodów obaj wyjęli z kieszeni torebki z zielonym suszem. Przewieziono ich więc na komisariat.

Jednym z dwóch zatrzymanych okazał się Mata. Podobnie jak jego kompan, nie chciał odpowiadać na żadne pytania ani tym bardziej wyjaśniać, skąd ma narkotyki. Po spędzeniu nocy na komisariacie syn profesora Matczaka został wypuszczony. Następnego dnia usłyszał zarzut posiadania 1,5 g marihuany.

Choć za posiadanie marihuany można w Polsce dostać nawet do trzech lat więzienia, to prawdopodobieństwo, że sąd wymierzy taką karę, jest minimalne. W przypadku niewielkiej ilości narkotyku sądy najczęściej umarzają sprawę, uzasadniając to znikomą szkodliwością czynu. Mata nie ryzykował więc wiele, zwłaszcza że jego ojciec to ustosunkowany prawnik i w razie czego z pewnością byłby mu w stanie znaleźć najlepszych obrońców.

Chyba że chodzi o coś innego. O sprowokowanie nowego konfliktu z władzą, tym razem pod hasłem depenalizacji narkotyków. A niejako przy okazji także o promocję Maty, nie tylko od strony artystycznej, lecz również politycznej – jako reprezentanta wielkomiejskiej młodzieży walczącej z „reżimem” o prawo do legalnego odurzania się.

Tę hipotezę potwierdza nie tylko przebieg zatrzymania Maty przez policję, który miał przecieć z własnej woli pokazać funkcjonariuszom torebkę z marihuaną, tak jakby chciał sprowokować dalszy bieg zdarzeń, ale również zgodny szum medialnych celebrytów, pomstujących od razu na represyjne prawo i domagających się jak najszybszej legalizacji marihuany.

KOLUMBIA EUROPY

Głównym motywem obrońców Maty jest twierdzenie, że marihuana nie uzależnia, a walka z nią jest przejawem hipokryzji, bo tytoń i alkohol są przecież legalne, choć potrafią wywołać znacznie poważniejsze konsekwencje zdrowotne. To twierdzenie, podobnie jak wiele innych, jest jednak półprawdą, uogólnieniem ignorującym społeczne skutki zażywania narkotyków, a jednocześnie zupełnie nietrafionym. Bo jeśli pójść tokiem tego rozumowania i uznać, że skoro alkohol i tytoń są legalne, więc również marihuana powinna zostać zalegalizowana, to dlaczego za chwilę nie uznać, że skoro zalegalizowano marihuane, to powinno się także zdepenalizować kokainę czy heroinę?

Ktoś oczywiście odpowie na to, że heroina i kokaina to tzw. twarde narkotyki, których zażywanie jest niebezpieczne dla zdrowia, więc o ich legalizacji

– w przeciwieństwie do marihuany – nie ma mowy. Być może. Jednak trudno lekceważyć przestrogi specjalistów od narkotyków, którzy już dawno zauważyli prawidłowość polegającą na tym, że jeśli ktoś spróbuje marihuany, to istnieje spore prawdopodobieństwo, że potem zapagnie czegoś mocniejszego – a więc właśnie tych twardych narkotyków.

Mamy na to zresztą dowody. Państwem o najbardziej liberalnym prawie narkotykowym w Europie jest Holandia, gdzie już w 1976 r. dokonano podziału narkotyków na dwie kategorie. Pierwszą stanowią twarde narkotyki, do których zaliczono substancje wywołujące psy-

Klasowy aspekt sporu wyraża slogan „lepiej mieć półtora litra niż półtora grama”. Czyli cham pijący wódkę jest bezkarny, podczas gdy elita zażywająca eleganckie używki jest prześladowana

chiczne uzależnienie, takie jak kokaina czy opiaty, i druga, w której umieszczono wyroby z konopi indyjskich, uznane za używki o akceptowalnym ryzyku. Oznaczało to depenalizację posiadania marihuany na własny użytek. Początkowo było to 30 g suszu, a potem ograniczono ten limit do 5 g. Marihuane można legalnie nabyć w koncesjonowanych coffee shopach pod warunkiem ukończenia 18 lat.

Mimo to Holandia zaczyna odczuwać konsekwencje kilkudziesięciu lat luznego podejścia do marihuany. Rosnąca liczba konsumentów suszu z konopi ściągnęła do Holandii gangi handlujące nie tylko marihuaną, lecz również twardymi narkotykami, na które popyt – zgodnie z obawami specjalistów – znacząco się zwiększył. Jak pisał jesienią ub.r. niemiecki „Der Spiegel”, narkotykowe bandy w Holandii urządzają strzelaniny, zabijają dziennikarzy, świadków koronnych

oraz ich adwokatów. Do tego stopnia, że niektórzy holenderscy politycy nazywają dziś swój kraj Kolumbią Europy.

WOLNOŚĆ CZY NIEWOLA?

Obok argumentów typu „marihuana jest nieszkodliwa”, pojawiają się często inne, odwołujące się do kwestii ekonomicznych czy wolnościowych. Mówi się np., że legalizując marihuane, państwo mogłoby na tym sporo zarobić dzięki akcyzie czy podatkom. Przy okazji zlikwidowane zostałyby podziemie narkotykowe. Brzmi ładnie, ale tylko w teorii, co potwierdza również przytoczony wyżej przykład holenderski.

Otóż nie ma żadnej gwarancji, że legalizacja marihuany zlikwiduje czarny rynek. Jasne jest przecieć, że narkotyki, jeśli miałyby się znaleźć w legalnej sprzedaży, byłyby dostępne od 18. roku życia, a ich sprzedaż musiałaby podlegać ścisłym rygorom. Oznaczałoby to, że nielegalni handlarze bardziej zainteresowałiby się wtedy młodzieżą, nastolatkami, zwłaszcza że sprzedając towar bez akcyzy, mogliby zaofiarować go taniej niż państwo. Skutek byłby taki, że palących marihuane byłoby znacznie więcej i o wiele młodszych niż dziś, a służby zwalczające przestępczość narkotykową miałyby ręce pełne roboty. Co więcej, legalizacja miękkich narkotyków zwiększyłaby zapewne rynek tych twardych. A to byłaby już prosta droga ku katastrofie.

Równie nietrafione są argumenty wolnościowe, których wyznawcy głoszą, że każdy ma prawo wyrządzać sobie samemu szkodę, jeśli nie czyni jej innym. I choć te poglądy tłumaczą fenomen popularności Janusza Korwina-Mikkego oraz związanych z nim środowisk wśród nastoletniej młodzieży, która zwykle ujmuje świat w bardzo prostych kategoriach, to zarazem bardzo mocno rozmiągają się z rzeczywistością i ze zdrowym rozsądkiem. Bo jeśli rzeczywiście przyjąć taki libertariański punkt widzenia, to wówczas trzeba się zgodzić z tym, że narkomanom należy pozostawić na pastwę losu. Bo niby dlaczego inni mieliby finansować leczenie uzależnionych z nałogu? Niech więc dogorywają pod plotem.

Tyle że pewnie nie chcielibyśmy żyć w świecie, w którym wyniszczony ćpun rzuca się na nas z nożem, aby wymusić pieniądze na kolejną działkę. Albo włamuje się do naszego mieszkania. Oczywiście można wszędzie postawić uzbrojoną po zęby policję, która – o ile uda się zwerbować dziesiątki tysięcy chętnych do takiej służby – będzie strzelała do ćpunów. Możemy też, jak to postulują nasi wolnorynkowi konfederaci, sami zaopatrzyć się w broń i czuwać z rewolwerem pod poduszką. Jeśli jednak na tym ma polegać libertariańska wolność, to może lepiej już pozostać w obecnej niewoli.

Trzeba sobie uświadomić, że legalizacja marihuany oznacza znaczące poszerzenie rynku na używki i narkotyki. Za tym stoją gigantyczne pieniądze dla producentów i handlarzy. Konsument uzależniony to konsument idealny, bo będzie gotów wydać każde pieniądze, aby kupić upragniony towar. Skoro walczymy dziś ze szkodliwością tytoniu, to jaki sens ma wypychanie się w kolejny problem? Owszem państwo może na tym zarobić, ale zapewne znacznie więcej straci na zwalczaniu skutków wywołanego bezprawia. Dlatego roztropna władza nie powinna iść w tej kwestii na żadne wyjątki.

SZTAFETA POKOLEŃ

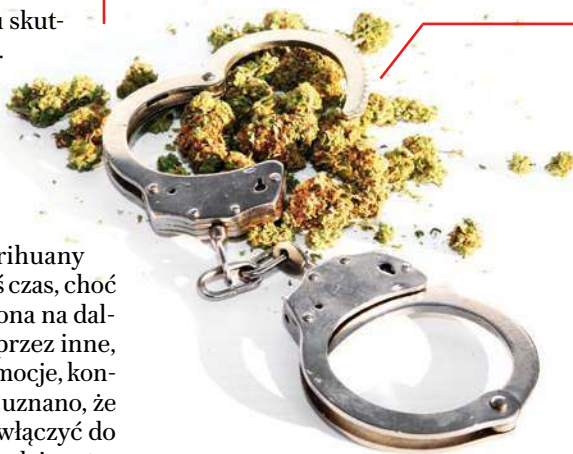
Dyskusja o legalizacji marihuany pojawia się w Polsce co jakiś czas, choć – jak na razie – toczyła się ona na dalszym planie, przesłaniana przez inne, budzące znacznie większe emocje, konflikty. Być może tym razem uznano, że dzięki marihuanie uda się włączyć do politycznej gry młodych ludzi, ustawiając ich niejako na starcie przeciwko „opresyjnemu reżimowi” oraz w kontrze do promowanych przez rządzącą prawicę postaw wspólnotowych i patriotycznych, przyjmowanych przez sporą część wielkomiejskiej młodzieży z dystansem. Rebelia na haju miałyby się więc stać polityczną inicjacją i punktem odniesienia w późniejszym dorosłym życiu. Czymś na kształt sztafety pokoleń gwarantującej ciągłość libe-

ralnego elektoratu. Podobnie jak to ma miejsce w przypadku aborcji czy walki z Kościołem.

Trudno tu nie dostrzec zapożyczeń z zagranicy, gdzie podobne mechanizmy – choćby te związane z rewolucją obyczajową lat 60. – doprowadziły do upowszechnienia się nowego liberalnego światopoglądu, który po kilkudziesięciu latach stał się głównym nurtem ideologicznym obowiązującym dziś na Zachodzie.

Walka o legalizację marihuany jest w tym kontekście walką z dawną konserwatywną moralnością, która potępiała uleganie słabościom oraz wypaczony utylitaryzm rozumiany głównie jako za-

Bój o marihuanę miałby się stać dla młodzieży polityczną inicjacją i punktem odniesienia w dorosłym życiu. Czymś na kształt sztafety pokoleń gwarantującej ciągłość liberalnego elektoratu



spokajanie własnych przyjemności. Teraz te same anglosaskie kalki usiłuje się stosować w Polsce, przy czym w roli purytańskich kaznodziejów jako wrogów wolności miałyby wystąpić prawicowy rząd i katolicka część społeczeństwa.

W Polsce mamy jednak jeszcze jeden aspekt, który na Zachodzie – jak się zdaje – odgrywał nieco mniejszą rolę. Symbolizuje go medialny zarzut, że u nas „lepiej mieć półtora litra niż półtora grama”.

A zatem, że chamy chlejące wódkę mogą się czuć bezkarnie, podczas gdy elita zażywająca eleganckie i jakoby niegroźne używki jest prześladowana i karana. Trzeba więc to zmienić i pozbawić chamów nienależnego uprzywilejowania. Klasowość polskich sporów, wynikająca najczęściej z kompleksów naszych pożałujmy Boże elit, wychodzi więc nawet w kwestii legalizacji narkotyków.

Twarzami nieoficjalnej kampanii promującej zażywanie marihuany są najczęściej celebryci: artyści, pracownicy mediów, liberalni politycy. W dobrym tonie w tym środowisku jest przyznać się, że paliło się (lub nadal się pali) jointy. Bo

to przecież towar niedostępny dla każdego, a zatem elitarny. Nic więc dziwnego, że różni aspirujący – nie tylko zresztą młodzież – chcieliby się załapać do tego grona i zgodnie pomstują na zakaz sprzedaży marihuany w Żabce. Tyle że wtedy marihuana przestałaby być towarem luksusowym, więc elity musiałyby się przerzucić na coś innego? Może na kokainę?

NIC ZA DARMO

Trudno dziś ocenić, na ile poświęcenie Maty, który w imię walki o wolność, dał się – być może celowo – zatrzymać przez policję, wzbudzi zrozumienie wśród prowincjonalnych sebiksów pijących wódkę. Za to z pewnością docenią Matę wielkomiejscy buntownicy w rurkach, którzy przecież brzydzą się wodą i chamami. Oni będą gotowi pójść pod prokuraturę czy przed sąd, aby wesprzeć Matę w jego bohaterskiej kampanii przeciwko anty wolnościowemu represjom „reżimu”. Szczerze mówiąc, jestem nawet w stanie wyobrazić sobie, że sąd, przed którym stanie Mata, okaże się wyjątkowo nieczuły i wyda na młodego rapera surowy wyrok. W nadziei, że wywoła to bunt wśród młodych ludzi. Oczywiście nie przeciwko sędziom, lecz przeciwko „opresyjnemu reżimowi”.

A że przy tej okazji Mata napędzi sobie popularność i kolejne tysiące nowych słuchaczy, to już inna sprawa. Dzięki temu będzie miał – być może – większy wpływ na postawy ludzi niż jego ojciec. Zresztą kto powiedział, że należy się za darmo poświęcać?



Amerykański deep state przestawił jajchę

Fot. Andrzej Wiktor

O powrocie polityki amerykańskiej do Europy, możliwym przewrocie geopolitycznym i wielkiej szansie dla Polski opowiada

Józef Orzeł, komentator polityczny, szef Klubu Ronina,
w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Joe Biden nagle zmienił diametralnie stosunek do Rosji i wysłał wojsko do Europy. Skąd to otrzeźwienie?

Józef Orzeł: Nic nie wskazuje na to, by prezydent USA czy też jego ekipa zrobili to sami z siebie. Administracja Bidena jest tak przeżarta poprawnością polityczną, ideologią gender, hasłami woke czy Black Lives Matter, że koncentruje się głównie na przekształceniu społeczeństwa amerykańskiego według kolejnych lewackich utopii. Dla tej władzy sprawy geopolityczne, poza rywalizacją z Chinami, są zawadą, ograniczającą ją w realizowaniu projektów inżynierii społecznej.

A jednak Waszyngton zdecydował – wschodnia flanką NATO będzie wzmocniona.

Zmiana przyszła z zewnątrz Białego Domu – zbuntował się amerykański deep state, który przycisnął otoczenie Bidena. Deep state rozumie inaczej niż Donald Trump – nie jako mroczne siły powstrzymujące prezydenta przed reformami, ale po prostu nieformalne państwo. Porównałbym to zjawisko do góry lodowej, której formalny jawny aparat władzy i takie jego działania są widocznym wierzchołkiem tej góry, a wpływ na tę władzę sieci nieformalnych działań think tanków, środowisk medialnych i opiniotwórczych, biznesu, armii, służb itp. znajduje się poza naszym widzeniem. Nie wiem, czy w USA istotny wpływ na elity polityczne mają wspólnoty wyznaniowe i hierarchie kościelne, ale fundacje takich miliarderów jak Bill Gates czy George Soros – na pewno.

Jednak pojęcie „głębokiego państwa” brzmi dziwnie w standardach demokratycznych. Dwuwładza nie jest zdrowym mechanizmem wolnego świata.

Zawsze i wszędzie tak było. Żadnej polityki (nie tylko państwowej, ale i międzypaństwowej, korporacyjnej czy samorządowej) nie da się prowadzić jawnie i publicznie. Według Bismarcka ludziom nie należy pokazywać, jak się robi politykę i kielbasę. Deep state zapewnia ciągłość polityki i realizację faktycznych, często ukrytych interesów. I oczywiście w zakrytej przestrzeni pojawiają się działania pozaprawne i nielegalne. Ale przypomnijmy, że nawet mafia – poważna część deep state, w czasie wojen światowych współpracowała z aparatem państwa na rzecz wzmocnienia

wysiłku zbrojnego. Pasożyt nie może dopuścić do istotnego osłabienia swego żywiciela.

Po czym możemy poznać, że to właśnie deep state się uaktywnił, by powstrzymać Putina?

Z drobniejszych rzeczy – odsunięcie wiceprezydent Kamali Harris, która okazała się niezdolna do realizacji racji stanu. Wcześniej się mówiło, że aparat demokratów chce, by zastąpiła Bidena w czasie kadencji. Sam Biden był za słaby, by ją odsunąć wbrew kierownictwu demokratów.

Z poważniejszych – prezydent Barack Obama i aparat demokratów już wtedy chcieli odpuścić sprawy Europy, czyli także Polski. W swoim przemówieniu inauguracyjnym Obama nieprzypadkowo użył terminu „polskie obozy koncentracyjne”, ale pod koniec kadencji musiał się zgodzić na większą obecność amerykańskich wojsk w Rumunii i Polsce. Stało się to pod wpływem wystąpień publicznych generałów USA (z Benem Hodgesem na czele), którzy wskazywali na rosnące zagrożenie ze strony Rosji. Normalnie generałowie, którzy postulowali politykę inną niż prezydent, zostaliby

natychmiast zdymisjonowani. Nie zostali, to znaczy, że nie występowali tylko w swoim imieniu ani nawet całej armii, musieli reprezentować wielką ukrytą siłę deep state, której Białe Dom musiał się podporządkować.

Czy dzisiaj znowu armia USA zmieniła politykę zagraniczną?

Powołanie AUKUS, wojskowego porozumienia USA, Wielkiej Brytanii i Australii, odbyło się w bardzo specyficznym trybie. Dowiedzieliśmy się o nim z dnia na dzień. A wygląda na to, że Biden dostał ten projekt do realizacji z zewnątrz Białego Domu, w dodatku bez szczegółowych wcześniejszych konsultacji. Świadczy o tym to, że nie zdążył uprzedzić Macrona o AUKUS ani o tym, że Australia wybierze amerykańskie, nie zaś francuskie okręty podwodne. Prezydent USA był tak nieprzygotowany do transmitowanej przez telewizję uroczystości podpisania układu, że zdawał się nie wiedzieć, z kim rozmawia – o premierze Australii (Scott Morrison) mówił „ten gość”. A AUKUS musiał przecież być długo przygotowywany i negocjowany, a nie w planach

Kreml wywierał silną presję na słabego Bidena, a dostał twardą odpowiedź od mocnego deep state. Tego nie przewidział i teraz musi kontynuować presję na Zachód, by nie utracić twarzy

politycznych Białego Domu go nie zapowiadało. AUKUS nie musiał być ogłoszony z zaskoczenia – ze względu na Chiny, Rosję czy Europę. Nikt by w tym nie przeszkodził. A zwłaszcza Macrona należałoby o nim uprzedzić. Jedynym powodem pośpiechu wydaje się konieczność zaskoczenia Bidena i Białego Domu.

Rosja jednak nie zmieniła swojej taktyki naciskania na Zachód.

Ten zwrot w geopolityce USA natychmiast zrozumiały Chiny, ale nie Putin. Kreml wywierał silną presję na słabego Bidena, a dostał twardą odpowiedź od mocnego deep state. Tego nie przewidział i teraz musi kontynuować presję na Zachód, by nie utracić twarzy. Deep state postanowił skorygować politykę Białego Domu wycofywania się z Europy i pozostawienia Starego Kontynentu Niemcom. Berlin okazał się z jednej strony za słaby, by być liderem całej Europy, a z drugiej za silny, by pod naciskiem słabego Bidena zmienić politykę wobec Rosji. Deep state musiał więc wejść do gry. Z tego powodu aktywiźowała się Wielka Brytania i wystąpiła jako europejski lider NATO, wspierając obronne aspiracje Ukrainy i demonstrując, że Niemcy nie są w stanie reprezentować suwerennej Europy. Porozumienie brytyjsko-polsko-ukraińskie w zakresie obronności jest tego wyraźnym dowodem – nie mogłoby ono zaistnieć bez zakulisowego przygotowania i wsparcia amerykańskiego. Ameryka zawróciła z drogi, którą rok temu wytyczył Biden – postawienie na Berlin jako gwaranta spokoju w Europie. Deep state przestawił wajchę. Jeszcze jeden dowód – na konferencji prasowej Biden powiedział, że reakcja Zachodu zależy od poziomu agresji Rosji, czyli jak będzie niewielka, to nie ma mowy o „niewyobrażalnych sankcjach”. To było zgodne z dotychczasową polityką USA i Bidena. Rosja prowadzi ograniczoną wojnę z Ukrainą w Donbasie i „niewyobrażalnych sankcji” nie ma. Ale wajcha została przestawiona i Departament Stanu zaczął prostować słowa Bidena...jeszcze w czasie konferencji. Biden już nie rządzi.

Ale to wygląda na upragniony w Polsce zwrot w polityce USA, w którym nasz region znów jest kluczowy.

Ta zmiana wygląda na strategiczną, więc powinna być szybko przez nas wykorzystana na kilku kierunkach – większe zaangażowanie po stronie Ukrainy, zbliżenie do Wielkiej Brytanii, wzmocnienie Trójmorza i antyrosyjskiego frontu w UE. Polska może teraz wymusić na USA wzmocnienie Trójmorza, zwłaszcza w obliczu niemieckich prób pogrzebania tego projektu. Jednocześnie trzeba budować jakąś alternatywę polityczną w UE, skoro rządzący Unią

liberałowie i socjaliści są i antyamerykańscy, i prorosyjscy. Ostatnie dwa zjazdy europejskiej prawicy – w Warszawie i w Madrycie – pokazują, że polski rząd podjął tę grę, ale trzeba do niej szukać następnych sojuszników.

Ta zmiana wygląda na strategiczną, więc powinna być szybko przez nas wykorzystana na kilku kierunkach – większe zaangażowanie po stronie Ukrainy, zbliżenie do Wielkiej Brytanii, wzmocnienie Trójmorza i antyrosyjskiego frontu w UE

Trudno sobie wyobrazić, że Niemcy tak łatwo przejdą od pozycji niemalże europejskiego hegemonu do skarconego chłopca w szeregu wielu państw.

Nacisk USA jest tak duży, że nawet Niemcy zmieniają stanowisko. Minister Baerbock powiedziała, że w przypadku agresji Rosji na Ukrainę w sprawie Nord Stream 2 wszystkie opcje są na stole. A USA, po rozmowach z Niemcami, nadal grożą Putinowi, że wyłączą ich system bankowy z międzynarodowego systemu SWIFT, co oznaczałoby katastrofę nawet dla autarkicznej Rosji. Niemcy nie są już w stanie podtrzymać swojej

prorosyjskiej polityki. USA wracają do Europy – świadczy o tym także decyzja o zwiększeniu liczby żołnierzy w Polsce i Rumunii. Polska może znów wrócić do gry.

REKLAMA

"Złością czy miłością"

Elżbieta Stawińska
i Paweł Fijałkowski
piątek, godz. 20.00

"Recepta na zdrowie"

Katarzyna Supeł-Zaboklicka
poniedziałek - piątek,
godz. 10.30



Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Reklama | 9/3/0122/F

O dziwacznej scenie politycznej Polski

*Z tą opozycją mamy
wrócić do Polski
sprzed 2015. A jaka to
była Polska? Czy już
zapomnieliśmy? To była
Polska bez polskości,
odrzucająca własną
wspaniałą historię,
Polska pogańska
i materialistyczna,
daleka od wartości
chrześcijańskich,
skolonizowana,
zredukowana do roli
Polski B*

Jak pisałem już na tych łamach, to, że opozycja jest opozycją antypolską, nową targowicą, partią zagranicy, uniemożliwia autentyczne życie polityczne w Polsce. Kiedy wybór jest między patriotyzmem a kolaboracją, każda i każdy powinien wiedzieć, co wybrać. W takim układzie, nawet gdyby rząd Zjednoczonej Prawicy był władzą skrajnie nieudolną, należałoby ją i tak wybrać bez wahania. A wiemy skądinąd, iż Mateusz Morawiecki jest znakomitym premierem (niezależnie od nieuniknionych błędów tu i owdzie)!

Niektórzy zarzucają naiwnie, że opozycja nie ma programu. Ależ ma! On jest prosty: odzyskać władzę, co nie znaczy „rządzić”, bo z tymi ludźmi na



czele Polska przestanie być rządzona w Warszawie. Jeszcze bardziej naiwnym jest wierzyć, że od roku 2015 czegoś się nauczyli. Tu powrót pana Donalda Tuska – po kilku latach przerwy na stanowisku tyle prestiżowym, ile niewiele znaczącym (w Brukseli większość stanowisk jest obsadzana według starej zasady komunistów: „lepiej głupi i podporządkowany niż mądry”) – jest wielkim prezentem dla PiS. Pokazuje, iż opozycja nie pragnie niczego innego niż tylko powrotu do czasów przed rokiem 2015, kiedy premierem był Donald Tusk!

Nie ma mowy nawet o wyborze opcji, również antypolskiej, ale przynajmniej kulturalnej, pana Szymona Hołowni. To ma być ponownie czas ludzi o wulgarnych manierach, o twarzach pełnych zacietrzewienia i nienawiści, ludzi stylu byłego premiera czy ministra spraw zagranicznych.

Z nimi mamy wrócić do Polski sprzed 2015. A jaka to była Polska? Czy już zapomnieliśmy?

To była Polska bez polskości, odrzucająca własną wspaniałą historię, Polska pogańska i materialistyczna, daleka od wartości chrześcijańskich. I co za tym idzie – to była Polska serii skandali i afer, szybko tuszowanych przez klikę skorumpowanego aparatu sprawiedliwości, to była Polska rządzona z Brukseli i Berlina, Polska skolonizowana, zredukowana do roli Polski B, do folwarku nowego niemieckiego „Sturm nach Osten”. W tej Polsce już wówczas 80 proc. banków i mediów oraz dwie trzecie przemysłu było w rękach finansjery zagranicznej. Polska przestała być niepodległa, była na kolanach, pionkiem na mapie Europy. Ale za to Namiestnik, jego ludzie i wszyscy ci, którzy kolaborowali z mocodawcami z zagranicy, żyli znakomicie, albo wręcz budowali wielkie fortuny. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby wrócić do takiej żalostnej karykatury Polski?

A tymczasem co widzimy na scenie politycznej? Ile tu postaw dziwnych czy niezrozumiałych.

Zacznijmy od Konfederacji. Zajmuje postawę ultranacjonalistyczną, ale pakuje z partią zagranicy. Nawet jeśli

niektóre postulaty tej partii wydają się słuszne, nie ma wątpliwości, iż jej działania uderza w siły patriotyczne i obiektywnie służy opozycji. Taka „politique du pire” (polityka najgorszego) nie może mieć uzasadnienia.

A jak się zachowuje Polskie Stronnictwo Ludowe? Gdzie jest partia Wincentego Witosa, partia patriotyczna i chrześcijańska? Co z niej zostało? Idzie teraz w sukurs namiestnikom Brukseli i Berlina. Tym, którzy chcą na nowo mieć Polskę na kolanach, na usługach zagranicy, póki oni z tego mają namacalne korzyści. Nic dziwnego, że polscy rolnicy, którzy zachowali swoją wiarę i swój patriotyzm, odeszli od par-

Opozycja ma wielkie pieniądze i potężne, zagraniczne siły ją wspomagają. Ale, może na szczęście, jest tak wyobcowana, iż nie zna duszy własnego narodu

tii, której mieli być podpórką. Niegodziwa, antywitosowska postawa PSL doprowadziła do ruiny tę historyczną polską formację polityczną. Ale obecne kierownictwo PSL maszeruje dalej, ku przepaści.

A czy postawa lewicy (jeśli w ogóle istnieje jeszcze jakaś lewica w Polsce) jest logiczna? Rozumiem, że wiele różni lewicę od Zjednoczonej Prawicy. Woli internacjonalizm od patriotyzmu (choć wielki francuski socjalista Jean Jaurès mawiał, iż „trochę internacjonalizmu oddala od ojczyzny, lecz dużo internacjonalizmu do niej zbliża”), woli obyczaje nowoczesne od wartości moralnych i laicyzację od chrześcijaństwa. Ale po co jednak mieliby pomóc opozycji, która jest związana z finansjerą międzynarodową, z polityką neoliberalną, której ideałem jest, aby bogaci byli coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi? Czy te tendencje są naprawdę do pogodzenia z tradycją lewicy bardziej

niż polityka prospołeczna i prorodzinna prowadzona z wielką konsekwencją przez Zjednoczoną Prawicę? Chyba że polska lewica od dawna, a konkretnie od umów „okrągłego stołu”, nie jest już lewicowa? Jej postawa pokazuje, że jest raczej wierna układowi z roku 1989, który zagwarantował jej do 2015 r. pod kontrolą mocodawców z zagranicy pokąsną część politycznych wpływów i finansowych profitów. Ta lewica, tak jak PSL, oddała diabłu swoją tożsamość i też płaci za to bezlitośnie.

Last but not least, jak człowiek tak uczciwy i rozsądny jak Paweł Kukiz mógł tak długo się wahać, czy ma wspomagać siły patriotyczne, które prowadzą politykę sprawiedliwości społecznej, czy też nową targowicę, ludzi często bez skrupułów i skorumpowanych?

Jak na tle tej żalostnej sceny nie podziwiać postawy większości Polaków!

Opozycja ma wielkie pieniądze i potężne, zagraniczne siły ją wspomagają. Skutecznie błagała, aby zagranica (Bruksela i Berlin) uderzyła we własną ojczyznę (choć to słowo dla nich nie ma sensu, nic nie znaczy), tak jak komuniści wczoraj błagali o pomoc Kremla w walce z demokratami w Polsce. Oni,

może na szczęście, są tak wyobcowani, iż nie znają duszy własnego narodu. Nie wiedzą, tak jak o tym nie wie zdemoralizowana miernota brukselska, że każdy atak z zewnątrz, każda „sankcja” zagraniczna jest wodą na młyn Zjednoczonej Prawicy i cementuje poparcie większości narodu dla tej formacji. Niech tak dalej działają!

Aliści Polacy, w swojej większości, bo wiem zrozumieli, że Polska broni teraz nie tylko siebie, lecz również całej Europy i jej przyszłości. Tak jak przewidywał Największy Polak w historii, święty Jan Paweł II, Polska, broniąc swojej tożsamości, broni tożsamości wszystkich narodów Europy. Broni tożsamości Europy samej. „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale” – mawiał marszałek Józef Piłsudski. Dziś jest Polska wielka. Walczy za swoją i naszą europejską wolność i godność. I jak zwykle w tych sytuacjach – nie zawiedzie.

Bernard Margueritte

MAMY PRAWO
DOMAGAĆ SIĘ
BEZPIECZNEJ
I SPRAWIEDLIWEJ
PRZYSZŁOŚCI

„Pierwszego Prezesa Sądu
Najwyższego powołuje
Prezydent Rzeczypospolitej
na sześćoletnią kadencję

AMNESTY
INTERNATIONAL

Adam Strzembosz
był prezesem Sądu
Najwyższego w latach
1990–1998

Skutki „doktryny Strzembosza”

Profesor i były sędzia Sądu Najwyższego Adam Strzembosz mimo ponad 90 lat wypowiada się o Polsce w telewizji i pozuje do zdjęć, które trafiają na pierwsze strony gazet. Biorąc jednak pod uwagę doświadczenia insurekcji kościuszkowskiej z 1794 r., trzeba to jego parcie na szkło uznać za ryzykowne



PIOTR GONTARCZYK

Adam Strzembosz urodził się w 1930 r. w rodzinie polskich inteligentów. Ojciec był adwokatem, działaczem Narodowej Demokracji. W latach II RP w domu wisiały pewnie portrety jej przywódcy Romana Dmowskiego. W czasie wojny Adam uczył się na tajnych kompletach. Po wojnie działał w harcerstwie, zdał maturę, a w 1949 r. dostał się na studia prawnicze na UJ. „Niewłaściwe” pochodzenie nie przeszkodziło mu w karierze. Wcześniej zapisał się do stalinowskiego ZMP. Został więc naukowcem i prawnikiem. Warto tu zaznaczyć, że jego mały dobytek naukowy nie dotyczy konstytucji, tylko przestępczości nieletnich.

Ale w 1980 r. Strzembosz zaangażował się w opozycję i został członkiem Komitetu Zakładowego „Solidarność” w Ministerstwie Sprawiedliwości. Tu związek był kamieniem obrazy dla władz. Po wprowadzeniu stanu wojennego usunięto go z zawodu, zaczął więc pracę na KUL. W 1988 r. firmował Komitet Obywatelski przy przewodniczącym Solidarności Lechu Wałęsie, szefując komisji prawa i sprawiedliwości. Uczestniczył w obradach „okrągłego stołu”, gdzie dał się poznać jako przeciwnik rozliczeń w środowisku sędziowskim.

Minister sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego Aleksander Bentkowski (w rejestrach SB TW ps. Arnold i Kamil) miał pełne wsparcie profesora w blokowaniu personalnych reform: „Uważałem, że niezawisłość sędziowska oznacza, iż sędziów nie można usunąć z zawodu [...] wspierał mnie w tym wiceminister Adam Strzembosz. Uważał, że jeżeli zaczniemy wyrzucać sędziów, to środowisko straci zaufanie do naszych reform. [...] Strzembosz uważał, że biologia sama to załatwi i ja takie stanowisko popierałem”.

Jego postawa była sprzeniewierzeniem się elementarnym zasadom sprawiedliwości określonym w jednej

z rzymskich paremii: „Sed et si iudex constitutiones principum neglexerit, punitur” („Lecz jeśli jednak sędzia zasadę ustawy zlekceważy, będzie ukarany”). Jej stosowanie nie było zbyt istotne dla profesora, który najpierw został Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego, a potem, wspierany przez różne media, kandydatem na prezydenta RP z prawicy. Skończyło się źle: Strzembosz się wycofał, popierając Hannę Gronkiewicz-Waltz. Ale za jego prezesury rozpoczęto budowę obecnej siedziby SN. Potem, zamiast zasady „Sed et si iudex...” powieszono w niej portrety byłych prezesów SN, także tych z czasów komunizmu, a po nich fotografię Strzembosza. Piękna historyczno-portretowa kontynuacja.

STAJNIA AUGIASZA

Doktryna bezkarności dla przestępców w togach (nazwana „doktryną Strzembosza”) była fundamentem III RP. Jak się potem okazało, biologia nie załatwiła tu nic albo bardzo niewiele. Przykładem jednym z wielu jest kolega profesora z SN, prezes Izby Wojskowej, Janusz Godyń. Człowiek służb specjalnych PRL, w stanie wojennym skazywał działaczy opozycji. Potem awansowany przez prezydentów RP Wałęsę (1993) i Kwaśniewskiego (1997) na kolejne stopnie generalskie, wysoką funkcję w Sądzie Najwyższym pełnił w latach 1990–2016. „Przeczekał” w SN kończącego kadencję pierwszego prezesa Adama Strzembosza o jakieś 20 lat istnienia III RP. W 2017 r. odchodzący na emeryturę towarzysz Godyń został odznaczony medalem „Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości – Bene Merentibus Iustitiae” nadawanym przez Krajową Radę Sądownictwa. Nagrodę wręczał znany sędzia SN Dariusz Zawistowski, a chwalebna notatka na stronie KRS napisał znany sędzia III RP Waldemar Żurek. Jeśli o przestrzeń publiczną chodzi, można powiedzieć: sami znajomi.

Ale tu nie o lokatorów ani beneficjentów „stajni Augiasza” imienia Adama Strzembosza” teraz chodzi. Ważniejsze są skutki jego dokonań dla losów sprawiedliwości w Polsce. Tak jak w przypadku wspomnianych sędziów stanu

wojennego, dekrety wprowadzone przez Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 r. opublikowano post factum, kilka dni później. Jednak od 13 grudnia owi sędziowie skazywali ludzi na kary więzienia za strajki, ulotki czy malowanie hasła bez podstaw prawnych (dekrety opublikowano w Dzienniku Ustaw 17 grudnia), czyli na podstawie nieistniejącego formalnie prawa. Wiele relacji adwokatów broniących ludzi skazywanych w tych procesach (jak chociażby Jerzego Kurcysza) oraz znane raporty organizacji pozarządowych są jednoznacznym dowodem, że owi sędziowie wydawali wyroki, mając pełną świadomość, że to bezprawie.

Żeby ich chronić w przyszłości, Biuro Orzecznictwa (a jakże SN) przygotowało stosowną prawniczą interpretację ich działań, która głosiła, że jeśli w okresie 14–18 grudnia 1981 r. sędziowie skazali kogoś bez podstaw prawnych, to wówczas „nie byli poinformowani o treści dekretów [stanu wojennego] dostępnych dopiero ok. 18 grudnia 1981 r., a więc działali pod wpływem błędu”. Czyli, że jak wiedzieli, że skazują kogoś bezkarnie, na podstawie prawa, którego nie znali, bo go jeszcze nie było, to popełniali „niezawinioną pomyłkę”. To się nazywa prawnicza logika. Co najmniej na miarę Sądu Najwyższego.

GARDOCKI, IWULSKI I CAŁA RESZTA

Kiedy opisali rzecz historycy, prezes SN Lech Gardocki (nominat prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego) mówił publicznie, że nie ma „nawet poszlakowych dowodów” na to, że skazujący wówczas sędziowie działali z naruszeniem prawa. To bzdura podnoszona przez wielu prawników, świadków tych wydarzeń, i historyków. Dobrze wie o tym również Adam Strzembosz. Ale debatę na ten temat przecięła oficjalna Opinia Sądu Najwyższego w sprawie kolegi sędziego z SN (sam skazywał wcześniej ludzi na więzienie), że bezprawia tu nie było. Argumenty były podobne do tych przygotowanych już w SN w 1982 r. W czasie wydawania tej kuriozalnej uchwały co najmniej dwóch sędziów Izby Wojskowej SN (Wiesław Maciak i Jerzy Steckiewicz) było chyba zainteresowanych takim rozstrzygnięciem. Zwłaszcza ten drugi

miał na koncie wiele wyroków z tamtych czasów, m.in. na Ryszarda Kolyszkę, twórcę nadajników dla warszawskiego Radia „Solidarność”.

W Sądzie Najwyższym nadal orzekają sędziowie skazujący ludzi w stanie wojennym, choćby tacy jak Józef Iwulski. Kiedy ujawniono, że ma on na koncie wiele tego rodzaju haniebnych wyroków, w jego obronie stanęła prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf, uznając kolegę za ofiarę „bezprecedensowej napaści” (Interia, 18.07.2018). Historycy i dziennikarze wyciągali kolejne jego wyroki, a Iwulski nic. Nadal zakłada toę, łańcuch z orłem w koronie i udaje, że deszcz pada. Dwa lata później, we wrześniu 2020 r., uchwała siedmiu sędziów SN pod przewodnictwem Iwulskiego uniemożliwiła odbieranie przywilejów funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa. Złośliwi głosili, że zrobił to we własnym interesie, bo jego żona to emerytowany kapitan SB. A miało być tak pięknie: biologia miała zrobić porządek z wymiarem sprawiedliwości, a tu 30 lat (!) po zmianie systemu państwo demolują ludzie osobiście związani z WSW i Służbą Bezpieczeństwa. „Elity”, „Nadzwyczajna kasta”.

Szkoda, że prof. Gersdorf i jej podobni nie doprowadzili do wyboru Iwulskiego na kolejnego Pierwszego Prezesa SN. Jego portret znalazłby się wtedy na ścianie w owej „stajni Augiasza”. Znow byłaby tam pełna moralna i intelektualna kontynuacja.

WALKA O POLSKĘ

Ważny polski intelektualista Paweł Śpiwak, widzący skalę szkód wyrządzanych przez postkomunizm w Polsce, rzucił kiedyś hasło odcięcia się od przeszłości i zbudowania IV Rzeczypospolitej. To jakieś 20 lat temu był ważny punkt wspólny polityków wywodzących się z Solidarności. Już wtedy było oczywiste, że bez zmian w sądownictwie (75 proc. obywateli nie ma zaufania do polskich sądów) nie będziemy wolnymi ludźmi we własnym domu.

Początkowo za naprawą optowały i PiS, i PO, ale w tej drugiej formacji zwyciężył czysty nihilizm pod hasłem „Polska to nienormalność”, który szybko zblatował się z systemem III RP. Kiedy więc w 2015 r. miała nadejść zmiana wła-

Uchwała siedmiu sędziów SN pod przewodnictwem Józefa Iwulskiego z września 2020 r. uniemożliwiła odbieranie przywilejów funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa



dzy, sędziowski establishment wspólnie z Platformą próbował zabezpieczyć status quo przez wcześniejsze obsadzenie dwóch miejsc w Trybunale Konstytucyjnym, które już po wyborach mogłyby przypaść zwolennikom naprawy kraju („Niech sobie porządzą. I tak ich w TK uwalimy”). To było jaskrawe złamanie prawa i reguł demokracji, zasadnie dziś kwestionowane przez polskie władze i prezydenta. Ale prof. Adam Strzembosz nigdy nie wypowiedział się w sprawie tego bezprawia zmian w KRS dokonanych przed dojściem do władzy PiS.

Ale „doktryna Strzembosza”, kierowana do sędziów przestępców z czasów PRL, żyła już własnym życiem. Na podglebiu podeptania zasady „Sed et si iudex constitutiones principum neglexerit, punitur” wyrosła nie tylko grupka złodziei ze stacji benzynowych czy supermarketów, ale cała kasta nowych zaprzańców w togach, którzy bezkarnie dewastują dziś własne państwo. Różne kraje mają wewnętrzne kłopoty prawne i czasem tragiczne spory, jak chociażby w kwestii zbuntowanej katalońskiej prowincji Hiszpanii. Ale nie ma drugiego kraju w Europie, gdzie pompowane przez media indywidua poprzebierane w togi kwestionują prawomocność orzeczeń organów konstytucyjnych, wyroki wyższych instancji sądowych, a w międzyczasie (oficjalnie biorąc zwolnienia lekarskie) jeżdżą na zagraniczne sesje, gdzie szkalują własny kraj! Posel Wła-

dysław Siciński, który jako pierwszy zerwał Sejm metodą „liberum veto” w 1652 r., był prowincjuszem, który nie wiedział, że na końcu tej drogi są anarchia, Targowica i Katarzyna II jako gwarantka systemu I Rzeczypospolitej. Współcześni „Europejczycy” demolują państwo i żebrzą o zagraniczne interwencje świadomi tego, co robią. W domu to raczej zdjęcia rodziców z PZPR i UB wieszają, a nie portrety Romana Dmowskiego. Ale czują się bezkarni, bo są adwokatami i sędziami. Moralne i intelektualne dzieci „doktryny Strzembosza”.

CZAS PRÓBY

Ostatnio Adam Strzembosz często pojawia się w mediach, krytykując próby reformy państwa. Uśmiechnięty, rozanielony uwagą. Widziałem go w prywatnej telewizji otoczonego wianuszkami klakierów i suflerów, zastanawiających się tylko nad tym, komu tu jeszcze w nadchodzącym programie da się przywalić. A za jego plecami śmichy-chichy i szyderstwa ludzi, którzy z pogardą traktują wszystko to, co (chyba tylko ich zdaniem) Strzembosz reprezentuje. A potem na ekranie te zasmucające, głównie prostackie ataki na konstytucyjnych ministrów, organa państwowe czy prezydenta. Ileż w tym zacięcia i gorliwości. Ale, jak mawiają, człowiek z ZMP może wyjść zawsze, ale ZMP z człowieka – niekoniecznie.

Niedawno, w 2021 r., nobliwy prawnik stanął przed Izbą Dyscyplinarną SN w obronie Iwulskiego, który w kolekcji swoich dokonań ma m.in. wyrok trzech lat więzienia na młodego robotnika, który w stanie wojennym kolportował ulotkę z konturem Polski w drucie kolczastym. Strzembosz powiedział mniej więcej, że jego postawa była w zasadzie bez zarzutu, w porządku, a „środowisko sędziów z Solidarności nie potępiłoby go” („Gazeta Prawna”, 1.07.2021). Strzembosz jest dziś reprezentantem opinii „środo-wiska sędziów z Solidarności” tak, jak gorącym obrońcą zasady „Sed et si iudex constitutiones principium neglexerit, punitur” i od wielu lat widowiskowym reprezentantem pojęć takich, jak patriotyzm, prawda i sprawiedliwość. A za obecną postawę pana profesora oraz za jego brutalne, często pozbawione elementarnych zasad kultury ataki na polskie prawo, instytucje państwa polskiego oraz głowę państwa publicznie sphywa na niego deszcz nagród i laudacji. Taka lista „szklanych paciorków” budzi rozbawienie.

Uwagę zwraca szczególnie pochwała znanego prelegenta spraw polskich w Niemczech, byłego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara, jakże trafnie opisująca „doktrynę Strzembosza” i jej wdrażanie przez 30 lat: „Profesor Adam Strzembosz nie zmienia zasadniczych poglądów na funkcjonowanie państwa i prawa, od lat wskazuje na te same wartości. Zmienia się jedynie rzeczywistość polityczna i ustrojowa, w której toczy się debata na ten temat”. Ze znaną skromnością i poczuciem rzeczywistości Strzembosz pochwałę przyjął, komentując: „Jestem wybrańcem losu, a tu jeszcze taka nagroda” („Wyborcza” 9.02.2018). W jednym z ostatnich wystąpień miał przekonywać, że obecne władze Polski to gorzej niż PRL („W stanie wojennym kary dla sędziów były łagodniejsze niż dziś”, OKO Press, 4.07.2021). W stanie wojennym Strzembosz i inni niepokorni sędziowie wylecieli z zawodu,

a kogo z politycznych przyczyn usunięto w ostatnich latach?

Niedawno Strzembosz gardłował w TVN o możliwości unieważnienia ostatnich wyborów parlamentarnych, potem wypowiadał się w sprawie perspektywy pociągnięcia kierownictwa

W Sądzie Najwyższym nadal orzekają sędziowie skazujący ludzi w stanie wojennym, choćby tacy jak Józef Iwulski. Kiedy ujawniono, że ma on na koncie wiele tego rodzaju haniebnych wyroków, w jego obronie stanęła prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf, uznając kolegę za ofiarę „bezprecedensowej napaści”. Historycy i dziennikarze wyciągali kolejne jego wyroki, a Iwulski nic. Nadal zakłada toę, łańcuch z orłem w koronie i udaje, że deszcz pada

PiS do odpowiedzialności za szpiegowanie opozycji za pomocą Pegasusa. Nie mam co prawda 90 lat, ale szwankuje mi pamięć: jak to w tej sprawie Lenina i użytecznych idiotów było? Ktoś pamięta?

HISTORYCZNE PORZĄDKI

Historia przyspieszyła w złym dla Polski kierunku. Pozbawienie Polski podmiotowości politycznej ze względu na zmianę układu sił w Europie i rosnącą potęgę Rosji wydaje się sprawą – obym się mylił – całkiem realną. Nie wiadomo, co będzie dalej, skoro sami – nie reformując państwa po 1989 r. i nie budując

silnej armii – zmarnowaliśmy 30 lat dobrej koniunktury. W tym kontekście zaniedbanie sprawy sądownictwa, które jest dziś reprezentowane przez przedstawicieli zdeprawowanej, pozbawionej instynktu państwowego kasty, może mieć skutki równie tragiczne, jak funkcjonowanie w I Rzeczypospolitej instytucji konfederacji (zniesionej w przededniu upadku, Konstytucją 3 maja z 1791 r.).

Nie mam złudzeń, że wówczas znajdzie się wielu wpływowych osobników, którzy będą likwidować Polskę pod hasłem, że to „nie-normalność”. Pozostawiając ich do opisania potomnym, warto zacząć od tego, co już wiemy. O tych, którzy walczyli się przyczynili do upadku w obronie „starego porządku” (jak onegdaj Targowica), wcześniej nie reformując państwa, a potem kontestując jego naprawę kruczkami prawnymi i żebraniem o interwencję zagranicą.

Może Polska znów od tego upadnie, ale wcześniej, jak w czasie insurekcji 1794 r., do rozliczania niektórych weźmie się lud Warszawy. Ze Starówki do budynku Sądu Najwyższego niedaleko. Lud bywa niesprawiedliwy i czasem niepomny dawnych zasług i może zechcieć ukarać za dawne przewiny. Tak, jak w powszechnie znanym obrazie pędzla Piotra Norblina.

Właściciele portretów „ściany chwały” III RP z budynku SN powinni rzecz potraktować poważnie i zacząć przetapiać te niemieckie medale, puchary i inne blaszki na konkretne ciężarki, a potem przytwierdzać do ram swoich wizerunków. Będzie trudniej zdjąć je ze ściany i na majdan wywlec. A potem, jakby co, i tak ciężar oprawy większy, więc sznur szybciej pęknie i ten hańbiący akt zakończy. Marne pocieszenie, że wszystko to będzie się działo już po upadku Polski, a portrety upadną w (historycznie rzecz ujmując) nieposprzątaną od wielu lat wyściółkę „stajni Augiasza” imienia Adama Strzembosza.

*Autor jest pracownikiem IPN.
Artykuł odzwierciedla wyłącznie
jego poglądy*

Morawiecki i Fiala
podpisują porozumienie
w sprawie kopalni
Turów



1 lipca 2022 r. Czechy obejmą półroczną prezydencję w Unii Europejskiej. Co to może oznaczać z polskiego punktu widzenia? Czy Warszawa może liczyć na Pragę jako swego sojusznika? Czy dobrą prognozą jest zawarte właśnie porozumienie w sprawie kopalni Turów?



GRZEGORZ GÓRNY

Czechy są kluczowym partnerem Polski w Grupie Wyszehradzkiej, we wschodniej flance NATO, Unii Europejskiej oraz inicjatywie Trójmorza. Od grudnia ub.r. w Pradze funkcjonuje nowy rząd premiera Petra Fialy. Czego może się po nim spodziewać Warszawa?

Wisła – Wełtawa: wspólna sprawa?

WSPÓLNE ZAGROŻENIE ZE WSCHODU

Koalicja, która wygrała ostatnie wybory parlamentarne w Czechach, jest bardzo zróżnicowana politycznie i ideowo. Składa się z pięciu partii skupionych w dwóch blokach. Pierwszy stanowi prawicowy sojusz Spolu (Razem), składający się z Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS), chadecko-ludowej unii KDU-ČSL oraz liberalno-konserwatywnej partii TOP 09. Drugi o nazwie PirSTAN tworzą libertariańsko-lewicowa Czeska Partia Piratów oraz centrowy i samorządowy ruch Burmistrzowie i Niezależni (STAN). Mimo dzielących je różnic ideologicznych wszystkie ugrupowania zdecydowały się na współpracę, by odsunąć od władzy obóz byłego premiera Andreja Babiša.

Nowa władza bardzo mocno wsparła Warszawę w sprawie konfliktu na granicy polsko-białoruskiej. W tej sprawie rząd Petra Fialy ma za sobą poparcie większości obywateli. Wiąże się to

zresztą z szerszym zjawiskiem, jakim jest zmiana nastawienia społeczeństwa czeskiego do Rosji. Jeszcze kilkanaście lat temu dominowały w nim zdecydowanie nastroje prorosyjskie, odwołujące się m.in. do sentymentów panslawistycznych. Ton polityce nadawali wówczas Václav Klaus i Miloš Zeman, wykazujący duże zrozumienie dla aspiracji Moskwy.

Teraz to już przeszłość. Momentem przełomowym okazały się zwłaszcza zamachy na magazyny amunicji we Vrběticach, których dokonali agenci GRU. Rząd czeski wydalil z Pragi większość rosyjskiego personelu dyplomatycznego, spotykając się z analogiczną reakcją ze strony Kremla. Doszło nawet do tego, że Czechy wpisane zostały przez MSZ w Moskwie na oficjalną listę państw wrogich Rosji, choć w spisie tym nie ma Polski. Jeśli więc chodzi o sprawy bezpieczeństwa międzynarodowego, zwłaszcza zagrożenie ze wschodu, to Polska ze wszystkich państw Grupy Wyszehradzkiej najbardziej liczyć może właśnie na Czechy – bardziej niż na Węgry i Słowację.

WSPÓLNY INTERES ENERGETYCZNY

Eksperti uważają, że Praga i Warszawa są też skazane na współpracę w kwestiach klimatycznych i energetycznych. Okazuje się bowiem, że forsowany przez Komisję Europejską plan Fit for 55 najmocniej uderza właśnie w Polskę i Czechy, których gospodarka w największym stopniu w UE zależy od paliw kopalnych, zwłaszcza węgla. Już teraz z powodu Nowego Zielonego Ładu nasze państwa borykają się z tymi samymi problemami: podwyżkami cen prądu, gazu i benzyny, inflacją oraz widmem ubóstwa energetycznego.

Pod koniec zeszłego roku krajem naszych południowych sąsiadów wstrząsnęło bankructwo Bohemian Energy – jednego z największych dostawców energii elektrycznej i gazu ziemnego. Firma, która miała ponad milion klientów w Czechach i na Słowacji, ogłosiła upadłość. Powodem było to, że podpisała długoterminowe umowy na dostawy gazu do odbiorców, głównie indywidualnych gospodarstw domowych, nie mając w magazynach zabezpieczonego surowca. Sytuacja na rynku wydawała się stabilna, więc nikt nie spodziewał się problemów. Kiedy jednak nagle w błyskawicznym tempie zaczęły rosnąć ceny gazu, okazało się, że spółka nie ma pieniędzy na zakup tak dużej ilości paliwa. Ten krach bardzo mocno dotknął wiele rodzin.

Problemy energetyczne uświadomiły Czechom dwa niebezpieczeństwa: pierwsze związane z polityką Rosji, która traktuje Gazprom jako narzędzie budowania swych wpływów zagranicznych; drugie wynikające z unijnej polityki klimatycznej, która nie liczy się z realiami ekonomicznymi krajów Europy Środkowej. W tych dwóch kwestiach Praga i Warszawa są więc skazane na współpracę, ponieważ leży ona w ich obopólnym interesie. Nie jest to jednak wcale tak proste, jak by się wydawało.

RÓŻNICE POLITYCZNO-IDEOWE

Główną przeszkodą w nawiązaniu bliższej kooperacji jawił się konflikt o Turów, który poprzedni premier Andrej Babiš pozostawił w spadku swojemu następcy. Dla nowej ekipy był to niepotrzebny

problem, który należało jak najszybciej rozwiązać, ale w taki sposób, aby czeńska opinia publiczna nie odebrała tego jak kapitulacji. Na szczęście Petr Fiala i Mateusz Morawiecki doszli do porozumienia. Relacje z ich zeszlotygodniowego spotkania wskazują, że znaleźli oni wspólny język także w innych sprawach.

Zdaniem części komentatorów znacznie poważniejszą przeszkodą w zacieśnianiu stosunków mogą się okazać różnice ideowe między obozami rządowymi w obu krajach. Mogą one rzutować nawet na spójność Grupy Wyszehradzkiej. Tezę, że nie ma już V4, jest tylko V2+2, postawili miesiąc temu w swej publikacji na portalu Politico Lila Bayer i Jan Cien-ski. Według nich po ostatnich wyborach parlamentarnych na Słowacji i w Czechach oba te państwa wracają do głównego, liberalnego nurtu Unii Europejskiej, odwracając się od Polski i Węgier.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwne, ponieważ obie elekcje zakończyły się zwycięstwem partii prawicowych, a więc teoretycznie łatwiej powinno im się porozumieć z rządami w Warszawie i Budapeszcie. Okazuje się jednak, że w Bratysławie bardziej entuzjastycznie nastawieni do współpracy w ramach V4 byli socjalistyczni premierzy Robert Fico i Peter Pellegrini niż uważani za konserwatystów Igor Matović i Eduard Heger. Ostentacyjnie swą wstrzeźliwość wobec Grupy Wyszehradzkiej demonstruje też słowacki minister spraw zagranicznych Ivan Korčok.

Podobne sygnały dochodzą z Pragi, gdzie szefem dyplomacji został Jan Lipavský z lewicowo-libertariańskiej Partii Piratów, ministrem ds. europejskich zaś Mikuš Bek, który na początku swego urzędowania oświadczył, że ani Czechy, ani Słowacja nie będą brały udziału w sporach Warszawy i Budapesztu z Unią Europejską. Do tego doszła aktywność nowej przewodniczącej Izby Poselskiej Markéty Pekarové Adamové z centroprawicowej partii TOP 09, która kilka razy w internecie nie tylko ostro zaatakowała Viktora Orbána, lecz także życzyła mu porażki w najbliższych wyborach parlamentarnych. Z pewnością było to odplacenie węgierskiemu premierowi za jego postawę podczas ostatniej kampanii wyborczej w Czechach. Lider Fideszu przyjechał wówczas do Usti nad Łabą,

gdzie poparł urzędującego premiera Andreja Babiša przeciw centroprawicowej koalicji. Dziś nie ułatwia to współpracy między rządami w Pradze i Budapeszcie.

MIEDZY SYMPATIAM I INTERESEM

Spośród pięciu partii w czeskiej koalicji rządowej tylko jedna nastawiona jest do obecnego obozu władzy w Polsce w miarę pozytywnie (prawicowa ODS premiera Petra Fiali), jedna sytuuje się wobec niego dość neutralnie (chadecko-ludowa unia KDU-ČSL), trzy pozostałe (TOP 09, Piraci i STAN) należą zaś do przeciwnych mu formacji ideowo-politycznych.

Sympatie tych ostatnich kierowały się zawsze ku elitom w Brukseli i Berlinie. Obecne wydarzenia w Europie każą im jednak przewartościować wiele dotychczasowych aksjomatów. Okazało się bowiem, że Niemcy, które pozostawały podstawowym punktem odniesienia dla Pragi, mają zupełnie inne podejście do spraw fundamentalnych dla czeskiego bezpieczeństwa narodowego, czyli zagrożenia ze strony Rosji oraz unijnej polityki energetycznej. W tych kwestiach Pradze znacznie bliżej jest dziś do Warszawy niż do Berlina. Kością niezgody stał się zwłaszcza stosunek do elektrowni atomowych. Niemcy dążą do ich zlikwidowania w całej Europie, natomiast Czesi upatrują w nich przyszłość dla swej gospodarki. W tym kontekście nie dziwi obserwowany ostatnio zwrot naszych państw w kierunku Francji, opierającej swój rozwój na energii nuklearnej.

Poza tym Czesi, którzy są najbardziej eurosceptycznym społeczeństwem w Europie Środkowej, z niepokojem obserwują federalistyczne projekty unijne i centralistyczne zapędy Brukseli. Nie podoba im się koncepcja ograniczania suwerenności narodowej na rzecz rozrastającej się eurobiurokracji. Dlatego w tych sprawach mogą występować wspólnie z Polską – tym bardziej że Sąd Konstytucyjny w Pradze ma na swym koncie orzeczenia o wyższości czeskiej konstytucji nad prawem unijnym. Część polityków nad Wełtawą będzie więc musiała wybierać między swymi sympatiami ideowymi a interesem państwa. 

Europejski kryzys energetyczny na własne życzenie

Uzależnienie od Rosji, która w przeszłości dostarczała duże ilości wygodnego, bo taniego paliwa, uspiło Europejczyków, którzy uwierzyli, że to Moskwa jest uzależniona od sprzedaży gazu ziemnego i zawsze będzie gotowa zwiększyć dostawy tańszego, w porównaniu z innymi źródłami zaopatrzenia, paliwa

Eksperti Bank of America obliczyli, że średni rachunek za gaz i energię elektryczną statystycznego europejskiego gospodarstwa domowego wyniesie w tym roku 1850 euro, podczas gdy jeszcze w 2020 r. było to 1200 euro. Z analiz Komisji Europejskiej wylania się jeszcze czarniejszy obraz. Eksperti w Brukseli są zdania, że hurtowe ceny gazu i energii elektrycznej skoczyły w państwach Unii Europejskiej



MAREK BUDZISZ

między wrześniem 2019 r. a wrześniem 2021 r. odpowiednio o 429 i 230 proc. W skali całego kontynentu koszty ener-

gii wzrosły, jak informuje „The Economist”, o ponad bilion dolarów, co pozwala zrozumieć, jakie są źródła największej od dziesięcioleci fali inflacji, lecz również, jak obecny kryzys energetyczny, w którym znalazła się Europa, wpłynie na perspektywę gospodarki kontynentu.

A nie wpłynie dobrze, choćby z tego względu, że o ile w Stanach Zjednoczonych już największa część dochodu narodowego generowana jest z nowych



Fot. Andrzej Skwarczyński

sektorów gospodarczych (software, biotechnologie, usługi finansowe etc.), o tyle w Europie nadal dominują stare branże, takie jak przemysł samochodowy w Niemczech, w których przypadku rosnące koszty energii negatywnie wpływają na perspektywy konkurencyjności.

RZĄDY REKOMPENSUJĄ PODWYŻKI

W skali kontynentu rządy zaczęły wdrażać działania mające na celu zmniejszenie ciężarów, jakie dla statystycznego konsumenta oznaczają większe rachunki za gaz i energię elektryczną. Polska nie jest w tym zakresie wyjątkiem. I tak Holendrzy wydadzą na ten cel w ciągu roku 3,2 mld euro, rekompensując część rosnących kosztów utrzymania nie tylko go-

spodarstwom domowym, lecz również małym firmom. Rząd Francji, gdzie niedługo odbędą się wybory prezydenckie, poszedł w tym zakresie jeszcze dalej, tnąc podatki na nośniki energii o łącznej wartości 8 mld euro oraz dodatkowo wywierając presję na państwowy koncern energetyczny EdF, aby obniżył ceny. Władze firmy już poinformowały, że będzie to kosztowało akcjonariuszy 8,4 mld euro. Hiszpania najwcześniej, bo w październiku, podjęła decyzję o redukcji do zera opodatkowania energii dostarczanej gospodarstwom domowym (regulacje te będą obowiązywać do maja), a we Włoszech, w największym stopniu uzależnionych w swej polityce energetycznej od dostaw gazu, na ochronę najmniej zarabiających planuje się wydanie do marca 8,5 mld euro.

Ceny gazu na europejskich rynkach wzrosły, bo popyt jest większy, zapasy niższe, a Rosja dostarcza tylko tyle paliwa, ile zobowiązała się w długoterminowych kontraktach, nagradzając przy tym lojalne wobec Moskwy państwa obniżkami cen i korzystnymi umowami, karząc krnąbrnych i niepokornych, np. Mołdawię, skokowym wzrostem cen gazu. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie ciepła tegoroczna zima, ale jeśli przyjdą mrozy, to sytuacja może się skokowo pogorszyć. Europa jest zresztą skazana na rosyjski gaz ziemny również z tego względu, że w ostatnich latach zrobiła zbyt mało, aby dywersyfikować swe źródła zaopatrzenia.

Firma konsultingowa Bernstein obliczyła, że w skali świata niedobory infrastruktury zdolnej do przyjmowania transportów gazu LNG, dziś szacowane na 2 proc. popytu, do roku 2030 osiągną 14 proc. zapotrzebowania, a to musi się przełożyć na wzrost cen paliwa. Po prostu w minionych latach, w związku z polityczną presją i nastrojami społecznymi, zbyt mało inwestowano w wydobycie, transport i zdolności do przewozu skroplonego gazu ziemnego. Gdyby porównać obecne inwestycje w eksploatację paliw kopalnych, w tym gazu ziemnego, z rokiem 2014, to okazałoby się, że są one dziś na poziomie 40 proc. Klincznym przykładem jest w tym przypadku Europa, zwłaszcza Niemcy. Otóż gdyby teoretycznie założyć, że wszystkie istniejące instalacje do przyjmowania trans-

portów skroplonego gazu ziemnego pracują pełną parą, to i tak nasz kontynent mógłby pokryć w ten sposób maksymalnie połowę swej rocznej konsumpcji, co oznacza, że państwa europejskie nie mogą zerwać ze swym uzależnieniem gazowym od Rosji, nawet gdyby tego bardzo chciały. Niemcy nieposiadające nawet jednej instalacji do przyjmowania skroplonego gazu LNG, kupując go normalnie w Holandii, a nawet w Chorwacji, w sytuacji szalejącego kryzysu energetycznego zamykają trzy swoje elektrownie atomowe. Co gorsza, jak stwierdzili analitycy Commerzbanku, nawet gdyby podaż gazu skroplonego LNG była wystarczająca i byłoby gdzie przyjąć to paliwo, to w sytuacji niedostosowania instalacji przesyłowych do tego rodzaju gazu nie można byłoby go dostarczyć finalnym konsumentom.

Mszczą się wieloletnie zaniechania i stawianie wszystkiego na jedną kartę. Uzależnienie od Rosji, która w przeszłości dostarczała duże ilości wygodnego, bo taniego paliwa, uśpiło Europejczyków, którzy uwierzyli, że to Moskwa jest uzależniona od sprzedaży gazu ziemnego i zawsze będzie gotowa zwiększyć dostawy tańszego, w porównaniu z innymi źródłami zaopatrzenia, paliwa.

JAK PASAŻER NA GAPE

Zabiegi Joego Bidena o to, aby zmniejszyć uzależnienie gazowe Europy od Rosji, które okazuje się szczególnie niebezpieczne w obliczu obecnego kryzysu wokół Ukrainy, nie zdadzą się na wiele, jeśli w Europie będzie dominowała mentalność pasażera na gapę. Nie pomoże nadanie Katarowi statusu „najlepszego sojusznika USA” niebędącego członkiem NATO, co ma przekonać władze tego arabskiego emiratu, aby część dostaw przekierować na europejski rynek, jeśli państwa naszego kontynentu na poważnie nie podejmą się zadania dywersyfikacji źródeł energii. Na razie tendencja jest zgoła przeciwna. Viktor Orbán zawarł z Rosją wieloletni kontrakt gazowy, o którym Władimir Putin mówił, że pozwala on Budapesztowi płacić trzykrotnie mniej za paliwo niż średnie ceny rynkowe. W ramach wzajemności Budapeszt oświadczył, że nie widzi potrzeby, aby część oddziałów z dyslokowanego

właśnie do Europy dodatkowego kontyngentu amerykańskich marines stacjonowała na Węgrzech. W opinii tamtejszej dyplomacji koncentracja rosyjskiego wojska na granicach z Ukrainą nie zagraża Budapestowi, nie ma zatem potrzeby tego rodzaju demonstracji.

To, że Putin ma większe możliwości w zakresie wykorzystania w charakterze narzędzia presji na państwa europejskie swej „broni energetycznej”, jest w niemałym stopniu zasługą samych Europejczyków, błędnej, choć ideologicznie słusznej polityki Brukseli i rządów państw członkowskich.

Dobrze to widać nie tylko na przykładzie rynku gazu ziemnego, lecz również ropy naftowej. Państwa OPEC+, czyli liczone razem z Rosją, dziś pokrywające 46 proc. światowego zapotrzebowania, w roku 2030 będą odpowiadać za ponad 50 proc. konsumpcji. Dzieje się tak, bo państwa europejskie odchodzą od produkcji surowców energetycznych, per saldo zwiększając uzależnienie od tych, którzy tego rodzaju skrupułów nie mają. Rosja dziś dostarcza Europie 41 proc. gazu ziemnego, a ewentualne uruchomienie Nord Stream 2, czemu towarzyszy spadek wydobycia z pól Morza Północnego, jeszcze najprawdopodobniej zwiększy to uzależnienie. Na to nakładają się ewidentne błędy regulacyjne Brukseli, zła ocena sytuacji rynkowej i nadmiar ambicji w dążeniu do realizacji celów klimatycznych, co razem stało się jednym z głównych powodów obecnego kryzysu energetycznego, w którym pogrąża się Europa.

Frans Timmermans, niezatapialny komisarz z Brukseli, w obecnej Komisji Europejskiej odpowiadający za politykę klimatyczną, nie ma sobie niczego do zarzucenia. Skokowy wzrost cen uprawnień do emisji CO₂, który nastąpił późną wiosną tego roku, po tym jak Komisja Europejska zdecydowała się na zaostrzenie w ramach programu Fit for 55 swych ambitnych celów klimatycznych, nie jest w jego opinii związany z regulacjami Brukseli. Innego zdania są rosyjscy eksperci z Centrum Carnegie, którzy argumentują, że można mówić

o co najmniej kilku fundamentalnych błędach popełnionych przez Brukselę w ostatnich latach, które Moskwa bezlitośnie wykorzystała.

BŁĘDY UNII EUROPEJSKIEJ

Po pierwsze, Komisja Europejska postawiła po kryzysie 2008 r. i po doświadczeniach z używaniem przez Gazprom dostaw gazu w charakterze narzędzia presji ekonomicznej na Ukrainę i Białoruś, na reformę europejskiego rynku gazowego, której jednym z elementów było odejście od formuły długoletnich kontraktów zawieranych z Rosją, gdzie

Z analiz specjalistów PGNiG wynika, że stabilizacja na europejskim rynku gazowym może nastąpić dopiero wiosną 2023 r. Do tego czasu Europejczycy będą płacili bająnskie rachunki za energię, a dodatkowo liczyć się muszą ze skokowymi wzrostami cen żywności



cena była powiązana z cenami ropy lub koszykiem artykułów ropopochodnych, na rzecz kontraktów, dla któ-

rych odniesieniem była cena giełdowa. W efekcie o ile w 2010 r. jedynie 15 proc. europejskich kontraktów Gazpromu zawierało formułę cenową odwołującą się do cen giełdowych, o tyle w 2020 było to już 87 proc. umów. Z perspektywy kupującego odwołanie się do ceny giełdowej było dotychczas korzystne, nadprodukcja gazu na świecie powodowała, że przez lata ceny utrzymywały się na niskim poziomie. Ten rok jest wyjątkiem i manipu-

lowanie cenami rynkowymi przez ograniczanie poziomu dostaw doprowadziło do eksplozji cen na giełdach.

Kolejny błąd urzędnicy w Brukseli popełnili wczesną wiosną, kiedy ogłoszono nowe, ambitniejsze cele klimatyczne. Spowodowało to skokowy wzrost cen uprawnień emisyjnych w przypadku „starych”, z większym śladem węglowym, źródeł energii i przesunięcie popytu na rzecz „czystej” generacji gazowej. Tyle że zbiegło się to zarówno z cieplejszym latem, co w związku z klimatyzacją zwiększyło pobór energii elektrycznej, jak i z wyjątkowo bezwietrzną pogodą, co z kolei wyłączyło z eksploatacji na wiele tygodni

europejską energetykę wiatrową. W efekcie pobór gazu wzrósł, europejskie magazyny na progu lata okazały się w znacznie większym stopniu opróżnione niż w przeszłości, a ożywienie gospodarcze w Azji spowodowało przesunięcie dostaw na ten kontynent. Takiej okazji Putin nie mógł zaprzepaścić.

Nie chodzi zresztą wyłącznie o rynek surowców energetycznych. W ubiegłym tygodniu Rosja postanowiła wprowadzić embargo na eksport saletry amonowej, podstawowego nawozu mineralnego stosowanego w rolnictwie. Europejscy wytwórcy, w związku z szalejącymi cenami gazu ziemnego, nie pracują już od wielu tygodni, na rynku brakuje nawozów, a ich ceny wzrosły w niektórych krajach nawet trzykrotnie. Trudno oczekiwać w tej sytuacji zahamowania wzrostu cen żywności na europejskich rynkach w tym roku, a może nawet i w kolejnym, bo z analiz przeprowadzonych przez specjalistów PGNiG wynika, że stabilizacja na europejskim rynku gazowym może nastąpić dopiero wiosną 2023 r. Do tego czasu Europejczycy będą płacili bająnskie rachunki za energię, a dodatkowo liczyć się muszą ze skokowymi wzrostami cen żywności.

Na Kremlu nie mogą być niezadowoleni z takiego obrotu spraw, a Europejczycy powinni spojrzeć w lustro i zastanowić się, czy wyśmiewany przez nich Donald Trump, który wielokrotnie przestrzegał przed nadmiernym uzależnieniem od dostaw surowców energetycznych z Rosji, nie miał jednak racji.

Cieężki poród międzynarodówki



JAN ROKITA

Piętnaście partii naradzało się przez dwa dni (29–30 stycznia) za zamkniętymi drzwiami w nowoczesnym pięciogwiazdkowym hotelu VP Plaza España Design, wzniesionym rzut beretem od madryckiego Pałacu Królewskiego i nowej katedry NMP Almudena, konsekrowanej swego czasu przez Jana Pawła II. Powody owego silnego rezonansu są głównie dwa. Pierwszy – to powszechne zaskoczenie, jakie wywołał jeden z punktów madryckiej deklaracji, w którym pierwszy raz w swej historii partie europejskiej altprawicy sformułowały ciężkie oskarżenie polityczne wobec Rosji. Odnosząc się bowiem do trwającej komasacji rosyjskich wojsk wokół Ukrainy, piętnastka zarzuciła Moskwie, iż jej „działania militarne doprowadziły Europę na skraj wojny” oraz opowiedziała się za niesprecyzowaną wprawdzie konkretnie, ale „solidarną” reakcją. Z czego zresztą wynikły potem interesujące, a po części nawet zabawne perypetie.

Drugim powodem sporego odzewu madryckiej narady jest rosnące w świecie politycznym zainteresowanie tym, czy europejska altprawica potrafi stworzyć własną międzynarodówkę. Ta bowiem, gdyby w perspektywie powstała, z natury rzeczy stałaby się punktem odniesienia dla coraz wyraźniejszych (a jeszcze umocnionych trwającymi trzeci rok sanitarnymi ograniczeniami wolności) ruchów sprzeciwu wobec dominacji obecnego głównonurtowego establishmentu. Establishmentu, który najlepiej chyba całościowo nazwać postliberalnym, gdyż w jego ramach słabo odróżnialne są już dziś na dobrą sprawę partie nazywające się socjaldemokratycznymi, liberalnymi czy chadeckimi, a też ich ideowy związek z klasycznym wolnościowym liberalizmem wygląda współcześnie na mocno wątpliwy.

W Madrycie uzgodniono powołanie biura koordynacyjnego europejskiej altprawicy. Na konferencji prasowej europoseł Jorge Buxadé – wiceszef hiszpańskiej partii Vox (czyli organizatora na-

Madrycka narada europejskiej alternatywnej prawicy (altprawicy) zyskała nadszperkowanie silny polityczny rezonans. Uwaga mediów skupiła się głównie na rosyjskim aspekcie tej narady. Oskarżenie Kremla, iż „doprowadził Europę na skraj wojny” oraz wezwanie do „solidarnej” reakcji, to w przypadku francuskiej czy włoskiej prawicy polityczna ekstrawagancja pierwszej wody. Wszyscy się zastanawiali, jakim fortelem polski premier wcisnął takiemu gremium tego rodzaju deklarację na temat Rosji?

radę) – wyjaśniał, iż na razie nie chodzi o żadną sformalizowaną postać międzynarodówki, ale o platformę konsultacji przed decyzjami, jakie podejmowane są zwłaszcza w Parlamencie Europejskim. W Unii madrycka piętnastka jest bowiem podzielona pomiędzy kilka europejskich rodzin: przede wszystkim grupę ID

(Tożsamość i Demokracja) oraz ECR (Konserwatyści i Reformatorzy), węgierski Fidesz zaś, od kąd rok temu został zmuszony do wycofania się z EPP, nie znalazł na razie swojej rodziny, jest więc *spiritus movens* ruchu na rzecz szerokiej altprawicowej międzynarodówki.

Biuro koordynacyjne z pewnością ani nie zniweluje istniejących sprzeczności partyjnych interesów, często wynikających wprost z różnic narodowościowych, ani też nie przezwycięży nieusuwalnej w polityce rywalizacji liderów o prestiż i pierwszeństwo. Unijna Europa zarówno na lewicy, jak i na prawicy jest wielkim kotłem narodowych sprzeczności, więc i altprawicowa międzynarodówka nie może się tutaj rodzić inaczej jak w ciężkich bólach.

WŁOSKI PROBLEM

Rzut oka na reprezentatywność madryckiej narady daje obraz ambiwalentny. Z jednej bowiem strony w madryckiej piętnastce obecni byli wszyscy najważniejsi partyjni aktorzy altprawicowej unijnej sceny, tzn. polskie PiS, węgierski Fidesz i austriacka Partia Wolności (FPÖ) ze środkowego wschodu Unii, z unijnego zachodu zaś – francuskie Zjednoczenie Narodowe (RN), hiszpański Vox i dwie partie włoskie: Liga oraz Bracia Włosi (FI). Można więc założyć, że europejska międzynarodówka, powołana przez takich siedmiu potentatów, zmonopolizowałaby w zasadzie europejską altprawicową scenę, mogąc decydować, którego z mniej politycznie znaczących partnerów dopuścić do wspólnoty, a z którym utrzymywać tylko mniej lub bardziej luźne kontakty. Jednak takie formalne pozory



mogą mylić. Obie kluczowe partie włoskie reprezentowane były bowiem w Madrycie – by tak rzec – „na niskim szczeblu”, co nie jest bynajmniej wynikiem przypadku.

Przywódca włoskiej Ligi Matteo Salvini uwikłany został, trochę wbrew własnym intencjom, w obecny rząd włoski, zdominowany przez lewicę. Stało się tak pod presją potężnego lobby północno-włoskiego wielkiego biznesu, który w premierze Draghim, byłym szefie banku centralnego Unii, upatruje gwarancji bezpieczeństwa swoich finansowych interesów. Osłabiony Salvini ma dziś mocno związane ręce, gdyż musi firmować politykę często stojącą w otwartej sprzeczności ze wszystkim, co sam dotąd głosił (np. gdy idzie o imigrację czy zakres władzy brukselskich instytucji). Do Madrytu wysłał zatem swego przybocznego specjalistę od międzynarodowych konferencji europosła Paola Borchię. A jeszcze ciekawszym przypadkiem okazała się reprezentacja Braci Włochów, którzy teraz aktywnie zwalczają rząd Draghiego i rywalizują z Salvinim.

Przedstawicielem FI był bowiem europoseł Vincenzo Sofo, który nie tylko dopiero niedawno przeszedł z Ligi do FI, lecz na dodatek ożenił się we wrześniu ub.r. z siostrzenicą Marine Le Pen – Marion Maréchal, skonfliktowaną na śmierć i życie z ciotką na tle osobistym i politycznym (pozbyła się nawet jej nazwiska, biorąc nazwisko ojczyma). Sam Sofo nie krył zaś w Madrycie tego, że dla utopienia znienawidzonej ciotki swej żony w francuskich wyborach prezydenckich wraz ze swą rodziną czynnie wspiera Érica Zemmoura, który zgłaszając swoją prezydencką kandydaturę, radykalnie zmniejszył szanse na przejście Marine Le Pen do drugiej tury w kwietniowych wyborach.

WYMARZONY PARTNER

Jak widać, francusko-włoski altprawicowy węzeł gordyjski będzie gmatwać plany Morawieckiego i Orbána. Jeszcze nie tak dawno można było odnieść wrażenie, że obaj premierzy widzą właśnie Włochów w roli głównych partnerów w hipo-

tetycznej międzynarodówce. Orbán latał nawet do matecznika Ligi, czyli do Mediolanu, gdzie po spotkaniu z Salvinim mianował włoskiego polityka „swoim bohaterem, z którym dzieli wspólne przeznaczenie”. Dziś – jak się zdaje – siła tego przeznaczenia nieco osłabła, a w Madrycie (podobnie jak na grudniowym spotkaniu w Warszawie) tę rolę wypełniali już Francuzi i Hiszpanie, czyli Marine Le Pen i Santiago Abascal. Ten ostatni, goszcząc w Madrycie liderów prawicy, w tym dwóch znanych premierów z Europy Środkowej, świetnie buduje swoją reputację męża stanu, zdolnego całkowicie zmienić oblicze hiszpańskiej sceny politycznej. W tym sensie dla PiS i Fideszu jest to wymarzony partner do tworzenia wspólnej rodziny. Trochę gorzej jest z Le Pen, która zużyta we francuskiej polityce ma wszelkie dane, aby przegrać kwietniowe wybory prezydenckie albo nawet nie znaleźć się w nich w drugiej turze. A w Paryżu jest silny nowy konkurent, aby zarówno ją samą, jak i jej partię pozbawić przywództwa na altprawicy. To świeży i wybitnie błyskotliwy Éric Zemmour wraz z tworzonym przezeń ruchem o nazwie Rekonkwista.

ROSYJSKI PUNKT

Uwaga mediów skupiła się głównie na rosyjskim aspekcie altprawicowej narady. Oskarżenie Kremla, iż „doprowadził Europę na skraj wojny” oraz wezwanie do „solidarnej” reakcji – to w przypadku francuskiej czy włoskiej prawicy polityczna ekstrawagancja pierwszej wody. Zarówno RN, jak i Liga – to po pierwsze, partie typowe dla geopolitycznej wyobraźni swoich narodów, od stuleci przekonanych, iż Moskwa to sojusznik o wspólnych interesach. A po drugie – z racji swego konserwatywnego światopoglądu traktujące reżim Putina jako ostoję tradycyjnego ładu obyczajowego i kulturowego. Światowe media (z niemieckimi na czele) głowią się zatem z nieskrywanym zdumieniem, jakim fortem polski premier wcisnął takiemu gremium tego rodzaju deklarację na temat Rosji?

Nikogo oczywiście nie dziwi, że Le Pen próbowała się potem zdystansować od tego punktu wspólnej deklaracji, a nawet usunęła z niej najbardziej przedwyborczo niewygodne zdanie, gdy prezentowała z dumą ustalenia madryckie swoim francuskim zwolennikom na profilu w sieci. Podobnie zresztą, jak nie dziwi zauważona przez dziennikarzy ucieczka Orbána, który tuż przed swoją wizytą w Moskwie chciał za wszelką cenę uniknąć wciągnięcia go przez Morawieckiego na konferencję prasową, gdzie musiałby przecież odpowiadać na pytania o politykę Putina. I znalazłby się w uścisku rosyjskiego młota i polskiego kowadła.

W każdym razie, patrząc z polskiej perspektywy, to całe zamieszanie wokół rosyjskiego punktu deklaracji nie tylko nie podważa sensu madryckiej narady, lecz – całkiem przeciwnie – wzmacnia jej polityczny sens. Morawiecki sprawił po prostu spory kłopot swoim altprawicowym partnerom, wykorzystując obecną sytuację, w której zapewne trudno było im wobec polskiego premiera bronić Putina, właśnie komasującego w Europie Wschodniej wielkie liczebnie armie, czołgi i okręty. Nie wiem – rzecz jasna – jak dokładnie przebiegało uzgadnianie tego punktu deklaracji w hotelu España Design. Ale łatwo mi sobie wyobrazić, że Francuzka czy Węgier najpierw „wymieśli” i ucichli pod naporem racji Morawieckiego, a potem już tylko kombinowali, jak by się z tego wszystkiego wykaraskać najmniejszym dla samych siebie politycznym kosztem.

To oczywiście, że w prorosyjskiej Francji Le Pen nie może sobie pozwolić na walkę z Putinem w obliczu kwietniowych wyborów. Szczególnym kłopotem Orbána były zaś zaplanowane na wtorek 1 lutego (czyli zaraz po Madrycie) odwiedziny u Putina na Kremlu, podczas których zapewne i tak nie uniknął grzecznej próby o wyjaśnienia co do tego, co działo się w hotelu España Design. Przez ostatnie lata utrwaliła się praktyka, wedle której prezydenci i premierzy Francji, Włoch czy Węgier siedzieli cicho na unijnych szczytach, kiedy kanclerz Merkel zarządzała kolejne przedłużenie sankcji wobec Rosji, a po powrocie do swoich krajów natychmiast odzyskiwali głos, przekonując, że w gruncie rzeczy to politycy sankcji są przeciwni. To samo zdarzyło się teraz w Madrycie z liderami altprawicy pod presją Morawieckiego. Trudno zaiste o lepsze doświadczenie dla polskiej polityki.

OBRONNE OKOPY

Faktem jest, że PiS zostało przez Unię popchnięte do budowania altprawicowej międzynarodówki. Po wygranych wyborach 2015 r. chyba nikt w przywództwie PiS nie myślał na serio o takim scenariuszu. Jednak zmiana politycznych koniunktur musi wywoływać także zmianę taktyki. Dziś, gdy Bruksela *par force* napiera na usunięcie PiS od władzy, stosując przy tym środki co najmniej wątpliwe tak z punktu widzenia prawa, jak i standardów przyzwoitej polityki, nic dziwnego, że Kaczyński i Morawiecki zaczęli budować dla siebie obronne okopy wzdłuż całej Europy. Ba... liderzy PiS musieliby być naiwnymi głupcami, gdyby takiej samoobrony nie chcieli podjąć. A jest po temu jeszcze jeden, wcale nie tak błahy powód.

Ku swojemu końcowi zmierza powoli pewne unijne przedsięwzięcie na pozór propagandowe, ale potencjalnie niebezpieczne. To „Konferencja na temat przyszłości Europy”, która choć nie ma sformalizowanego statusu, toczy się pod

kontrolą i w kierunku nadanym jej przez Brukselę. Właśnie niedawno we Florencji finalizowano prace tzw. panelu pierwszego konferencji, formułując 39 wniosków, które w imieniu obywateli Europy zostaną przedłożone państwu unijnemu. Ów pierwszy panel zajął się takimi kluczowymi wyzwaniami dla Unii, jak: plan przeciw rasizmowi, strategia promocji LGBT i zapewnienie praworządności. Nie trzeba być nadto politycznie rozgarniętym, by zdawać sobie jasno sprawę, na czym mogą polegać owe wnioski, formułowane przez obywateli pod takimi tytułami. W czarnym scenariuszu może się zdarzyć tak, że pojawi się inicjatywa przełożenia owych wniosków obywateli na przepisy prawa europejskiego albo nawet zmiany traktatowe. A obecność we Florencji europosła Verhofstadta podczas formułowania wniosków może wskazywać na taki zamiar. Spore znaczenie będzie mieć wówczas to, czy będą mogły być przedłożone również alternatywne projekty zmian prawnych i traktatowych, dotyczących przyszłego kształtu Unii i reguł w niej obowiązujących. W Madrycie właśnie zapowiedziano, że altprawicowa piętnastka wypracuje w tej mierze swój projekt, z pomocą powstającego biura koordynacyjnego.

Tytułem anegdoty można jeszcze dodać, że najpoważniejszy dziennik hiszpańskiej prawicy „ABC” z żalem poinformował swoich czytelników, iż na madrycką naradę był zaproszony i miał przybyć „prezydent Polski Jarosław Kaczyński”. Niestety musiał go zastąpić premier, gdyż „od czasu tragicznej śmierci brata w katastrofie lotniczej prezydent Polski nie wsiada do samolotu”. 

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 27 stycznia 2022 roku zmarł w Krakowie

ŚP

JACEK ANTONI SMAGOWICZ

urodzony 8 lipca 1943 r. w Warszawie.

W marcu 1968 r. uczestnik wieców studenckich na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Od 1976 r. współpracownik Komitetu Obrony Robotników,

następnie KSS KOR oraz Konfederacji Polski Niepodległej.

We wrześniu 1980 r. zorganizował Komisję Zakładową

NSZZ „Solidarność” w Polmozbycie Kraków.

Od 14 do 15 grudnia 1981 r. przywódca

strajku okupacyjnego w krakowskim Polmozbycie.

Od kwietnia do października 1982 r. internowany

w ośrodkach odosobnienia w Zależu i Uhercach.

Od 1984 r. uczestnik rocznicowych Marszów Szlakiem 1 Kompanii Kadrowej.

W październiku 1984 r. współzałożyciel, a następnie lider

Ruchu Odwaga i Prawda im. ks. Jerzego Popiełuski.

Od września 1988 r. zasiadał w Regionalnym Komitecie Solidarności Małopolska.

Od 1990 r. działacz w Wojewódzkiej Komisji Kwalifikacyjnej

ds. weryfikacji b. funkcjonariuszy SB w Krakowie.

W latach 1992-2010 wchodził w skład Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Od 1995 r. zasiadał w Radzie Programowej

Czecheńskiego Ośrodka Informacji w Krakowie.

Był członkiem Rady Konsultacyjnej ds. Działaczy Oporu

Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów

Politycznych przy Województwie Małopolskim.

Uchonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski

oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

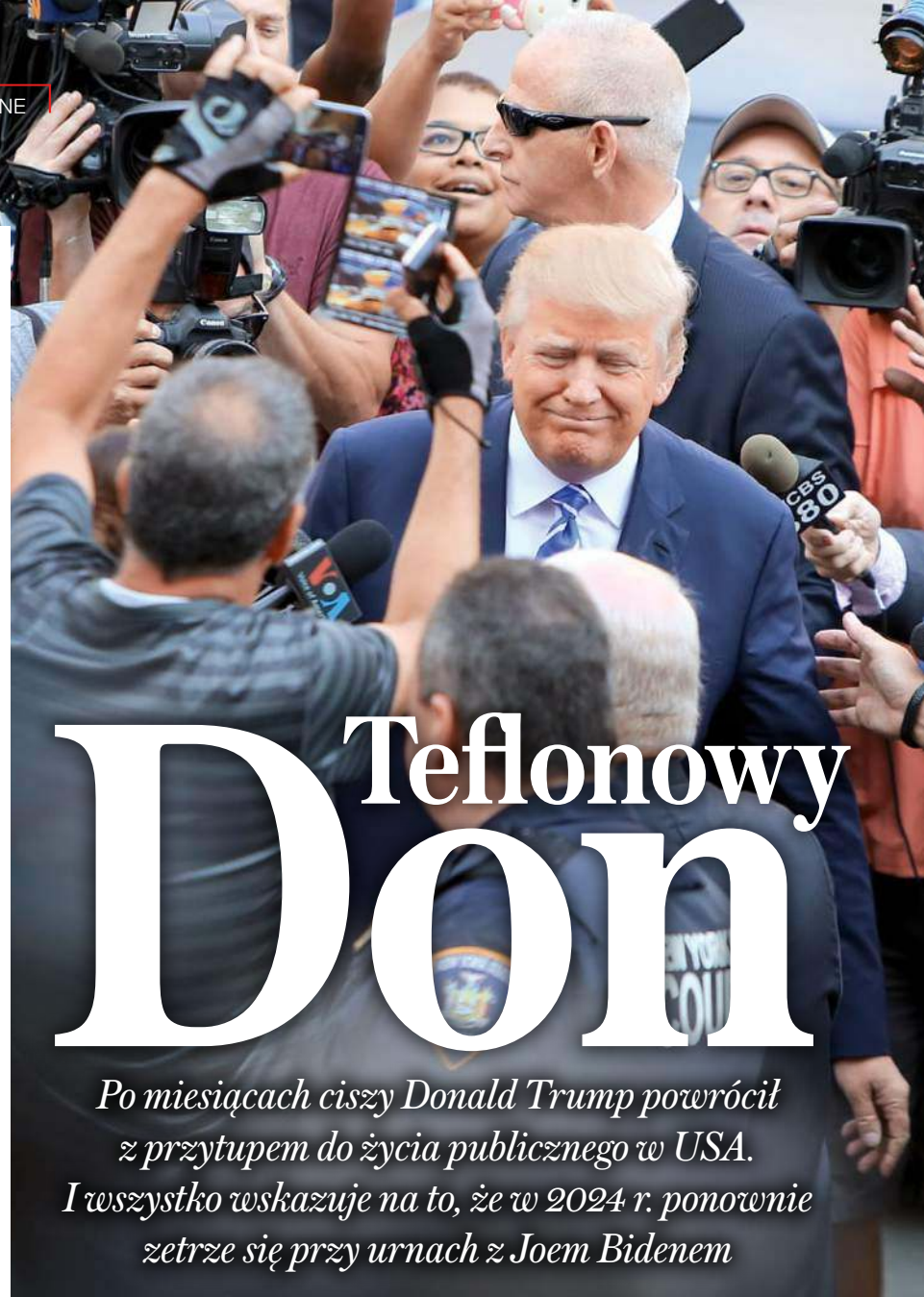
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Tysiące zwolenników Donalda Trumpa zgromadziło się 30 stycznia w Conroe, małym miasteczku w Teksasie. Był to pierwszy wiec byłego prezydenta USA w tym stanie od 2019 r. Panowała na nim prawdziwa atmosfera festynu. Zgromadzony tłum skandował: „Trump 2024!” oraz „Let’s go Brandon” – to znienawidzone przez demokratów hasło, które w zawołany sposób wyraża ich chęć wysłania Joego Bidena tam, gdzie pieprz rośnie. Były prezydent mówił o tym co zwykle: o skradzionych wyborach, o „najgorszej w historii” prezydenturze Bidena oraz o „odzyskaniu” Ameryki w 2024 r. Ze sceny przedstawiciele społeczności afroamerykańskiej i związków zawodowych policji przekonali tłum, że tylko powrót Trumpa do Białego Domu może uratować Amerykę przed falą przemocy, która przetacza się obecnie przez kraj.

Wiec służył jednak nie tylko do tego, by zebrać poparcie dla byłego prezydenta, dla jego ambicji odzyskania za dwa lata tego, co jak twierdzi, mu skradziono. W swoim przemówieniu Trump nakreślił strategię dla wszystkich republikańskich kandydatów, którzy będą się ubiegali na jesieni w wyborach uzupełniających do Kongresu o miejsce w Senacie lub Izbie Reprezentantów. To on jest jęczyciem u wagi – przekonywał. Kogo poprze, ten ma zwycięstwo w kieszeni. Dwóch takich kandydatów wystąpiło z nim na scenie: gubernator Greg Abbott i prokurator generalny Ken Paxton. Obaj ubiegają się o reelekcję. Dwa tygodnie wcześniej na podobnym wiecu w Arizonie, gdzie tłum sięgał po horyzont, Trump zaatakował „słabych polityków” w szeregach Partii Republikańskiej. Tych, którzy zaakceptowali zwycięstwo Bidena, oraz tych, którzy głosowali w Kongresie za jego impeachmentem. Jednym z tych „przegranych” jest jego zdaniem gubernator Arizony Doug Ducey. Po wyborach w 2020 r.



Teflonowy Don

Po miesiącach ciszy Donald Trump powrócił z przytupem do życia publicznego w USA.

I wszystko wskazuje na to, że w 2024 r. ponownie zetrze się przy urnach z Joem Bidenem

polityk oświadczył, że „ufa naszemu systemowi wyborczemu”. Tego Trump mu do dziś nie wybaczył. „Ducey to marny przedstawiciel narodu” – mówił ze sceny. Lepsza w roli gubernatora będzie jego zdaniem Kari Lake, była prezenterka kanału Fox News i gorąca zwolenniczka budowy muru na granicy z Meksykiem. Duceyowi kończy się właśnie druga kadencja gubernatorska. Na jesieni chce startować do Senatu. Bez poparcia Trumpa jego szanse są jednak marne. Bo to były prezydent trzęsie dziś Partią Republikańską, na dobre czy na złe. Wiedzą to także uczestnicy wiecu w Arizonie, konserwatywnego stanu, w którym Biden wygrał dwa lata temu z niewielką

przewagą. Wielu, którzy na niego wtedy głosowali, dziś tego żałuje. Tę dynamikę Trump zamierza wykorzystać. Gdzie się da, wspiera lojalnych wobec siebie kandydatów do Kongresu, by scementować swoje wpływy w partii. A oni chętnie korzystają z jego poparcia, bo popularność Trumpa wśród partyjnej bazy utrzymuje się wciąż na bardzo wysokim poziomie.

70 proc. zwolenników Partii Republikańskiej uważa, że Trumpowi skradziono zwycięstwo w 2020 r., a 82 proc. jest gotowych go poprzeć, jeśli zdecyduje się ponownie kandydować na prezydenta. To Trump jest, co najmniej obecnie, koniem pociagowym prawicy. A okoliczności dla jego powrotu do Białego Domu są



korzystne. Poparcie dla Bidena w sondażach jest w piwnicy, demokratyczny prezydent zaliczył wiele poważnych gaf i błędów, a inflacja utrzymuje się na rekordowym poziomie 7 proc. Obietnica prowadzenia „humanitarnej” polityki imigracyjnej doprowadziła do szturm migranców na granice, a pakiet legislacyjny Bidena, w tym reforma wyborcza, utknął w Senacie, gdzie blokuje go grupa umiarkowanych demokratów.

Po szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r. demokraci mieli nadzieję, że Trump zniknie z polityki. Odejdzie skompromitowany. I początkowo rzeczywiście na to wyglądało. Przez wielu polityków republikanów był postrzegany jako parias, od którego należało się odciąć. Ale niedługo potem znów zaczęli się tłoczyć na korytarzach jego posiadłości w Mar-a-Lago. Jeśli chodzi zaś o dziesięciu republikanów z Izby Reprezentantów, którzy w zeszłym roku zagłosowali za impeachmentem Trumpa, byłemu prezydentowi udało się ich spacyfikować. Trzech z nich postanowiło całkowicie opuścić politykę. Jedynymi poważnymi rywalami Trumpa o nominację republikanów są obecnie gubernator Florydy Ron DeSantis oraz Mike Pompeo, jego były sekretarz stanu. Wszystko przez niego przepływa: pieniądze, polityczne poparcie. Nie zaszkodziły mu nawet sprawy sądowe, które się za nim ciągną, choćby te, które przeciwko niemu wytoczono w związku z wydarzeniami na Kapitolu.

Pytanie, czy nastroje, określane jako „Trump first”, utrzymają się przez następne dwa lata. Przewaga Trumpa nad DeSantisem w sondażach w każdym razie powoli maleje. W październiku 2021 r. wyniosła 40 proc., w styczniu br. już tylko 25 proc. „Cały dylemat polega na tym, że liczba twardych zwolenników Trumpa, którzy stawiają go ponad wszystkim, maleje, ale jednocześnie ci, którzy go popierają, stają się bardziej gorliwi” – twierdzi amerykański politolog Frank Luntz. Były prezydent stworzył sobie twardą bazę wyborczą oraz znaczącą poduszkę finansową, co ma utrudnić republikanom wybranie innego kandydata w prawyborach na prezydenta. Według Luntza polityczna przyszłość byłego prezydenta będzie zależała w dużej mierze od

przebiegu wyborów uzupełniających do Kongresu. Od tego, ilu popieranych przez niego kandydatów rzeczywiście wystartuje i czy zdobędą oni mandaty.

Ale nawet jeśli Trump się wypali jako możliwy kandydat na prezydenta, nie byłby to koniec trumpizmu w Partii Republikańskiej. Zastąpiłaby go osoba w tym samym duchu. DeSantis nie jest bynajmniej politykiem umiarkowanym. Jeśli więc demokraci mają nadzieję, że entuzjazm dla Trumpa się przez te dwa lata wypali, a republikanie wejdą na bardziej centrystyczny kurs, mogą się srogo rozczarować. Politycznego środka zresztą w amerykańskiej polityce już prawie nie ma. Demokraci nie mają w zasadzie konserwatywnego skrzydła, tylko kilku senatorów, jak Joe Manchin, a republikanie

Trump stworzył sobie twardą bazę wyborczą oraz znaczącą poduszkę finansową, co ma utrudnić republikanom wybranie innego kandydata w prawyborach na prezydenta

mają ruch o nazwie Never Trump (Nigdy Trump), rozbitý i wewnętrznie skłócony. Powstał także Republican Accountability Project – organizacja, która postawiła sobie za cel rozliczenie „antydemokratycznych republikanów” i pozbycie się Trumpa, by „zbudować partię od nowa”. Ale to mniejszości bez większego znaczenia. Centrowi republikanie to ginąca rasa w partii, większość tych, którzy uważają byłego prezydenta za zagrożenie dla demokracji, zwyczajnie przerzuciła swoje polityczne sympatie bezpośrednio na demokratów. Kilku antytrumpowych republikanów wyraziło irytację lewicowym skrzydłem Partii Demokratycznej, które ich zdaniem źle rozumie moment polityczny i promuje tak idiotyczne pomysły, jak odebranie funduszy policji. Biden stał się ich zdaniem niewolnikiem postępów, a to tylko wzmacnia Trumpa. Wezwali demokratów do powrotu na drogę

środką, która zapewniła im Białą Dom w 2020 r. Obawiają się oni, że umiarkowani zwolennicy republikanów, którzy głosowali na Bidena zeszłej jesieni, w swym rozczarowaniu w listopadzie wybiorą ludzi Trumpa do Senatu i Izby Reprezentantów. Demokraci tymczasem oscylują między nadzieją, że zamiast popieranych przez byłego prezydenta kandydatów do Kongresu dostaną się nowe, świeże twarze z Partii Republikańskiej, niezwiązane z nim i bardziej skore do współpracy, a przekonaniem, że przewagę demokratów w obu izbach, nawet jeśli niewielką, da się jakoś utrzymać. Tak długo, aż opadnie protrupowy zapal w Partii Republikańskiej.

Ale także zwolennicy Trumpa się martwią, czy jego radykalizm nie odstraszy bardziej umiarkowanych wyborców, tych, którzy oscylują między republikanami a demokratami. Może i nie mają już politycznego środka w Ameryce, ale jest całkiem sporo niezdecydowanych wyborców. Do nich mogą nie trafić hasła o tym, że demokraci zamieniają USA w „drugą Wenezuelę”, a „szturm na Kapitol zorganizowało FBI”. Mimo wątpliwości Partia Republikańska jest – przynajmniej na razie – skazana na Trumpa. Wybory z listopada 2020 r. były dawno temu. A dziś króluje rozczarowanie Bidenem. W hrabstwie Maricopa w Arizonie, gdzie wielu zwolenników republikanów głosowało na Bidena ze względu na „toksyczność” byłego prezydenta, dziś znów gotowi są poprzeć Trumpa. Może Trump i jest toksyczny, ale Biden jest jeszcze gorszy. „Teflonowy Don”, jak nazywają mieszkańcy hrabstwa byłego prezydenta, ich zdaniem i tak powróci do Białego Domu. Nie może być inaczej. Biden to w końcu zdezorientowany starzec, a innych potencjalnych kandydatów Partii Demokratycznej na razie nie widać na horyzoncie. Duetu Biden–Harris żaden z nich nie chce widzieć ponownie w 2024 r. Tymczasem Biden właśnie ogłosił, że będzie się ubiegał o reelekcję, razem ze swoją wiceprezydent, a możliwość startu Trumpa tylko zwiększyła jego determinację. Wygląda więc na to, że rok 2024 będzie stanowił déjà vu roku 2020. Tyle że pozycja wyjściowa Bidena tym razem będzie o wiele słabsza. 

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

K

ULTURY

Czy jako słynny „mały Belg” z najnowszego filmu „Śmierć na Nilu”, czy jako reżyser nagrodzonego Złotym Globem „Belfastu”, Kenneth Branagh nie wtapia się w rolę. Buduje poprzez nie siebie. Ze słynnej kwestii Hamleta od lat wybiera niezmiennie „być”

Od Nilu po Belfast

Fot. DPrze/Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Do polskich kin wpływa właśnie luksusowy statek rzeczny. Nawigowany sprawną ręką Branagha, świetnie odnajdującego się w kostiumowych realiach. W podróż po Nilu – zgodnie z wytycznymi autorki Agathy Christie – reżyser zabiera m.in. młodą parę, której radość miodowego miesiąca zakłóca zbrodnia. W poszukiwaniu mordercy angażuje się słynny detektyw Hercule Poirot.

Określenie „mały Belg” co prawda nie bardzo pasuje do głównej postaci, w którą wciela się Branagh, ale akurat ten aktor zdążył już przyzwyczaić widzów, że w każdej z granych przez siebie ról wyraźnie zaznacza siebie. Wie, co znaczy „być”. Na scenie, na ekranie, za kamerą.

Ktoś powie, że najlepszym odtwórcą Poirota jest David Suchet (który wcielał się w słynnego detektywa 70 razy). Już cztery lata temu, przy okazji filmu „Morderstwo w Orient Expressie”, Branagh postanowił się zmierzyć i ze sławą ulubionego bohatera Agathy Christie, i z sympatią widzów do wcześniejszych odtwórców roli. Zamiast wchodzić w wykreowaną przez innych postać,



„Belfast”

dostosował ją do siebie i wprowadził w ekskluzywne filmowe realia. Jako człowiek wciąż ceniony w Hollywood dysponował środkami pozwalającymi na produkcyjny rozmach.

BO DO MNIE PRZEMAWIA

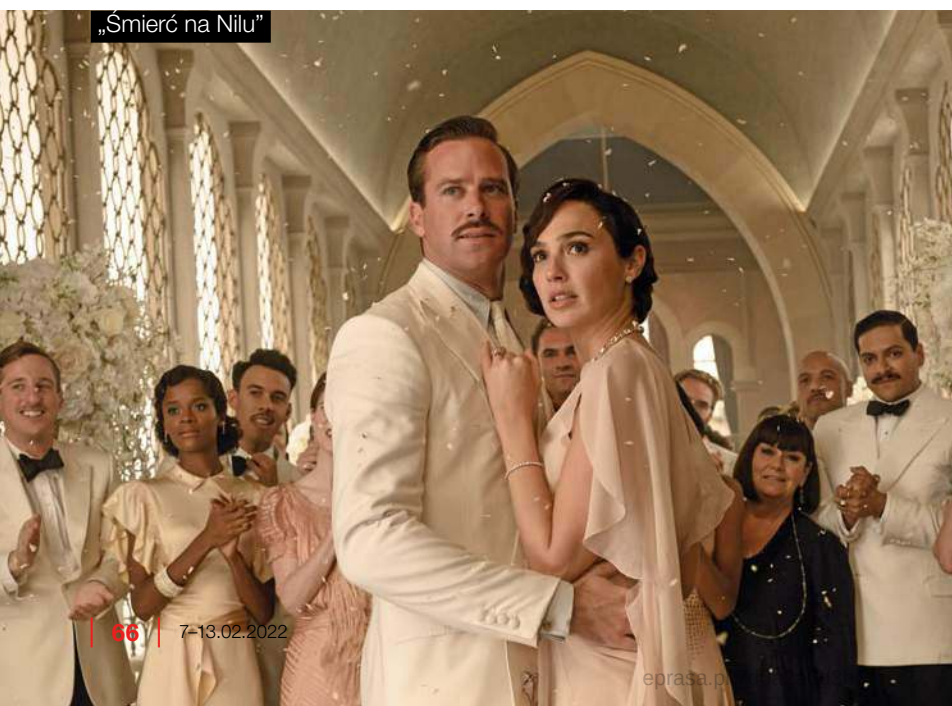
Branagh wydaje się nie obawiać konfrontacji ani z literackim materiałem, ani przyzwyczajeniami odbiorców. Od 2008 do 2016 r. wcielał się w Kurta Wallandera, bohatera bestsellerowych kryminałów Henninga Mankella. Rywalizował z aktorami, którzy wcześniej grali słynnego policjanta (było ich w sumie czterech), przede wszystkim ze Szwedem Kristerem Henrikssonem. Był też producentem serii.

Przed wszystkim jednak, i to od dekad, Branagh znany jest jako interpretator i propagator utworów Szekspira. To jego największa artystyczna pasja. Pytany kilka lat temu, dlaczego mimo niosącej różnorodność wyzwania filmowej kariery pozostaje pod wpływem Szekspira, odpowiadał: „Bo do mnie przemawia. Kiedy zaczynam nad nim pracować, czuję, jakbym wracał do wielkiego utworu muzycznego. To dramat poetycki, więc za każdym razem, gdy go słyszysz, oddziałuje na ciebie w inny, zwykle pełniejszy, sposób”.

PRAWDA O SZEKSPIRZE

Miał 23 lata, gdy został najmłodszym aktorem w Royal Shakespeare Company, który zagrał rolę tytułową w „Henryku V”. Potem przenosił szekspirowskie dramaty na ekran. Był w nich zarówno gwiazdą, jak i reżyserem. Międzynarodową sławę przyniosła mu w roku 1989 filmowa wersja „Henryka V” (dostał za nią nominację do Oscara w kategoriach reżyseria i najlepszy aktor). Cztery lata później przeniósł na ekran „Wiele hałasu o nic”, równocześnie obsadzając się u boku Denzela Washingtona, Keanu Reevesa, Michaela Keatona i Emmy Thompson (wtedy już jego żony).

W 1996 r., w czterogodzinnej wersji „Hamleta”, którą wyreżyserował i w której zagrał tytułową postać, wypowiedział słynne „Być albo nie być”. Partnerowali mu m.in. Julie Christie, Judi Dench i Richard Attenborough. Ofelię zagrała Kate Winslet (tuż przed wejściem na pokład



Fot. mat. prasowe

„Śmierć na Nilu”

„Titanica”). „Hamlet” otrzymał cztery nominacje do Oscara. W nowym tysiącleciu Branagh wyreżyserował muzyczną wersję „Straconych zachodów miłości” (2000, z Alicią Silverstone), a także romantyczną odsłonę „Jak wam się podoba” (2006). W 2018 r. opowiedział widzom „Całą prawdę o Szekspirze”.

CZAS W HOLLYWOOD

Jako reżyser realizował potem dla amerykańskiej fabryki snów filmy w innej niż szekspirowska stylistyce. W 2011 r. przywołał na ekran nordyckiego boga „Thora”, trzy lata później nakręcił „Jacka Ryana: Teorię chaosu”, by dotrzeć m.in. do „Kopciuszka” (2015). W tym ostatnim filmie jako wróżka chrzestna pojawiła się Helena Bonham Carter, swego czasu kobieta fatalna dla związku Branagha i Emmy Thompson. Wkroczyła w życie aktorskiej pary na planie „Frankensteina” (1994) – wysokobudżetowej produkcji z Robertem De Niro w roli tytułowej, gdzie Kenneth był reżyserem i aktorem.

W hollywoodzkich produkcjach, których nie reżyserował, Branagh pojawiał się raczej w drugim planie. Ale postacie grał charakterystyczne. Nie odmówił udziału m.in. w „Celebrity” Woody’ego Allena (1998), gdzie parodiował samego siebie, czy profesora Lockharta w „Harrym Potterze i komnacie tajemnic” (2002).

Jako Laurence Olivier w „Moim tygodniu z Marilyn” (2011), zdobył drugą nominację do Oscara za aktorstwo. W 2020 r. premierę miał wyreżyserowany przez niego „Artemis Fowl” – film przygodowy rozgrywający się w fantastycznym świecie, a zrealizowany na podstawie bestsellerowej powieści dla młodych czytelników. Rok później bohaterem kolejnej produkcji stał się dziewięciolatek, a także miasto, które chłopiec musiał opuścić.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Określany mianem cudownego dziecka brytyjskiej sceny Branagh urodził się w Irlandii 10 grudnia 1960 r. Dziewięć

lat później opuścił z bliskimi rodzinne miasto, uciekając przed narastającym konfliktem. Do kraju dzieciństwa powrócił, realizując „Belfast” (polska premiera 25 lutego). To jego najbardziej osobisty film w karierze (jest jego scenarzystą i reżyserem).

Akcja rozgrywa się w sierpniu 1969 r. Tytułowe miasto zamienia się w strefę wojny między dwiema frakcjami o kwestię przynależności Irlandii Północnej do Wielkiej Brytanii. Jak zapowiada dystrybutor: „Wydarzenia przedstawione są z perspektywy trzypokoleniowej protestanckiej rodziny wynajmującej dom na jednym z miejskich osiedli, a zwłaszcza przez pryzmat wyobraźni dziewięcioletniego Buddy’ego, który nie bardzo wie, z jakiego powodu jego sąsiedzi z dnia na dzień zamienili się w krzyczący tłum podpalający okoliczne domy”.

„Belfast” otrzymał siedem nominacji do Złotego Globu 2022. Zdobył jedną statuetkę – za najlepszy scenariusz. Wciąż uważany jest za oscarowego faworyta. 

Zwycięzca wraca z Chopinem

Tylko szczęśliwcy dostaną się na recitale kanadyjskiego pianisty Bruce’a Liu i 2 marca w Filharmonii Narodowej, z okazji 212. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Bilety rozchwymano w kilka minut! Ale nagrań rewelacyjnego triumfatora XVIII Konkursu Chopinowskiego można słuchać już teraz, na jego wyczekiwanej płycie wydanej właśnie przez NIFC.

Album Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina przynosi zarejestrowane podczas ubiegłorocznego konkursu błyskotliwe interpretacje Ballady F-dur, Ronda à la Mazur, Sonaty b-moll oraz Koncertu e-moll, wykonanego przez artystę w finale z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej Filharmonii Narodowej pod batutą Andrzeja Borejki. Ten repertuar wraz z utworami, które już w listopadzie 2021 r. wyszły na kompaktach Deutsche Grammophon, dokumentuje przebieg imponującej drogi Bruce’a (Xiaoyu) Liu po zwycięstwo.

Na marcowych koncertach znajdą się utwory z obu tych płyt: Nokturn cis-moll, Rondo à la Mazur, Ballady F-dur i As-dur,

Sonata b-moll, wreszcie Andante spianato i Wielki polonez brillante Es-dur. Jest to więc program wyłącznie chopinowski, ciekawie będzie w przyszłości posłuchać młodego wirtuoza w innym repertuarze. Wiadomo, że w palecie jego wykonani są m.in. Bach, Beethoven, Rameau, Debussy, Ravel, Satie,

Rachmaninow, Prokofiew.

Zwycięstwo w Warszawie podniosło światowe notowania 24-letniego Kanadyjczyka o chińskich korzeniach. Zaraz po XVIII Konkursie ruszył w długą chopinowską turę koncertową po Europie, Azji, Ameryce.

Inaczej niż pokolenia jego poprzedników, żyjących w muzycznej klauzurze, on w wolnych chwilach z zapalem pływa, tańczy, jeździ na gokartach. Po jesienno-wiosennym koncercie w Poznaniu ścigał się towarzysko na torze z czołowym polskim kierowcą gokartów Kacprem Nadolskim. Po takim relaksie z nową energią i koncentracją siada do fortepianu. 



**Adam
Ciesielski**



Bruce (Xiaoyu) Liu
„Chopin: Ballada F-dur, Rondo à la Mazur, Sonata b-moll, Koncert fortepianowy e-moll”
Wyd. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Susharnia i feng shui

Sushi, starbunio, barista, barber, sojowe latte; znaj wszystkich, których znać należy, nic nie musisz tworzyć, wiedz tylko to, o czym pisze się w modnych magazynach. Przez modę wyrażaj siebie. Czyli: bądź postacią odbitą ze sztancy, wyglądaj jak miliony. Trudno mi zrozumieć człowieka, który zrobi wszystko, żeby upodobnić się do innych.

Moda wpływa na sposób myślenia współczesnych konsumentów popkultury mocniej od szkoły, nie mówiąc o religii. Ostatnimi czasy bardzo modne stały się wszelkie nowinki orientalne.

„Feng shui może być pomocne w znalezieniu życiowego partnera, uzyskaniu bogactwa, znalezienia lepszej pracy, zrobieniu kariery zawodowej, powrocie do zdrowia, lepszego przyswajania wiedzy, nauczania, tworzeniu harmonijnego związku, rozwoju kreatywności, odniesienia sukcesu w każdej dziedzinie życia”. Niezłe obietnice, prawda?

Feng shui od czterech tysięcy lat znane jest w Chinach. Początkowo było mądrością mającą zapewnić optymalne ustawienie pieca w wiejskiej chacie. Od lat 50. popularność feng shui rosła wśród wykształconych na Zachodzie Chińczyków mieszkających w chińskich dzielnicach USA, Australii, Wielkiej Brytanii, w Singapurze, Wietnamie i Malezji. Z gett feng shui wydostało się dzięki rewolucji młodzieżowej 1968 r. A w ostatnich kilku dekadach zainteresowanie feng shui wykroczyło poza środowiska New Age. Również w Polsce.

Feng shui jest sztuką kształtowania środowiska człowieka opartą na wierze w możliwość wpływania na jego los poprzez manipulowanie przedmiotami i przestrzenią. I tak np. feng shui grobu rodzica może powodować nieszczęścia spadające na potomka, więc przebu-

dowując otoczenie miejsca pochówku, trzeba uważać, gdyż „yin feng shui ma ogromną moc – możesz pogorszyć sprawę, a wpłynie to również na feng shui twojego rodzeństwa”.

Hasło feng shui wpisane do przeglądarki internetowej przynosi prawie dwa miliardy odnośników, 25 razy więcej od hasła astrologia i 10 tys. razy więcej od rodzimej odmiany irracjonalizmu – radiestezji. W sieci mamy setki ogłoszeń o świadczeniu usług w tej dziedzinie, a zatrudnienie konsultanta feng shui do sporządzenia ekspertyzy na temat nieruchomości stało się w dużych miastach modne. Rozbawiła mnie sytuacja, którą opisała Małgorzata Rozkwitalska w artykule naukowym zatytułowanym „Bariera w zarządzaniu międzykulturowym”. Otóż przygotowywane w Polsce kalendarze firmowe zostały odrzucone przez jednego z wietnamskich inwestorów, ponieważ nie uwzględniały zasad feng shui.

Posługiwanie się czasami nadzwyczaj skomplikowanymi narzędziami, takimi jak siatka bagua, ma tworzyć pozory naukowości feng shui. Jednak nie ma ono nic wspólnego z nauką, ponieważ różne jej szkoły dają całkowicie sprzeczne zalecenia dla rozwiązania tego samego problemu. Feng shui oparte jest ponadto na wierze w istnienie „energii chi”, której jednak nie rejestrują najczulsze dzisiejsze przyrządy pomiarowe.

Diagnozy i zalecenia ekspertów feng shui to połączenie porad zdroworozsądkowych i absurdałnych. Feng shui sprawia wrażenie skomplikowanego systemu wiedzy, jednak nim nie jest, gdyż wymaga wiary. Trzeba bowiem porzucić racjonalizm, by uwierzyć, że „dzwonek wietrzny o pięciu rurekach przynosi pecha”. Taki sam bowiem dzwonek o sześciu rurekach ma zapewniać szczęście. A pieniądze? „Zakopanie pudełka



ROBERT TEKIELI

z pieniędzmi na zachodzie lub północnym zachodzie ma niezwykłą moc i jest wyjątkowo korzystne dla całego domu, szczególnie jeśli usypimy na nich kopczyk”. Pinokio przewraca się w grobie.

Zawijazywanie na przegubie czerwonej wstążki, odwracanie luster, zatrzymywanie zegara w domu zmarłego – irracjonalne zachowania dające złudzenie wpływu na rzeczywistość, uspokajające człowieka w obliczu nieodwracalnego, wobec czego jesteśmy całkowicie bezsilni, wielokrotnie było opisywane przez antropologów. Łatwo więc mogą zrozumieć, dlaczego cztery tysiące lat temu chiński chłop, pozbawiony prawie zupełnie cywilizacyjnej tarczy, bezradny wobec sił natury próbował zdobyć poczucie kontroli swojego losu poprzez irracjonalne wierzenia. Lecz czemu tak pogubione są dziś osoby wykształcone?

Być może wiara w gusła i zabobony jest elementem współczesnej degradacji kulturowej. Pozbawiony transcendentnego odniesienia człowiek ma wielką skłonność do delegowania odpowiedzialności za swoje życie i swoje postęпки na zewnątrz siebie. Stało się to, co się stało, bo winna jest podświadomość, bo winne są grzechy międzypokoleniowe, bo rybki były nie z tej strony. Jesteśmy skłonni wierzyć w chińskie czy indyjskie przesady, a śmiejemy się z babcinej modlitwy na różańcu. Smutek.

Warte

Jest do bólu nieoczywisty. Używa zdrowego rozsądku, ale nie sposób zamknąć go w stereotypie konserwatysty. I świetnie. Nie lubi Trumpa, broni wielorybów i monarchii, mimo iż „system dziedziczny jest głupi”. Píše o pszczołach, dronach i chińskich turystach. Postuluje podatek od prostactwa. Bywa też zwykłym, prymitywnym antyklerykalnym burakiem. I mimo że pewnie połowa żartów Jeremy’ego Clarksona umknęła mi z powodu ich skrajnej anglosaksońskości, świetnie się bawiłem, czytając zbiór jego felietonów zatytułowany „**Czy da się to przyspieszyć?**”.

Był twarzą najlepszego programu telewizyjnego w historii. Nie – najlepszego programu motoryzacyjnego, ale najlepszego we wszystkich kategoriach wagowych. Ma globalną rozpoznawalność. Jest osobowością, cokolwiek to znaczy.

Píše o sprawach ważnych: „Kiedy nie ufamy niczemu, co widzimy i słyszymy, tracimy zdolność do odczuwania zachwyty. Nie sposób stanąć jak wryty z rozdziawionymi ustami na widok jakiejś sceny, kiedy z miejsca zakłada się, że została wygenerowana komputerowo”.

Pokazuje mechanizmy, które, np. nie pozwalają przyjąć do wiadomości, że w Kolumbii jest niewielka grupa facetów posuwających się do niewstydzających się tego. Opisuje też pokrewne zjawisko, jakim jest hipokryzja. „Muzyka klasyczna w pewnym sensie przypomina Szekspira. Każdy twierdzi, że jego sonety są genialne i stanowią podstawę naszego języka. Doprawdy? Dlaczego zatem nikt przy zdrowych zmysłach nie czyta ich od opuszczenia szkoły aż do śmierci?”.

Porusza się po krawędzi z upodobaniem. W jednym z felietonów dotyka tematu pedofilii. Oczywiście bez śladu jakiegokolwiek akceptacji, ale w sposób zaskakujący. Zadaje trudne pytania o prostytucję na Haiti. Píše o dzielnicach brytyjskich miast, w których panuje szariat, czy o ludziach o pomarańczowej skórze – i widać tu wyraźnie, że gra z cenzurą. Podobnie jak kabareciarze i dziennikarze w czasach PRL mówili coś, mrużąc oko, a odbiorcy wiedzieli, że chodzi o komunistyczne absurdy, o których jednak nie wolno głośno mówić. Oto, do czego doprowadziło niemiłościwie nam panujące liberalne wcielenie zachodniej cywilizacji. Do marksizmu wprowadzanego siłą.

Clarkson posługuje się bardzo specyficzną metodą budowania atrakcyjności frazy. O ile np. czytana przeze mnie niedawno Ursula K. Le Guin osiągała ją poprzez oksymoronizację, mechaniczne zderzanie przeciwieństw, Clarkson robi to poprzez gromadzenie zwrotów synonimicznych. Od

będących opisem świata, poprzez ekstrawaganckie, do montyptonowskich. I jego hiperbolizacje bywają prześmieszne. Clarkson jest nieoczywisty, śmieszny, z celnym piórem, bo przecież dokładnie wiemy, o czym píše, czytając: „tanie domy ze śliny i chusteczek higienicznych”.

Autor „Czy da się to przyspieszyć?” broni organizacji humanitarnych. Dlaczego? Bo się na nie rzucili lewicowi aktywiści ze skłonnością do niegolenia pach. Nie zrozumiałem co prawda, co to jest bezpenisie, ale wiem, czemu felietoniście podobają się zabawne filmiki z kotami w bębnach pralek. Clarkson zadaje proste pytania: skoro jedynie megaskomplikowane maszyny potrafią odróżnić sztuczny diament od prawdziwego, to po co wydawać dwa tysiące funtów na prawdziwy diament, skoro można wydać 600 funtów na coś, co jest również prawdziwe.

Pyta też, co sprawia, że świat nie był idealny, gdy żyły dinozaury, a teraz jest i należy dzisiejszą jego postać chronić za wszelką cenę, choć jest to wbrew naturze zmiany. Przecież Ziemia zawsze się zmieniała i będzie się zmieniać.

Clarkson jest człowiekiem, dla którego wartość jest ważniejsza od kosztu. Wie też, że nie ma takiej historii, którą trzeba opowiadać aż trzy godziny i nienawidzi korporatów. Bo przecież, píše, nikt nie wymyśla ich, żeby zaoszczędzić czas. One służą popisowi się. A używający ich to zwykli pozerzy, jak ci, którzy przybierają absurdalny francuski akcent, kiedy wypowiadają słowo „bouillabaisse”. Człowiek, który z upodobaniem píše OOO zamiast out of the office, używa języka, „który, podobnie jak polari i rymowany slang, został wymyślony w celu stworzenia bariery pomiędzy nim a wami i mną” (przypomnijmy też sowieckie: kolchoz, chlebozawod, gensek czy Rosgławstankoinstrumentsnabsbit; i znów dojdziemy do kapitalistycznego marksizmu).

Clarkson może nie ma klarowności myśli Chestertona, może nie jest samym felietonem jak Kisiel, ale życzyłbym sobie już

choćby być zestawianym z takimi mistrzami. I jestem mu zwyczajnie wdzięczny, bo pierwszy raz od dłuższego czasu czytając, śmiałem się pełnym głosem. Więc zachęcam. Ta lektura sprawi, że się pośmiejecie, ale może i skłoni kogoś do refleksji nad sobą – Clarkson obnaża bowiem nasze życie pełne udawania. Bo, przyznajmy, wędkarstwo jest tak naprawdę zajęciem dla osób, które nienawidzą swoich dzieci.

Robert Tekieli, Polskie Radio





Kino

sji, jak „Heroes for sale” (1933) Williama Wellmana czy „Upadły anioł” (1945) Otto Premingera. Znajdziemy też tutaj odniesienia do włoskiego neorealizmu. Stanton jest rozdarty między współczuciem i pogardą wobec upodłonego freaka, który za butelkę wódki odgryza na oczach zatopionych w prymitywnym voyeuryzmie widzów głowy kurczaków. Jest w tym uciekającym przed biedą i własnymi demonami człowieka tłące się dobro. Jest też maniackalna, obłędna pogon za mamoną, w której imię zrobi największe niegodziwości. American dream? Wyjątkowo zgnili i paskudny, choć pięknie oświetlony neonem.

Finałowe, pełne bólu, ale też pogodzenia się z losem spojrzenie Stanton (krwista rola Bradleya Coopera) poruszyło mnie i zahipnotyzowało. Del Toro jest wybitnym kuglarzem i wie, jak hipnotyzować. Ma w sobie coś z Orsona Wellesa, który nawet w swoich słabszych latach

Labirynt zachłanności



Ten film ma wszystko, do czego Guillermo del Toro nas przyzwyczaił. Stylowy, piękny wizualnie, plastyczny, gatunkowo eklektyczny i kinofilski. Obsadzony jest też największymi gwiazdami. Nie zawsze to się u meksykańskiego reżysera sprawdza. Czasami zostaje lśniąca i pusta skorupa („Crimson Peak. Wzgórze krwi”) albo wizualnie piękne, ale pretensjonalne ideolo („Kształt wody”). „Zaulek koszmarów” ma natomiast w sobie dziecięcą radość z „Hellboya” i poruszający empatyczny sznyt „Labiryntu Fauna”. Żaden jego film od czasu „Fauna” mnie tak nie poruszył.

Oparty na powieści Williama Lindsay Greshama z 1946 r. (z ekranizowanej rok później przez Edmunda Gouldinga) „Zaulek koszmarów” jest uniwersalną opowieścią o zbrodni i karze. Jednak zarówno zbrodnia, jak i kara są zanurzone w świecie obłędu. „U nas nikogo nie obchodzi, kim jesteś i co robisz” – słyszy Stanton Carlisle (Bradley Cooper) od starego cyrkowca Clema (Willem Dafoe). Stanton poznajemy, gdy ucieka z domu, który podpalił.

Zaciągnięcie się do kuglarskiego świata jest jego arką Noego. Arką z freakami, więzionym człowiekiem-zwierzęciem, spoglądającym na wszystko zza szklą słoika ze zdeformowanym płodem i pilnującym wszystkiego, przerażającym nie tylko jako Hellboy, Ronem Perlmanem. Stanton uczy się od pary starych cyrkowych wyjadaczy (Toni Collette, David Stratheim) wszystkich możliwych sztuczek i kuglarskich wałków. Wypływa prędko na szerokie wody, jako mentalista szuler, który widzi szansę w czasie zainteresowania zbłązowanej i bogatej amerykańskiej socjety spirytyzmem i okultyzmem. Otwierający film ogień kroczy z nim do końca tej krwawej historii, podczas której Stanton się zakocha w (dosłownie) elektrycznej Molly (Rooney Mara), napotka komiksową femme fatale (Cate Blanchett) i trafi na zepsutych do szpiku kości członków społecznej elity.

Del Toro jest filmowym erudyta. Blyskotliwie balansuje między cyrkowym horrorem wyrosłym z „Freaks” (1932) Toda Browninga, kinem noir, przemocą gore z uwielbianego kina klasy B i moralitetem zanurzonym w klasyczne opowieści ery Wielkiej Depre-

wiedział, jak porywać widza w swój pietyzm poskładany świat.

„Zaulek koszmarów” jest przepięknie sfotografowany przez Dana Laustena. Scenografia złożona z lśniących neonów, wąskich korytarzy, prywatnych posiadłości nuworyszy (kolejny wspaniały epizod Richarda Jenkinsa!) i papierosowy dym tworzący wszechobecną mgłę – chcę mieć ten film na płycie Blu-ray, by go smakować i długo przeżuwać. Nie to go czyni jednak tak wspaniałym. „Zaulek koszmarów” to opowieść o dosłownej dehumanizacji, postępującej na naszych oczach. Bez moralnego neonu. Czysty upadek,

który jest karą za wejście do labiryntu zachłanności. **///**

**„ZAULEK KOSZMARÓW”
W KINACH**



Fot. Disney

Sycylijska wykałaczką od Ficarra i Picone



Mam nadzieję, że ten serial przyczyni się w Polsce do większej popularności sycylijskiego duetu komików występujących jako Ficarra i Picone. Dwa lata temu na VOD pojawiła się ich komedia „Pewnego razu w Betlejem”, gdzie dostaliśmy próbkę humoru urodzonego w Palermo duetu, który działa razem od 1993 r. Salvatore i Valentino Picone mają w swoim dorobku znacznie większy repertuar, a teraz dostali swój własny serial na Netflixie.

Nakręcony w całości na Sycylii „Wrobieni: Zagadka sycylijskiego morderstwa” opowiada o przyjaciółch Salvo i Valentino. Pracują jako technicy od instalacji telewizji. Wiodą spokojne i dość leniwe sycylijskie życie. Valentino wciąż mieszka z włoską la mamma, gotującą mu specjały sycylijskie, z masą ricotty, choć Valentino wciąż przypomina, że ma skazę białkową. Mama wie jednak lepiej, co dobre dla synusia! Salvo jest miłośnikiem seriali kryminalnych, od których jest uzależniony tak bardzo, że zaniedbuje żonę i jednocześnie siostrę Valentina. Wszystko się zmienia, gdy zostają wezwani do zlecenia i znajdują w mieszkaniu zastrzelonego mężczyznę. Valentino dotyka pistoletu, który na dodatek wypala mu w rękę. Naspikowany wiedzą z seriali Salvo, w obawie przed oskarżeniem ich o morderstwo, chce zatrzeć ślady. Sprawę komplikuje to, że zamordowany mężczyzna okazuje się kochankiem żony Salva. Tak zaczyna się szalona komedia pomyłek z sycylijską mafią w tle.

Duet Ficarra i Picone opiera się na najlepszej tradycji commedia all'italiana, zapoczątkowanej we włoskim kinie w latach 50. XX w. Ich satyra jest podszyta farsą i groteską. Widać też wpływy sycylijskiego teatru marionetek, znanego jako Pupi, gdzie miłość miesza się z krwią, wendeta z operą, a wszystko podlane jest ludycznym jarmarcznym humorem. Istotą tradycyjnej włoskiej komedii jest też przyprowadzenie lekkiej i zabawnej historii społecznymi tematami. Ficarra i Picone robią to w każdym z sześciu półgodzinnych odcinków (szybko i przyjemnie połkniecie cały serial), gdzie znajdziemy satyrę nie tylko z cosa nostra, ale też włoskiego małżeństwa, matriarchatu, absurdu biurokracji,



Streaming

wszechobecnej korupcji czy sycylijskiej pomysłowości w walce z fiskusem.

Ficarra i Picone są komediowymi tradycjonalistami i zerkają raczej w stronę wczesnego Roberta Benigniego niż modnego dziś, łamiącego polityczną poprawność, ostrego i wulgarnego stand-upu. Ich satyra jest szlachetna i pełna empatii. Jest mądra i zupełnie pozbawiona agresji. Ficarra jest zresztą do Benigniego szalenie podobny. Ma też gestykulację i energię zdartą ze zdobywcy Oscara za „Życie jest piękne”. „Wrobieni: Zagadka sycylijskiego morderstwa” przypomina mi zresztą bardzo „Johnny’ego

Wykałaczkę” Benigniego z 1991 r. Premiera satyry z włoskiej mafii zbiegła się z apogeum wojny z cosa nostra, której ofiarami padli krótko potem niezłomni sycylijscy prokuratorzy – Giovanni Falcone i Paolo Borsellino. Film Benigniego był gigantycznym hitem kasowym, ale spotkał się z krytyką za trywializację problemu mafii. Ficarra i Picone nakręcili swój serial w czasach, gdy sycylijska cosa nostra, ale też neapolitańska camorra czy kalabryjska ‘ndrangheta zostały przemielone na drobne kawałeczki przez popkulturę, a wyglądający jak pastuchy, a nie Don Vito bossowie sycylijskiej mafii są wyciągani z lepiank, gdzie ukrywali się jak szczury przez kilka dekad. Wizerunek wszechmocnej cosa nostra jest od dawna nadszarpnięty, co też doskonale podsumował maestro Marco Bellocchio w swoim brawurowym „Zdrójcy” z 2019 r. W serialu Netflix’a jest nawet zabawna postać telewizyjnego reportera, który ubolewa, że nie ma na Sycylii wielkich wojen mafijnych i gdy uroczy duet techników zostaje wpłątany w intrygę z capo di tutti capi, czyli szefem wszystkich szefów o kuriozalnej ksywce Ojciec Święty, dziennikarz wpada w euforię. Cóż, znak czasów, choć nie zapominajmy, że świat pokazany w serialach „Gomorra” czy „Suburra” istnieje, a kalabryjskie, neapolitańskie i sycylijskie klany nadal trzęsą światem przestępczym. Wyrósł w Palermo Ficarra i Picone mają ten świat we krwi. Dlatego potrafią swoją wykałaczkę tak celnie wbić. ➤

„WROBIENI: ZAGADKA SYCYLIJSKIEGO MORDERSTWA”

DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Czy zdobędzie Moskwę?

Ponad miesiąc zajął prezesowi PZPN Cezaremu Kuleszy wybór nowego selekcjonera. W tym czasie prawie codziennie wypływały nowe nazwiska, a następnie błyskawicznie przestawały być aktualne. W niektórych przypadkach wracały i znów były na tapecie. Złośliwi żartowali, że w końcu bęben maszyny losującej zatrzymał się na nazwisku Czesław Michniewicz. I właśnie ten 52-letni szkoleniowiec usiadł na najbardziej gorącym stolku w polskim sporcie



CEZARY KOWALSKI

Futbolowa zagadka, która doskwierała Polakom od momentu słynnej rejterady Portugalczyka Paula Sousy, była rzeczywiście wydarzeniem, którym interesowaliśmy się prawie wszyscy. Z jednej strony to normalne, że przed taką nominacją zawsze jest zamieszanie, mnóstwo kalkulacji, plotek, sprzecznych informacji czy zwrotów akcji. To integralna część tego biznesu, często ciekawsza niż same mecze. Z drugiej – między wyżej wspomnianym zja-

wiskiem a farsą jest bardzo cienka linia. Niestety została ona w pewnym momencie przekroczona. Z przytupem.

NA KARUZELI

Informacje o możliwym zatrudnieniu słynnego Andrija Szewczenki pięknie obrazują całą sekwencję sytuacji *qui pro quo*, z którymi mieliśmy do czynienia. Oto ukraińskie media ogłosiły, że Szewczenko zaakceptował warunki polskiej federacji. Na tej podstawie w polskich gazetach i portalach gruchnęła informacja, że Ukraińcy już dowiedzieli się u źródła, że „Szewa” przejmie polską kadrę. Sęk w tym, że Ukraińcy podali to po informacji jednego z polskich dziennikarzy, bo sami nie mają żadnej wiedzy na ten temat.

To zjawisko spotykane od lat w mediach zajmujących się polityką czy biznesem. W polskim medium polski dziennikarz przedstawia swój punkt widzenia i jest, powiedzmy, oburzony jakąś decyzją czy zjawiskiem nad Wisłą. Cytuje go wpływowy tytuł zagraniczny, a następnie czytamy już w lokalnych portalach: „Washington Post» oburzony sytuacją w Polsce”. Taki medialny bumerang.

Albo informacja, która wypłynęła z samego PZPN, według której Adam Nawalka już rozpoczął pracę z reprezentacją. Choć nie podpisał kontraktu, to miał kompletować skład współpracowników, zajmować się logistyką. Dzieleno stanowiska, dziennikarze chwalili się tajemną wiedzą na temat wysokości kontraktu starego-nowego selekcjonera. „Przegląd Sportowy” przygotował okładkę ze zdjęciem Nawalki i tytułem „Wielki powrót”. Owszem, Kulesza przedstawił Nawalcę warunki, narobił nadziei, ale ewidentnie traktował go jako ewentualne zło konieczne. Jeśli już naprawdę nie wyjdzie z nikim innym, to się podpisze i cześć.

Kandydatura Marcela Kollera była uznawana za rodzaj zasłony dymnej czy też straszaka dla mającego spore wymagania Nawalki, a okazało się, że był on najbliższym zatrudnienia, jednak Szwajcar odmówił i nie podpisał gotowego kontraktu.

Fabio Cannavaro trafił do Warszawy przez menedżera Roberta Lewandowskiego Pinięgo Zahaviego. Tylko po to, aby komuś tam na swoim rynku zademonstrować, że chce go do polskiej reprezentacji. Słynny Andrea Pirlo dzwonił i liczył, że ktoś z Polski oddzwoni. Nie oddzwonił.

Prezes Cezary Kulesza rozmawiał też z całym zastępem polskich trenerów tzw. klasy średniej ligowej. Ale tak naprawdę nie było wiadomo, czy się z nimi spotykał, czy tylko łapał kontakt przez telefon. Ilu dziennikarzy mających swoje „źródła zbliżone do PZPN”, tyle było informacji. Sami zainteresowani nie byli skłonni do ujawniania rozmów z szefem PZPN, bo doskonale wiedzieli, że „Gary” (pseudonim Kuleszy z dawnych czasów) nie lubi, jak ktoś jest nieojalny i zbyt wiele papla.

Zgodnie z kanonami politycznej rozgrywki nowi ludzie z PZPN potrafili czasem puścić coś na lewo, czyli celowo dać zaufanemu fejkową informację, aby zmylić trop lub też sprawdzić szczelność rozmówcy. Konspirowano na całego, podpucha gonila podpuchę.

Podobno dla uprawdopodobnienia kandydatury trenera Górnika Zabrze Jana Urbana śląski działacz, który wpłynął mocno na zwycięstwo obecnej opcji w związku, zaproponował na asystenta selekcjonera kogoś kojarzącego się mocno z regionem. Padło na... Łukasza Podolskiego. A najlepiej byłoby, aby umieścić w sztabie trzech. Wpływowi Ślązak dorzucił jeszcze Jerzego Dudka z Knurowa i Łukasza Piszczka z Goczałkowic-Zdroju. Jeśli nie uda się zaparkować ich u Urbana, to przecież można także u Nawalki albo Szewczenki.

Prezes kluczył, mylił tropy i faktycznie sam trzymał język za zębami. Nawet najbliżsi współpracownicy nie mieli tak naprawdę pojęcia, co ani kto chodzi mu po głowie. Jeden z nich zaklinał się, że szef gościł w Londynie, aby dogrywać ostatnie szczegóły kontraktu z Szewczenką. W tym samym czasie widziany był też ponoć w Turcji, jak podpisywał umowę z Urbanem... Delikatnie ujmując, kabaret.

A teraz odpowiedź, dlaczego ten spektakl skończył się tak, jak się skończył?



PRZESZŁOŚĆ WRACA

Zastrzeżenia budzi jednak sposób, w jaki do tego wyboru doprowadzono, jak potraktowano zasłużonego przecież Nawalkę i także sama prezentacja selekcjonera na Stadionie Narodowym, która w pewnym momencie przerodziła się w pyskówkę. Wiadomo było, że Michniewicz ma bardzo wielu przeciwników i wytyka mu się kontakty ze słynnym „Fryzjerem”, dawnym działaczem Amiki Wronki, uważanym za szefa mafii piłkarskiej. Poprzednik Kuleszy Zbigniew Boniek, zatrudniając Michniewicza jako trenera młodzieżówki, potrafił rozbroić bombę, na samym początku oświadcza-
jąc, że złożył wizytę we wrocławskiej prokuraturze, wszystko dokładnie sprawdził i ma potwierdzenie na piśmie „że pan Michniewicz nigdy nie miał postawio-
nych żadnych zarzutów”. A zatem jest czysty i może pracować w PZPN.

Kulesza puścił to na żywioł. I się boleś-
nie sparzył. „Jak to jest prowadzić drużynę w ustawionym meczu i czy ta umiejętność przyda się panu podczas meczu z Rosją” – zagalił reporter TVN. Michniewicz nie wytrzymał i zagroził, że spotka się z nim w sądzie. Prezes też był wyjątkowo spięty, próbując zamknąć temat i skupić uwagę na „misji Rosja”. Ale mimo naprawdę dobrych merytorycznie wypowiedzi selekcjonera na tematy sportowe niesmak po całości wydarzenia pozostał. To nie był dobry początek. Ma zresztą ciąg dalszy. I wielu mediach trwają grillowanie trenera za historie sprzed 20 lat. Co ciekawe, biorąc udział ludzie polskiej piłki, którzy w tamtych czasach też nimi byli i wobec których też jest sporo wątpliwości, choć jak Michniewicz, zarzutów nie mają.

Jak to w polityce bywa, porobiły się też frakcje. Ta, która murem stała za Nawalką, dziś, co zrozumiale, znęca się nad Michniewiczem. I vice versa. W mediach społecznościowych trwa prawdziwa naparanka i gdzieś umyka to, o co w tym wszystkim chodzi, czyli Rosja.

Jeszcze parę lat temu można było śmiało mówić, że jedyną sprawą będącą w stanie choć na moment połączyć wszystkich Polaków jest piłka nożna. Dziś mam co do tego wątpliwości.

Ale jeśli pan Czesław znów wygra w Moskwie...

Autor jest komentatorem Polsat Sport

W skrócie: prezes Kulesza chciał kogoś spektakularnego, z wyższej półki. Długo próbował, ale mu nie wyszło. Wrócił więc do opcji swojej.

Kulesza naprawdę marzył o Szewczenko, ale nie ma wątpliwości, że na przeszkodzie stanęła... Rosja. Kto zna życiorys najbardziej zasłużonego piłkarza w historii Ukrainy, wie, że trudno byłoby mu wpisać się w plan, którego hasłem jest „misja Rosja”, czyli ogrania tej właśnie reprezentacji w Moskwie w walce o awans na mundial.

Andrij, syn radzieckiego wojskowego, nigdy nie krył swoich sympatii prorosyjskich, jego pierwszym językiem jest rosyjski, był twarzą partii kampanii wspierającej dawnego prorosyjskiego prezydenta Janukowycza. Jego przyjacielem jest rosyjski oligarcha Roman Abramowicz. Znajomy Władimira Putina ściągnął kiedyś Szewczenkę do Chelsea i Andrij żyje w Londynie do dziś.

Twierdzenie, że to tylko sport i że nie ma nic wspólnego z polityką, jest skrajną naiwnością. Otóż ma i to bardzo wiele, przede wszystkim z powodu zależności finansowych, ale to temat na dłuższe rozważanie. Reasumując ten wątek: gdyby nie kluczowy mecz z Rosją, szanse na zatrudnienie Szewczenki byłyby dużo większe.

DLACZEGO MICHNIEWICZ

A dlaczego Kulesza zdecydował się na Michniewicza, a nie Nawalkę, którego domagali się piłkarze, media głównego nurtu i duża część opinii publicznej? No właśnie dlatego, że mu tego kandydata

tak usilnie wciskano. Kulesza jest indywidualistą, lubi zaskakiwać, ma ambicje, aby samemu decydować, nie kopiować, nie ulegać wpływom. Zagrać *va banque* albo pod prąd. Mało kto liczył, że wybierze Michniewicza, bo już go kiedyś jako prezes Jagiellonii zatrudniał i panowie rozstali się w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach.

Mówiąc wprost: nie lubią się. Kulesza z jednej strony chciał zaskoczyć, z drugiej autentycznie zaimponowało mu merytoryczne przygotowanie Michniewicza. Miał on rozebraną reprezentację Rosji na czynniki pierwsze. Niedawno w roli trenera Legii sensacyjnie pokonał Spartaka Moskwa w Lidze Europy, w którym wielu reprezentantów Rosji występuje. Ogrywał także rosyjską młodzieżówkę, kiedy był selekcjonerem polskiej U-21.

Michniewicz, urodzony na Białorusi, zawsze był rusofilem (chętnie czyta i cytuje Dostojewskiego), mówi perfekcyjnie po rosyjsku i nigdy nie ukrywał, że jego zawodowym marzeniem poza reprezentacją Polski jest praca w bogatym rosyjskim klubie. Wschodni futbol to jego konik.

Były trener Legii (wciąż miał ważny kontrakt z warszawskim klubem i pobierał comiesięczną pensję 150 tys. zł) zyczajnie przekonał Kuleszę, że „wie, jak pokonać Ruskich”. Najwybitniejszy żyjący polski trener Antoni Piechniczek, który otwarcie wspierał kandydaturę Nawalki, przyznał, że pomysł z Michniewiczem jest dużo lepszy niż ładowanie milionów w Szewczenkę, który przecież też żadnej gwarancji nie daje.



Z widokiem na Szczeliniec

Tę historię można opowiedzieć na kilka sposobów. Na przykład idąc tropem malowniczych plenerów, w jakie wpisany został film „Miłość jest blisko” (już w kinach). Romantyczna opowieść wiję się tu – także dosłownie – wieloma ścieżkami, drogami i szlakami. Spora część z nich prowadzi w rejony, które zainspirowały nawet hollywoodzkich filmowców (wodospad Kamieńczyk i labirynt Błędne Skały zachwyciły twórców „Opowieści z Narnii...”, zarówno części „Lew, czarownica i stara szafa”, (2005), jak i „Księżę Kaspian”, (2008).

Polska ekipa nie poszła jednak ich śladem. Wybrała w Górach Stołowych własne plenery i musiała być nimi mocno oczarowana, bo zajmują wyjątkowo dużo miejsca w ekranowej historii o miłości, którą opowiedziano – co też nieczęste – z perspektywy mężczyzny. Wiecznego Piotrusia Pana, który postanawia w końcu dorosnąć.

Adam i Natalia znajdują się od dziecka, są sąsiadami i najbliższymi przyjaciółmi (mieszkają nawet w jednym domu, tyle że podzielonym na dwie niezależne przestrzenie), ale nigdy nie byli parą. Mimo różnych perturbacji żadne z nich nie zdecydowało się opuścić miejsca, w którym się wychowali. Również swoje dorosłe życie związali z urokliwym miasteczkiem.

Reżyser Radosław Dunaszewski wspomina: – Kiedy czytałem scenariusz po raz pierwszy, byłem akurat w Wiązowie i, mając przed sobą widok na Ślężę, przeczytałem zdanie: „Rynek małego miasteczka na Dolnym Śląsku z widokiem na Szczeliniec”. Byłem w samym sercu tego magicznego regionu i już wtedy nie miałem wątpliwości, gdzie powstanie mój film. Nowa Ruda okazała się idealna, bo łączy w sobie bajkową architekturę z przyrodą, historyczny ratusz na pochyłym rynku z zapierającymi dech widokami na Szczeliniec.

Ten najwyższy szczyt w Górach Stołowych jest jedną z największych atrakcji turystycznych Sudetów – z rezerwatem krajobrazowym i tarasami widokowymi z panoramą Sudetów. Najwyższym punktem jest Fotel Pradziada. To tam, w dość niezwykłych okolicznościach, trafia Adam, by z zupełnie nowej perspektywy spojrzeć na swoje uczuciowe wybory.

Dunaszewski dodaje: – Autor zdjęć do filmu, Mateusz Skalski, znalazł świetne plenery Dolnego Śląska, bo zdarzyło mu się kręcić tu wcześniej reklamy. Ja również czułem się jak u siebie, bo jako kolarz amator jeździłem tam nieraz na rowerze.

Okolice więc były piękne, a mieszkańcy okazali się niezwykle przy-

chylni. Cieszyli się, że u nich kręcimy film, a wielu z nich statystowało w scenach Święta Bezy na rynku Nowej Rudy.

Magia kina sprawiła, że w wymarzoną malowniczą scenerię wpisany został wspólny dom Adama i Natalii. – To również metafora niedostrzeganego uczucia, które jest na wyciągnięcie ręki. Dom jest stary, ale zbudowany na mocnych fundamentach z malowniczym ogrodem. To genius loci, opiekuńczy duch, który zapewnia szczęście i bezpieczeństwo – komentuje Dunaszewski.

Dom musiał być magiczny, dziwny, łatwy do podzielenia na dwa mieszkania i pasujący architektonicznie do rynku w Nowej Rudzie. Wybór padł na willę... pod Warszawą.

– Nie mieliśmy obiektu aż do samego początku zdjęć – wspomina reżyser. – Szczęście jednak i tym razem mnie nie opuściło. Mieszkam w Konstancinie i podczas spaceru stanął przede mną dom idealny. To było to: okazały, ale trochę zaniedbany, jakby odziedziczony po rodzicach filmowych bohaterów. Mieszkał tam słynny piłkarz Roman Kosecki i wystawił go wówczas na sprzedaż. To nas uratowało. Gmach, jak z rynku w Nowej Rudzie!

Jolanta Gajda-Zadworna

SŁODKO-SŁONY

Kukurydziane naleśniki

ANNA MONICKA



Młoda kukurydza – kiedy pojawia się na straganie, wiem, że jest już lato. Czekam na nią jak na groszek czy bób, bo puszkowana czy pasteryzowana w słoikach nie jest tak smaczna i soczysta. Próbuje się ją najeść na zapas, choć to oczywiście niemożliwe. Ugotowana na parze, posypana wiórkami masła, zastępuje w upały cały obiad. Zmiksowana z bulionem warzywnym, doprawiona mleczkiem kokosowym

i posypana świeżo posiekaną kolendrą także długo pozostaje w pamięci. Jest bardzo sycająca, chociaż nie obciąża żołądka. Zazdroszczę Meksykanom, że jest ich narodowym warzywem, bo naszym ziemniakom trudno się z nią równać.

Wytwarzana z niej mąka jest także pyszna – żółta i słodka. Kiedy się okazało, że córka musi ograniczyć gluten, kupiłam ją i zaczęłam eksperymentować. Okazało się np., że wychodzą z niej przepyszne lane kluski z koperkiem. Dwie łyżki na jedno jajko, porządnie ukręcone, a ciasto wylane na wrzątek doprawiony curry i masłem. Trzy minuty i rozgrzewające śniadanie gotowe.

Z takiego samego ciasta, doprawionego solą i mieloną słodką papryką można też zrobić naleśnik przypominający nieco tortillę (klasyczną wyrabia się tylko z mąki kukurydzianej masa harina i ciepłej wody). Smakuje wybornie, zwłaszcza gdy w jeszcze ciepły zawiniecie rękole, mięszsz z pomidorów, malutkie pokrojone mozzarellki i strzępki porządnej szynki. Gdy córka zje taką roladę na śniadanie, mam pewność, że przez kilka godzin nie będzie miała ochoty sięgać po słodycze.

Można oczywiście znaleźć tradycyjne meksykańskie przepisy na rozmaite placki, ale ten, wymyślony na poczekaniu – bo zrobiłam za dużo ciasta na lane kluski – sprawdził się świetnie.

Mieszanka mąki kukurydzianej i jajka jest dość gęsta, warto więc dolać nieco gorącej wody i dokładnie roztrzepać – ponieważ lubimy omlety i jajecznice, mam do tego różgę do ubijania z elastycznymi stalowymi wrzecionami; urządzenie proste i skuteczne, które nie przepuści żadnej grudce.

Ciasto wylewa się cienką warstwą na posmarowaną olejem patelnię i smaży z obu stron tak długo, aż zacznie się przyrumieniać. Potem tylko faserujemy i gotowe. 



WILCZYM OKIEM

Jambalaya

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Każdy, kto oglądał „Forresta Gump’a”, wie, że lista dań, jakie można zrobić z krewetek, jest niezmiernie długa. Ponieważ w filmie recytowanie tej listy, trwające w czasie rzeczywistym wiele godzin, zostało skrócone, widz nie ma okazji usłyszeć o potrawie prostej, lecz wyjątkowej, będącej unikatową fuzją kultur, produktów spożywczych i zupełnie odrębnych porządków przyrodniczych.

Forrest Gump oraz jego przyjaciel – specjalista od krewetek Benjamin Bufford-Blue, czyli Bubba – pochodzili z Alabamy. Potrawa, o której mowa, wywodzi się z tego samego rejonu, a mianowicie z pobliskiej Luizjany. Jest nią jambalaya.

Trudno o stworzenie dziwniejszego połączenia, które w pierwszej chwili wydaje się szokujące: krewetki i kielbasa – tradycyjna polska kielbasa.

Stosując ogólne porównania, jambalayę można opisać jako rodzaj risotto. Podstawowymi składnikami potrawy bowiem są: ryż, pomidory, oliwa potrzebna do podsmażenia, a także krewetki złowione w przybrzeżnych, bogatych w życie biologiczne wodach Zatoki Meksykańskiej i kielbasa. Pierwotnie przez krótki czas kielbasą tą była francuska *andouille*, słusznie została jednak wyparta przez nieporównanie smaczniejszą tradycyjną *polish kielbasą*, będącą na rynku amerykańskim uznanym i wyróżniającym się produktem. Jambalaya może być urozmaicona wieloma dodatkami, takimi jak czosnek, słodka papryka, natka pietruszki, seler naciowy, cebula i cebulka zielona i wiele innych, zależnie od fantazji i doświadczeń kucharza.

Jest to więc unikatowe połączenie kuchni francuskiej – ma bowiem korzenie w tradycjach osadników francuskich, którzy do Luizjany przybyli z Kanady, kuchni polskiej oraz specyficznej lokalnej kuchni kreolskiej egzotycznego południa Stanów Zjednoczonych.

Jednocześnie za sprawą produktów spożywczych jambalaya łączy w jednym garnku różne odległe krainy przyrodnicze: orientálną krainę południowo-wschodniej Azji – za sprawą ryżu, amerykańską nearktyczną (Kanada, USA i Meksyk) na granicy z południowoamerykańską neotropikalną – dzięki morskim skorupiakom oraz obejmującą Polskę krainę paleotropikalną, reprezentowaną przez swojsko przerobioną wieprzowinę pochodzącą od świń, których przodkami są nasze rodzime dziki. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zaborcza żądza Rosji



O neoimperialnej polityce współczesnej Rosji dobitnie mówił w 2008 r. w Tbilisi śp. prezydent Lech Kaczyński. Znamy tę wypowiedź, która ma cechy spełniania się. Były: agresja na Gruzję, zajęcie Krymu, okupacja wschodnich rejonów Ukrainy, a teraz wojna hybrydowa z państwami bałtyckimi oraz Polską – ze strony Białorusi, która pełni w tej neoimperialnej polityce Rosji funkcję agresora zastępczego.

Choć powiedziano już prawie wszystko o politycznych, gospodarczych i militarnych celach Rosji chcącej powrócić do swojego geopolitycznego znaczenia z czasów Związku Radzieckiego, czyli dominacji nad krajami Europy Środkowej, wielu ludziom wciąż trudno pojąć motywy, jakimi kieruje się Moskwa. Mówią: „Przecież to największy kraj na świecie”. Jedna szósta lądów na kuli ziemskiej należy do Rosji. Na jednym kilometrze kwadratowym mieszka średnio osiem osób z liczącej ponad 143 mln populacji obywateli rosyjskich, reprezentowanych też przez olbrzymią, bo liczącą ponad 30 mln, mozaikę wielu narodowości i grup etnicznych. Trzy czwarte Rosjan żyje w miastach, głównie w europejskiej części Rosji. Przeogromne tereny Rosji na wschód od Uralu nadal czekają na swoich odkrywców.

Inną specyfiką tego kraju jest bardzo niski wskaźnik przyrostu naturalnego. Liczba zgonów w Rosji przewyższa liczbę urodzeń, m.in. ze względu na nieograniczoną prawnie aborcję. Jedyne w rejonach z przewagą ludności muzułmańskiej utrzymuje się wyższy przyrost naturalny. Inną cechą typową dla Rosji jest znaczna przewaga liczbowa kobiet nad mężczyznami.

O przyczynach tego zjawiska nie piszę, czytelnicy mają wystarczającą wyobraźnię.

Zasobna w surowce energetyczne, bogata w ziemię, lasy, rzeki, jeziora i morza Rosja pragnie być europejska i równocześnie azjatycka. I domaga się decydowania o kształcie politycznym oraz gospodarczym ponad połowy Europy. Ostatnimi laty ponownie dogadała się z Niemcami. Oba kraje zarabiają na gazie, przedsięwzięciu na wskroś ekonomicznym i prywatnym, i jakoby niepolitycznym, o czym zgodnie nas przekonywano w UE. „Zawsze kiedy Rosja i Niemcy zgodnie współpracują, to możliwy jest w Europie pokój”, mówił na Westerplatte w 2008 r. Władimir Putin. Ergo, czy dopiero gdy się kłóć, Europa cierpi?

No a najgorsze są te małe kraje środkowej Europy, które przeszkadzają wielkim w ich interesach. Dlatego, zdaniem Putina, prawdziwa polityka to gra wielkich mocarstw.

Czy świat nadal dybie na Rosję, chcąc zagarnąć jej wielkie bogactwa, zmusić do uległości, narzucić model „zgniłego Zachodu”? Rosyjska propaganda, władza i cerkiew nadal podtrzymują ten pogląd. To ma bowiem jednoczyć w obliczu bliżej niezidentyfikowanego wroga, który, co jest oczywiste dla Rosjan, nie lubi Rosji i dlatego musi być ona silna, aby wszyscy jej się bali. Robi to teraz, demonstrując swój sprzęt wojskowy nagromadzony przy granicy z Ukrainą i ponad 130-tys. zawodową armię. A kiedy zapada decyzja amerykańskiego prezydenta wysłania 3 tys. dodatkowych żołnierzy do Europy Środkowej, m.in. do Niemiec, Polski i Rumunii, Rosja oskarża USA o „wzmacnianie napięcia militarnego” i uznaje to za „krok destrukcyjny”.

O imperialnych tendencjach Rosji pisał wielokrotnie prof. Feliks Koneczny. Chwalił go za to Aleksander Dugin, syn oficera KGB, jeden z głównych ideologów Kremla. Tak, to prawda, owa „zaborcza żądza” Rosji w kalkulowaną jest

w rosyjską tradycję sprawowania władzy i Rosjanom jest z tym dobrze. „A gdzie zaborczość jest zasadą – pisze prof. Koneczny – tam nie ma ona swojego kresu”.

Kiedy zatem szukamy odpowiedzi na pytanie, o co chodzi Rosji, trzeba przywołać jej historię, która niezmiennie dowodzi przewagą formy nad treścią. Rosja nadal jest krajem, w którym panuje pomieszanie bizantynizmu i turańszczyzny, który wydał z siebie nihilizm, anarchizm, bolszewizm, komunizm i coś, co można dziś nazwać państwowym zaborczym imperializmem.

Rosja, mając do wyboru ciężką pracę nad zagospodarowaniem swoich największych w świecie terytoriów, wybiera powrót – na siłę – na zagarnięte dawniej tereny. „Federacyjna Republika Noworosji” – to termin, który obejmuje, obok ukradzionego wcześniej Krymu, dwie samowznające „republiki ludowe” – doniecką i ługańską. Pierwsza, zajęta zbrojnie azjatyckim podstępem, to bogata w surowce energetyczne ziemia zamieszkała przez ponad 2,2 mln ludzi, przeważnie Rosjan, których nikt jednak nie pytał, czy chcą zrezygnować z ukraińskiego obywatelstwa. Druga „republika” to obszar zamieszkały przez 1,5 mln ludzi. Zurbanizowany z licznymi miastami i przemysłem. Za jednym zaborczym pociągnięciem w 2014 r. Rosja zgarnęła prawie 6,4 mln ludzi, w tym 2,4 mln na Krymie, poprawiając swój bilans terytorialny, demograficzny i ekonomiczny.

W „zapasie” czeka kolejna „ludowa republika” – charkowska, gdzie z wielkim trudem udało się władzom Ukrainy zlikwidować rosyjski zbrojny separatyzm.

Rosji nikt nie zagraża. Rosja zagraża dziś innym, chcąc zrealizować swoje imperialne żądze, a na celowniku ma całą Ukrainę. Czy uda się Rosję powstrzymać? Dziś nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Nie będziesz miał...

Bardzo dawno temu, chyba jeszcze w dobie pirackich kaset wideo, oglądałem amerykański film o pewnym człowieku, który był prowincjonalnym kaznodzieją protestanckim, aż w końcu ogłosił się cudotwórcą i boskim posłańcem. Wraz z żoną (chciwą i cyniczną), która była jego menedżerem, organizował spotkania, na których „uzdrowiał” podstawionych ludzi. Przekonywał, że przez wiarę w jego pośrednictwo ludzie staną się bogaci i tym samym szczęśliwi. Krzyż przedstawiał jako plus, znak dodawania, który Jezus nam zostawił jako przesłanie do bogacenia się. Biednych traktował jako pomiot szatański. Z czasem uwierzył we własne banialuki, a przy okazji dorobił się prawdziwej fortuny. Prosperity trwała, ludzie tysiącami przyjeżdżali na jego „rekolekcje”, a niektórzy traktowali go wręcz jak mesjasza. Nad wszystkim czuwała wyrachowana małżonka kaznodziei.

Pewnego dnia miał się odbyć jego prawdziwy festiwal, na który ludzie zjeżdżali nie tylko tysiącami, lecz dziesiątkami tysięcy. Postawiono ogromną scenę, jak na plenerowych koncertach rockowych. Tłum się cisnął i z uwielbieniem czekał na swojego mesjasza. Jednak niebo coraz bardziej się chmurzyło, zrobiło niemal ciemne, grzmiało i zaczynał wiać coraz większy wiatr. Kaznodzieja, nagłośniony przez setki głośników, zapewnił, że jest w kontakcie z Bogiem i nikomu krzywda się nie stanie, a nawet wydał niebu rozkaz, aby wypogodziło. Zerwał się jednak ogromny huragan, zmiażdżył scenę, na której zginęli zarówno hochsztapler, jak i jego żona. Zginęło, zostało rannych i poturbowanych tysiące ludzi...

Nie pamiętam tytułu tego filmu, nie pamiętam aktorów, ale wciąż pamiętam tamtą fabułę i obraz spustoszenia. Coś mi to bowiem przypomina. To przekleństwo naszych czasów, to współczesny grzech główny – konflikt z III przykazaniem Dekalogu. Jakże często rozumiemy je bardzo dosłownie. Jak często tkwimy w przekonaniu, że owi „inni bogowie” to Budda, Belzebub albo Światowid czy Zeus. Zapominamy o wszystkich złotych cielcach, które spotykamy na każdym winklu swojego życia, do których się tak czy inaczej modlimy, którym oddajemy cześć. Czasami jest ich tyle, że się gubimy i nie pozostaje nam nic innego, jak Lennonowi w piosence „God”, zaśpiewać, że w nic nie wierzy, w absolutnie nic – poza sobą i Yoko Ono. Biedaczek, chciał wierzyć we wszystko naraz, tylko nie w Tego Który Jest. Wcześniej, w „Imagine”, widział świat wypatroszony z wszystkiego, co go konstruowało.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Zapominamy,
że wszędzie, gdzie nie ma
Boga, jest niebezpiecznie*

Ale jego scena też się zawaliła, a śmierć muzyka nie była bohaterska, ideowa, ale beznamietna i zadana przez psychopatę. Nie wierzył w nic i zginął bez sensu. Za nic.

My podobnie. Chcemy wierzyć, bardzo chcemy wierzyć we wszystko oprócz Stwórcy. Wierzymy w drzewka szczęścia, w rock'n'rolla, w amulety, w demokrację, tarota, Owsiaka i Tuska, zbiegi okoliczności, w tęczę, przywódców, hip-hop, Unię Europejską, jakąś enigmatyczną wolność, a nie w wolną wolę, w wolność popędów i w subkulturę. Byle daleko od Dekalogu, bo jest trudny, bo każe być przyzwoitym zawsze, a nie tylko wtedy, gdy akurat mamy na to ochotę, bo z tym „nie cudzołóż” to anachroniczna przesada. A to „nie kradnij”

to biznesowy paraliż i w ogóle Dekalog to zaprzeczenie ludzkiej naturze, chuciom, potrzebom, a życie jest zbyt krótkie, by sobie wszystkiego odmawiać. I jeszcze ten głupi pomysł łączenia aborcji z „nie zabijaj”. Przecież w łonie niewiasty nie ma żadnego ludzika, tylko kawałek niewydarzonego mięsa bez przyszłości. Zatem Dekalog odpada.

W owczym pędzie gnamy ku swoim prorokom, złotym cielcom i bałwanom, jak tłumy do tego amerykańskiego kaznodziei. Zapominamy przy tym, że wszędzie, gdzie nie ma Boga, jest niebezpiecznie, tam wszędzie czyha trąba powietrzna, która zmiecie każdą scenę i pogrzebie wielu nieszczęśników. A trąba ta może mieć kształt starczej frustracji i rozczarowania, że jednak cielca przeceniliśmy, przepchnięciem ze snopu światła jupiterów na ciemny boczny tor, może wracać do nas bolesną i nieuleczalną świadomością popełnionego błędu albo zażenowaniem, że uwierzyliśmy jakimś idiotom lub cynicznym złodziejom. Od fałszywych proroków nigdy nie wraca się cało. Wolna wola to waluta drogocenna i zawsze o wysokim nominale. Warto się dobrze zastanowić, zanim się ją zainwestuje, bo można przegrać nawet życie albo to, co jeszcze z niego zostało.

Czy w obawie, że młodzi za cenę odwrócenia się od naszych bożków mogą żyć lepiej i sensowniej, nie rzuciliśmy im mimochodem błyskawicy, ośmiu gwiazdek, rozwalonej edukacji, znaczącego poluznienia gorsetu obyczajowego? Czy nie skonstruowaliśmy im świata, który głosząc hasła tolerancji religijnej, jednocześnie sam sobą, każdym swoim fragmentem zaprzecza istnieniu Boga? Nasza scena już trzeszczy i się trzęsie, ale to na razie lekki zefirek. Huragan dopiero nadejdzie. Bo musi.



JAN POSPIESZAŃSKI

Dlaczego młodzi odchodzą od Kościoła katolickiego? Jak wytłumaczyć tak gwałtowną sekularyzację najmłodszego pokolenia? Czy zdołamy zatrzymać ich w Kościele? Te i podobne pytania padły podczas debaty „Wiara i niewiara polskiej młodzieży” zorganizowanej w ubiegłym miesiącu przez Katolicką Agencję Informacyjną. W debacie uczestniczyli: prof. Mirosława Grabowska, bp Grzegorz Suchodolski, o. Wojciech Surówka OP i Dominika Chylewska z Działu Komunikacji Caritas. Wydarzeniu towarzyszyła prezentacja najnowszych badań CBOS, omawianych przez dyrektora prof. Grabowską.

Nie była to rytualna nudna konferencja, bo obraz, jaki wyłania się z przywołanych statystyk, powinien obudzić najbardziej sennego i leniwego biskupa. Pamiętam, jak przed 30 laty środowiska liberalne, reprezentowane wówczas przez „Wyborczą”, z nieskrywaną nadzieją przepowiadały Polsce rychłą laicyzację. Brzmiało to tak, jakby koniecznym warunkiem demokracji była „modernizacja” Polski na modłę laickich społeczeństw zachodnich. Na szczęście sprawy potoczyły się inaczej. Ogromna w tym zasługa pontyfikatu Jana Pawła, a zwłaszcza jego pielgrzymek do kraju.

Świadectwo, autentyzm, męskość

71 proc. młodych deklaruje wiarę, a tylko 23 proc. chce z Kościołem mieć cokolwiek wspólnego

Gwałtowne załamanie nastąpiło dopiero w ostatnich latach, a najsilniej manifestuje się właśnie w generacji 18–24 lat, czyli tej, która polskiego papieża już raczej nie pamięta. Grupa ignorujących Kościół w ogóle jest liczniejsza od tych, którzy uczestniczą w jego życiu, i wynosi odpowiednio 30 do 27 proc. Wiarę deklaruje 71 proc., ale regularne praktyki religijne tylko 23 proc.

Jest wiele przyczyn słabnącej religijności młodych. Najpoważniejszą jest zerwanie „transmisji wiary” w rodzinach, często rodzinach niepełnych. Jako kolejną ważną przyczynę odchodzenia młodych od wiary bp Suchodolski wskazał negatywne postrzeganie Kościoła spowodowane „rzeczywistą słabością zarówno duchownych i świeckich przedstawicieli Kościoła” i doniesieniami o skandalach seksualnych. Brak rzeczywistego rozliczenia nadużyć obyczajowych jest faktem, lecz samo wspomnienie o tym na kolejnej konferencji przez biskupa nie poprawi sytuacji.

Od jakiegoś czasu jestem depozytariuszem ponurej wiedzy, z którą (przynaję ze wstydem) nie wiem, co zrobić. Wiem o przypadkach nadużyć homoseksualnych, których sprawcami są konkretni kapłani, wiem też, że ich przełożeni o tym wiedzą, a ponieważ nie są to akty z nieletnimi, nie zachodzi tu kolizja z prawem cywilnym. Natomiast w świetle obecnych wytycznych Watykanu, niezezwalających na wyświęcanie homoseksualnych mężczyzn, zachodzi tu kolizja z prawem kościelnym. Co zrobić z tymi, którzy do stanu kapłańskiego zostali przyjęci,

zanim powstały tak konkretne przepisy? Czy jest jakaś instrukcja ograniczająca ich potencjalnie szkodliwe oddziaływanie wewnątrz i na zewnątrz wspólnoty? Przecież głęboko zakorzenione skłonności homoseksualne nie znikną przez samo przestrzeganie celibatu. To problem osobowościowy, stawiający pod znakiem zapytania uczciwość powołania. Kapłaństwo bowiem zakłada świadomy heroiczny dar, ofiarowanie swojej pełnej męskiej tożsamości na służbę Bogu i Kościołowi. Niezdolna do małżeństwa zaburzona męskość, która szuka azylu na plebaniach i w klasztorach, jest oszustwem i jako taka obraża Boga i niszczy Kościół. Nie mam nic przeciwko wypielęgnowanym dłoniom i delikatnej gestykulacji, ale taneczny krok, powłóczyście peleryny, mięciutki tembr głosu i strzelanie min do chłopaków w kościele powinny być alarmem dla przełożonych i powodem natychmiastowego skierowania na badania psychologiczne.

Młodzi ludzie mają swoisty radar, busołą, która pozwala im wyczuć fałsz. Wielu z nich, zwłaszcza z rodzin rozbitych lub tam, gdzie ojciec jest praktycznie nieobecny, ma też deficyt ojcostwa. Tu otwiera się przestrzeń dla mądrego, ofiarnego duszpasterstwa, do budowania relacji i świadczenia o Chrystusie. Skoro 71 proc. młodych deklaruje wiarę, a tylko 23 proc. chce z Kościołem mieć cokolwiek wspólnego, należy pójść po tych wierzących niepraktykujących. Zadanie raczej dla wojowników, a nie dla zniewieściałych pajaców. To ogromne wyzwanie. Nie tylko dla kapłanów, dla nas wszystkich.

Pegasusa zmiany w świecie

Wprawdzie obrady sejmowej komisji śledczej są utajnione, ale od czego ma się przyjaciół. Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” („PP”), wydawany przez specjalistów molekularnej fizyki kwantowej, dzięki własnemu satelicie zdobył unikatowy materiał z jednego z posiedzeń. Oto jego fragmenty.

Przewodniczący: Proszę, proszę.

Świadek: Rozalia Korpeta, lat 35, szczęśliwa mężatka, trzykrotnie zaszczepiona dawką Pfizera, zamieszkała we wsi Zarożno, gmina Stogi, w powiecie wolskim. Pegasus przyszedł do naszej gminy już dwa lata temu wstecz, jak były wybory na przewodniczącą naszego koła gospodyń wiejskich.

P.: Co znaczy „przyszedł do gminy?”

Ś.: Nie tylko, bo do wsi też trafił. Kiedy było blisko głosowania do gminnego koła gospodyń, wymyśliłam własne hasło wyborcze „Stogi avanti”, bo w naszej gminie większość jest za Juventusem. Swoją sztyld wyborczy przesłałam esemesem tatusiowi, który zamieszkuje w Ustrzykach w Bieszczadach. Oddzwonił do mnie i powiedział, że lepszy byłby jakiś akcent patriotyczny i optymi-



**Jerzy
Jachowicz**

styczny, zapowiadający sukces. I co? Dwa dni później moja główna konkurentka z sąsiedniej wsi, której wuj siedzi w policji w województwie, wywiesiła w gminie swoje hasło „Polskie Stogi urosną w siłę”. I pokonała mnie. Nie uwierzę, że to był przypadek.

Chcę też komisji przekazać, że cały zeszły rok poświęciliśmy na pielęgnowanie regionalnej kuchni poprzez kursy dla młodzieży. Dziwnym trafem większość naszych pomysłów trafiała do kół gospodyń w innych gminach powiatu.

Obecnie w naszym kole działa klub dyskusyjny. Telefony zostają w szatni. Odbiliśmy już dwa spotkania.

Najbliższe nosi tytuł: „Metody kradzieży przez chińskich specjalistów nowoczesnych osiągnięć amerykańskiej myśli technicznej i cyfrowej, stosowanych w programach podbojów kosmicznych”.

P.: To dość zaawansowana tematyka...

Ś.: To prawda. Stwierdziłyśmy jednak, że bez dokładnego poznania wielu obszarów współzawodnictwa chińsko-amerykańskiego nie będziemy w stanie opisać zmian w globalnej polityce będącej ważnym czynnikiem lokalnych aktywności i zmian społecznych.

REKLAMA

TVP 1

JAKA Memoria?

TELEWIZJA POLSKA PRZYPOMINA, NOWY STANDARD SIĘ ZACZYNA

SPRAWDŹ SWÓJ TELEWIZOR

WYSZUKAJ W NTC KANAŁ TESTOWY **SPRAWDZAM TV** LUB WEJDŹ NA **TELEWIZJANAZIEMNA.PL**

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Strażnicy normalności

Opozycja żąda od rządu zapewnienia normalności



Ryszard Makowski

Naszej opozycji można pozazdrościć. Oni cały czas żyją w bajkowym świecie. Bez zarazy, bez wojny hybrydowej z Białorusią, bez Armii Czerwonej stojącej u wrót, bez Niemiec połączonych dwiema rurami z Putinem, bez Unii Europejskiej spenetrowanej przez władzę z Kremla i bez nadciągającego kryzysu światowego. Oni nie mogą się nadziwić, że rząd nie zapewnia normalności. Dlaczego ceny rosną? Dlaczego jest inflacja? Dlaczego trzeba płacić podatki? Dlaczego ludzie umierają?

Oni mają sporo racji. Normalność jest potrzebna. W normalnym państwie ktoś taki jak Donald Tusk, który musiał się salwować ucieczką pod spódnicę frau Merkel, bo mu się podsłuchy z Sowj & Przyjaciół pod nogami paliły, którego rola w roztrzaskaniu się Tu-154 M cały czas wymaga prześwietlenia, nie miałby praw honorowych. A w jeszcze bardziej normalnym państwie mógłby zostać nawet osądzony. Niestety III RP jest skrojona pod takie persony. Miara dewastacji naszego kraju jest to, że znajdują one grono, i to liczne, popleczników.

I tu dochodzimy do głównego punktu programu. Donald Tusk staje się arbitrem elegancji i to on zapewni nam uczciwe wybory. Tupeciarz. Czy to nie za jego premierowania PKW jeździła się doszkalać w Moskwie, były „ruskie serwery” i 2 mln głosów nieważnych w wyborach samorządowych w 2014 r.?

Ostatnio beczennie jest rozczarowanie opozycji, że paliwo nie jest po 8 zł, bochenek chleba po 16 zł, a pietruszka po 40 zł. Taki piękny plan dojścia do normalności, sygnowanej hasłem „pieniędzy ni ma i ni bendzie”, im się sypie.

Michał Korsun prezentuje:
Prezydent jednej z europejskich stolic



Wycinki z przeszłości

Tedwa znaczki pocztowe dobrze ilustrują powojenną historię Zamku Królewskiego w Warszawie. Tuż po wojnie (znaczek na górze) żywe były nadzieje, plany i nawet prace projektowe nad wzniesieniem z ruin tego symbolu państwowości polskiej. Ale Bolesław Bierut nie chciał wiernej odbudowy tego, co stało przed wojną, lecz formy, która by tylko do tego nawiązywała. Z kolei Władysław Gomułka w ogóle odrzucał takie plany, uznając je za nadmierny zbytek i sentymentalizm. W efekcie podjęła się tego dopiero, szukającą jakiejś formy legitymizacji społecznej, ekipa Edwarda Gierka. Zresztą presja społeczna na przywrócenie Zamku nigdy nie ustawała, a decyzja o odbudowie – której świętujemy 50-lecie – przyjęta została z entuzjazmem. I to społeczeństwo złożyło się na to wielkie dzieło. Z tego okresu, z roku 1971, pochodzi znaczek na dole. Do tematu odbudowy Zamku Królewskiego wkrótce wrócimy na łamach tygodnika „Sieci”. //

(mk)



Otóż jestem!



Leszek Długosz

Doprawdy czuję się, jakbym wrócił z dalekiej, z najdalszej podróży. Od połowy listopada zmagalem się z tym powrotem. Dziękuję red. Maciejowi Zdziarskiemu, który przez czas mojego szpitalnego zalegania w moim imieniu prowadził tę rubrykę. Nie chcąc też epatować Państwa prywatą (jak to los mnie doświadczał), chcę tylko jeszcze publicznie wyrazić wdzięczność prof. dr. Stanisławowi Bartusiowi (szefowi kardiologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie), który w sytuacji kiedy reszta krakowskiej kardiologii rozłożyła ręce, nie widząc szansy jakiegokolwiek interwencji, zdecydował się ruszyć na wyprawę w jakże ryzykowne kardiologiczne Himalaje. I sprowadził mnie na tę stronę życia... Zwijając temat, dzięki Najwyższej Opatrzności i działającym na dole Jej „Narzędziom”, zawolałem jeszcze raz: „Otóż i jestem!”. Bogatszy o ileż doświadczeń, odczuć, wiedzy. Cóż bowiem z chorowania, z poniesionej szkody? Potężna lekcja. Dośpiewajcie sobie dalszy ciąg tej „śpiewki życia i śmierci”. Ale gramy dalej. Z szuflady wyciągam wierszyk, którego tytuł na dziś najlepszy mi się wydaje.

„Powrót”

*Z dalekiej wrócić podróży
– Uściskać Bliskich
Zbadać puls fortepianu
Przypomnieć z psem dawno niećwiczone lekcje
Planty oblecieć, Barbakan, Bramę
Jak dawniej – po staremu
Wszystko tu znaleźć na swoim miejscu
– Wrócić
I w domu we własnym kącie
Zgiełk świata usiłując pojąć
Na nowo mu próbować – sprawiedliwą
Dzisiejszą kreślić miarę...
(Znów się „mocować z wierszem”)
– Szczęście?... Po kartkę sięgając nową
Bezwidnie szepnąć, po raz – enty
– Jakże to z tym?
Jak to z tym jest
Że to się umie
Że to się może tak odmienić?
– W skali?
– W treści? //*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Czego Zachód chce!

Właśnie przeczytałem kolejną analizę na temat »tego, czego chce Putin«, ale jeszcze nie znalazłem spójnego eseju przedstawiającego to, czego my chcemy – poza wskazaniem ścieżki odwrotu dla Putina, by uniknąć wojny. Tak, można znaleźć mnóstwo ogólników na temat »opartego na regułach ładu międzynarodowego« itp. Ale jaki jest nasz preferowany stan docelowy?».

Ten pochodzący z 25 stycznia br. tweet sygnalizuje problem kalibru cywilizacyjnego. Autorem wpisu jest znany amerykański politolog i analityk polskiego pochodzenia Andrew Michta, obecnie dziekan w George C. Marshall European Center for Security Studies.

Idzie przecież nie o jakieś jednostkowe przeoczenie, lecz o przeciągającą się w czasie próżnię aksjologiczną. O kłopoty z wytyczaniem szlaku dla samego Zachodu, kłopoty z odróżnianiem dobra od zła, prawdy od fałszu, a nawet tego co rzeczywiste od tego co fikcyjne.

TOKSYCZNY ZWIĄZEK

Zachód w pewien sposób potrzebuje Putina – jakkolwiek perwersyjnie to zabrzmie – gdyż uwikłał się z nim w isticie toksyczny związek. Putinowska oligarchia i główne państwa NATO są częścią układu światowych (korporacyjno-finansowych) gier interesów, w których trudno dokonywać podziałów na aktorów jednoznacznie dobrych i złych.

Praktyczne, a nie tylko deklaratywne, staniecie po stronie dobra wymaga zrewidowania wartości mających być rusztowaniem dla polityki i kultury. Nie wystarczy ogólniki w postaci haseł pokoju, wolności, tolerancji i wyciąganych z rękawa poprawności politycznej kolejnych generacji tzw. praw podstawowych. Jeśli Zachód ma ku czemuś zmierzać, potrzebuje nie tylko strategii politycznej, ale zakotwiczonej w chrześcijańskiej moralności wizji dobrego ładu społecznego.



Ogniskowanie dyskursu politycznego na Putina zwalnia Zachód od rachunku sumienia

Staniecie w prawdzie co do swej własnej kondycji dla sporej części elit demokracji liberalnych – takie odnosimy wrażenie – jawi się jako bardziej przerażające niż trwanie w prawdziwie zabójczym układzie z prezydentem Rosji. Zabójczym, ponieważ nawet jeśli unikniemy kolejnej fazy agresji na Ukrainę, to przecież skrytobójstw wykonanych w ostatnich latach na polecenie Moskwy nie da się wykreślić z historii.

WYGODNY KONTRAPUNKT

Dlaczego politycy, analitycy, dziennikarze etc. chętniej zajmują się samym Putinem i jego imperium niż tymi ułomnościami Zachodu, które umożliwiły obecnie tak niebezpieczną sytuację? Dlaczego dokonując wyrafinowanych analiz działań politycznych, jak i samej postaci Putina, czynią to tak bardzo jednowymiarowo? Bo tak wygodnie.

Władimir Putin, dzięki jawnie autorytarnej postawie, stanowi dla Zachodu świetny kontrapunkt do postrzegania samego siebie. Jako tej lepszej części świata oczywiście. Dzięki temu, że to Putin jest w centrum uwagi, można zapominać, w jak poważnym kryzysie jest demokracja liberalna. Że Big Tech z Doliny Krzemowej zdegradował przestrzeń wspólnej komunikacji, a *wolność* jako idea tak skarlała intelektualnie, że w praktyce zwyrodniała.

W opozycji do obrazu Putina nie trzeba się tak przejmować kryzysem tożsamości Zachodu. W obecnym zagubieniu moralnym zarówno Ameryki, jak i Unii Europejskiej ten wyrazisty Putin trwa niczym chore rusztowanie dla zachodniej tożsamości. Bo przecież takim rusztowaniem nie może być ani *nadmierna* różnorodność – etniczna i genderowa, ani złudne sojusze polityczne, często w istocie kruszące suwerenność poszczególnych państw. Wreszcie nie może nim być nieokiełzany rozwój technologiczny.

PANDEMIA KRYZYSÓW

Ogniskowanie dyskursu politycznego na Putina zwalnia Zachód od rachunku sumienia. Kryzysy migracyjne, porażki w Iraku i Afganistanie, raje podatkowe, pozwolenie cyberpanom na systemowe ogłupianie obywateli, zwodniczość ruchów Black Lives Matter czy MeToo, kolejne porażki w walce z pandemią, płytko przemyślana polityka klimatu. To niepełna lista.

Trudno nie odnieść wrażenia, że Zachód jako cywilizacja (nie mówimy tu o poszczególnych myślicieli) już od dawna nie przepracował dogłębnie żadnego z kluczowych problemów. Po 11 września 2001 r. dał się uwieść walce z terroryzmem, którego rolę obecnie zastępuje Putin.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

SILNI RAZEM #TEAMPOLSKA PEKIN 2022

KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



POLSKA



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji Olimpijskiej



Główny Partner Medyczny



Oficjalny Przewoźnik



Główny Partner Medialny



Oficjalny Partner Medialny



Partnerzy Medialni PKOI



Porty Lotnicze

Deloitte

Partnerzy PKOI



POLSKI WIOŚNIARSKI ZWIĄZOK



Partner Młodzieżowej Reprezentacji